

**John Ward**

# **Kamień smutku**

*The stone of sorrow*

Los kamienia część 2

Wizje cudów

Przełożyła

Paulina Braiter



*Mojej żonie*

## Dwie sceny z przeszłości

### *I - Ferrara, grudzień 1515*

Szafot ustawiono u wylotu placu. Nie jest to szubienica - ten, kto ma dziś umrzeć, to niezwykle zbrodniarz - lecz tylko platforma, stopień wiodący do prawdziwego narzędzia śmierci, potężnego pala wyciosanego z pnia drzewa, wystającego z wysokiego stosu i strzelającego w niebo niczym potworny palec.

Niedawno minęło południe, lecz światło zaczyna już przygasać. Jest krótki zimowy dzień. Z ciężkich chmur wkrótce sypnie śnieg. Z balkonów domów otaczających z trzech stron plac zwisają smętne proporce, bezskutecznie starające się ożywić zbliżający się ponury spektakl. Na balkonach tłoczą się zamożni mieszczanie, szlachta i magnaci ze swymi małżonkami (i dziećmi - widok człowieka palonego żywcem na stosie uznaje się powszechnie za wielce pouczający), wszyscy odziani w odświętne stroje. Ich wyniesienie ponad innych dobitnie oddaje pozycję społeczną widzów. Plac w dole wypełniają rzesze biedaków.

Kilku młodzieńców z dobrych rodów, wiedzionych beztronską odwagą, porzuciło bezpieczne schronienie domów, by zmieszać się z tłumem. Garści dukatów wręczone odpowiednim ludziom zapewniły im najlepsze miejsca u samych stóp stosu. Stoją tam teraz, odcinając się od reszty w swych pysznych strojach. Nie wyglądają na rozbawionych, lecz czterech stara się zachować twarz, wymieniając drwiące, nieco zbyt głośne uwagi i śmiejąc się nieco zbyt serdecznie. Piąty natomiast nawet nie ukrywa dręczącego go niepokoju, który wyraźnie maluje się na jego pięknej, wrażliwej twarzy. Nie wiadomo, czy porusza go bliskość cuchnących tłumów, czy też myśl o tym, co wkrótce się stanie. Z pewnością jednak stos i pal fascynują go i przerażają zarazem.

Młodzieniec jest wysoki, na głowie ma wspaniały jaskrawoblękity kapelusz ozdobiony czarnym piórem, który wyróżnia go spośród tłumu. Wokół niego morze pochylonych głów dyskutuje zawzięcie o człowieku, na którego egzekucję przybyli.

- To mag Albanus - mówi ktoś. - Największy czarownik naszych czasów.
- Ponoć odrodził się w nim duch Michała Szkota!

Kilka osób żegna się szybko, słysząc to imię. Michał Szkot, czarnoksiężnik, który zmarł trzysta lat wcześniej, wciąż żyje w legendach.

- Największy czarownik naszych czasów? - prychnął ktoś inny. - Powiedz mi zatem, jak tu trafił? Jeśli chcecie znać moje zdanie, największym żyjącym czarownikiem jest ten, który go pokonał!

- To był Ruggiero - wtrąca drobny podekscytowany człowieczek. - Ruggiero z Montefeltro. Z moich stron - dodaje, pęczniąc z dumy.

- Ależ Albanus nie został pokonany - odpowiada gwałtownie pierwszy człek - lecz zdradzony przez zaufanego sługę, owego Ruggiera, włóczęgę i szarlatana udającego alchemika, sprzedawcę napojów miłosnych i mikstur zakochanym dzierlatkom i złożonym niemocą starcom; durnia i pyszałka, i w dodatku nie Włocha, lecz dwulicowego, obłudnego Anglika!

- Wszyscy Anglicy to zdrajcy - rzuca piskliwie człowieczek, pragnąc teraz zdystansować siebie (i ojczyste miasto) od podobnego łajdaka.

- Zatem mędrzec trafia na stos, gdyż zaufał głupcowi - mówi z namysłem ktoś jeszcze. Kryje się w tym pewna nauka.

Na końcu placu u wylotu bocznej uliczki nagle zapada cisza, która rozchodzi się gwałtownie niczym fala. Wkrótce wszyscy wyteżają słuch. W dali bije dzwon. Potem rozlega się odgłos kopyt uderzających o kocie łby. Jest coraz bliższy. W pełnej napięcia ciszy na placu pojawia się wóz. Tłum rozstępuje się przed nim. Zwykle towarzyszyłyby temu radosne okrzyki i gwizdy, teraz jednak wszyscy milczą, wpatrując się w wysoką, wyniosłą postać zakutą w ciężkie kajdany, stojącą pomiędzy dwoma gwardzistami. Potężni, rośli mężczyźni sięgają zaledwie do ramienia więźnia. Włosy, niczym lwia grzywa, opadają mu na plecy, okalając surową, szlachetną twarz. Mężczyzna spogląda na tłum, a ludzie szybko odwracają głowy, unikając jego wzroku.

Wóz, poskrzypując i jęcząc, zmierza w stronę stosu. Z zachmurzonego nieba spadają pierwsze płatki śniegu. Albanus zdaje się ich nie zauważać, skupiony wyłącznie na własnych myślach.

*Nie wolno mi myśleć o zemście ani o tym, co wkrótce nadejdzie. Mój umysł musi być jasny i czysty. Gdzie znajdę ratunek? Blisko, jeśli tylko zdołam przyciągnąć czyjś wzrok. Któż mi posłuży? Ten wysoki, o tam.*

Młodzieniec w błękitnym kapeluszu, wpatrujący się dotąd melancholijnie w stos, nagle odwraca głowę, jakby ktoś zawołał go po imieniu, odkrywa, że spogląda wprost na skazańca. Ich spojrzenia się spotykają.

Patrzają wprost na siebie.

- Może diabeł zabierze go sobie - mruczy ktoś z tłumu, wyrażając przypuszczenie -

czy może nadzieję? - która przyciągnęła tu tak wielu podekscytowanych gapiów.

Gwardziści prowadzą Albanusa naprzód. Zakuty w kajdany, niezgrabnie wdrapuje się na drabinę. Ustawiono ją pod kątem, niczym schody wiodące na szczyt stosu. A gdy Albanus tak wędruje, młodzieniec w błękitnym kapeluszu wodzi za nim wzrokiem niczym pies obserwujący pana, czekający, aż ten zwróci na niego uwagę. W końcu, podzwaniając łańcuchami w niesamowitej ciszy, mag dociera na platformę ustawioną na poziomie balkonów. Gwardziści przywiązują jego ciało i nogi sznurami do pala. Dopiero potem schodzą i zaczynają krzątać się u stóp stosu. Pada coraz gęściejszy śnieg.

*Odwracajcie wzrok, wy, psy. Choć jestem związany i bezradny, wciąż lękacie się mego spojrzenia. Jest jednak ktoś...*

Wysoki młodzian w kapeluszu z piórem wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami.

*To tęskne spojrzenie, litość w jego oczach - zgubne współczucie.*

Pochodnie dotykają stosu.

*Mam cię już. A teraz trzymaj się, trzymaj, ze wszech sił!*

Szare jęzory dymu wznoszą się wokół szafotu.

*Wejście w umysł innego... Niczym pierwszy czuły dotyk miłości.*

Płomienie z traskiem strzelają w górę.

*Lecę!*

Gdy człowiek na stosie bezwładnie opada naprzód, zebrani ludzie wydają jedno chóralne westchnienie.

Po wszystkich sekretarz księcia (do którego obowiązków należało sporządzenie dokładnej relacji z wydarzeń) wspominał, z jakim spokojem skazaniec mierzył wzrokiem zgromadzony w dole tłum - zupełnie jakby szukał tam znajomej twarzy. Potem najwyraźniej znalazł tego, o kogo mu chodziło, i skupił na nim wzrok, nie zważając na nic innego. Nie zaszczycił swą uwagą żołnierzy przykładających pochodnie do stosu ani księdza modlącego się o zbawienie jego duszy. Mimo trasku płomieni cały czas wpatrywał się w kogoś z uwagą. Wszyscy jednak zgodzili się, że na długo przedtem, nim ogień dotarł do jego ciała - stos bowiem był wysoki, a drwa wilgotne, toteż rozpalał się powoli - jego duch zdążył już uciec. Młodzian ze szlacheckiej rodziny oglądający w tłumie egzekucję omdlał z nadmiaru wrażeń i dopiero po wielu dniach odzyskał świadomość.

## ***II - Forcalquier, Francja, willa Ruggiera da Montefeltro, jesień 1516***

Budzi się w mroku ze wspomnieniem krzyku, który niczym oślepiające światło wciąż wibruje w jej umyśle. Czuje kołatanie serca. To był koszmar. Nie wie, jak długo siedzi opatulona pierzyną, gdy wreszcie słyszy pukanie. Ten dźwięk wywołuje u niej radość połączoną z lękiem. To przybył Massimo. Ale przecież ojciec i staruch są tak blisko! Jak może tak ryzykować? Jeśli znajdą go tutaj, zabiją! Wiedziona strachem zeskakuje z łóżka, desperacko pragnąc go ostrzec... i zobaczyć. Pod stopami czuje zimne płyty kamiennej posadzki. Ciasno owija się futrzaną kapą. Znów słyszy ciche, natarczywe stukanie.

- Massimo, to ty?

- Otwórz, szybko!

Odsuwa zasłonę i widzi go w pełnym stroju, z latarnią w dłoni.

- Massimo, co się stało, czemu tu jesteś? Zabiją cię!

- Ubieraj się, zbierz swoje rzeczy. Musimy uciekać, natychmiast.

Oswobadza się z jej ramion i wskakuje do komnaty.

- Ale mój ojciec... staruch...

- Nie przeszkodzą nam.

Patrzą na siebie bez słowa. Przybysz widzi jej twarz w blasku latarni. Dostrzega na niej zdumienie i kielkujący strach.

- Nie lękaj się, nie jestem mordercą. Zgubiło ich własne szaleństwo.

Ona jednak wciąż się waha. Po jego obliczu przebiega grymas zniecierpliwienia.

- Co znowu?

Zarumieniona wskazuje gestem wiszące na krześle ubranie, na co on w dramatycznym geście unosi rękę.

- *Beata Vergine!* Nie czas na skromność.

Mimo to odwraca głowę, czekając, aż dziewczyna się ubierze.

\*

Biegną razem korytarzem. Massimo mówi cichym, pełnym napięcia głosem:

- Słyszałem, że planowali użyć jej dziś w nocy. Długi czas leżałem w milczeniu, ale nic się nie stało. Musiałem zasnąć. Potem wydało mi się, że słyszę krzyk.

- Ja też go słyszałam!

- Miałem też wrażenie, że rozbłysło światło tak jasne, iż dostrzegłem je nawet przez kamienną ścianę. To jednak musiał być sen...

- Zatem ja także o tym śniłam!

Są już przed drzwiami. Patrzy na niego z lękiem.

- Nie bój się, już tam byłem. Nic tam nie ma.

Pchnięciem otwiera drzwi; w nozdrza uderza ich ostra woń siarki. Przekracza próg i z całą pewnością słyszy głuchy śmiech, może jednak to tylko wiatr. W blasku latarni Massimo widzi puste pomieszczenie. Pośrodku stoi nagi stół. Kątem oka dostrzega błysk na podłodze.

- Machina filozoficzna. - Dziewczyna wymawia te słowa starannie, z szacunkiem, lecz bez zrozumienia, co oznaczają. - Zniszczona!

Coś jeszcze połyskuje jasno w mroku.

- Och! Kamień!

Z lękiem rusza ku niemu; Massimo chwyta ją za rękę.

- Ostrożnie, nie dotykaj go! Masz, weź to.

Zwija kawałek aksamitu i czule spowija nim kamień, niczym bezcenne jajo. Massimo uśmiecha się na ten widok. W świetle latarni widać strzaskaną posadzkę w miejscu, gdzie upadł kamień, który pozostał nietknięty. Ona unosi go, światło załamuje się i rozprasza w niezliczonych fasetkach.

- Jak błyszczący, jakież jest piękny!

Massimo także się uśmiecha - inaczej, jak na widok rywala. Pochyla się, zbiera rozrzucone kawałki maszyny i ogląda uważnie. Są nietknięte, zupełnie jakby mechanizm sam się rozpadł.

\*

Są teraz w jego atelier. Wciąż ściskając w rękach kamień, patrzy, jak Massimo krząta się, zbierając narzędzia pracy. Porusza się szybko, pewnie, zdecydowanie. To właśnie w nim uwielbia, pewność siebie. Przez chwilę stoi przed niedokończonym portretem na sztalugach. Na pustym tle spod szkarłatnego turbanu spoglądają na nich nieprzeniknione, ciemne oczy w przebiegłej starczej twarzy.

- Musimy go zabrać? - pyta błagalnie.

Massimo wybucha śmiechem.

- Czemu nie? Nie chcesz pamiątki po narzeczonym?

Na widok grymasu przerażenia na jej obliczu szybko unosi rękę w przeproszającym geście i gładzi policzek dziewczyny.

- Już dobrze, nie ma go. Nigdy już go nie zobaczysz. Ani ojca.

- Biedny papa. Ale czy musimy brać ten obraz? Wolałabym, żebyś go spalił!

- To dowód mego kunsztu. Jeśli mam znaleźć nowego pana, muszę pokazać, co umiem.

To także w nim lubi, jego praktyczność.

- A machina filozoficzna?

Massimo kręci głową.

- Przecież musi być bardzo cenna.

- Jest zbyt niebezpieczna, nie ufam jej. Lepiej ją tu zostawić.

Dziewczyna z nagłym lękiem przyciska do siebie kryształ.

- Ale nie Kamień! Przyrzeczono mi go, to mój posag!

Patrzy na nią. Jest taka młoda, taka piękna. Nie zawsze można być mądrym.

- No dobrze. Skoro ja zatrzymam pana młodego, ty możesz zachować posag.

Pakuje portret wraz z resztą rzeczy. Następnie owija kawałki maszyny filozoficznej w natłuszczone szmaty i ukrywa w schowku w jednej z kolumn wielkiej sali.

\*

Świt zastaje ich na kamiennym gościńcu - młody mężczyzna, dziewczyna, objuczony osioł. Na rozstajach Massimo unosi rękę. Ta droga wiedzie do domu, do Włoch. Jest tam jednak tak wielu artystów. To z kolei szlak na północ. Słyszał, że chętnie witają tam malarzy, zwłaszcza włoskich. Dziewczyna uśmiecha się, pozostawiając mu wybór, gotowa podążać za nim po kres świata.

Wschodzi słońce.

Massimo kieruje osła w lewo.

Ruszają na północ.



# Rozdział 1

## Ma świetny lewy sierpowy

„Ma świetny lewy sierpowy”.

Dyrektorka szkoły spojrzała w notatki, zastanawiając się, czemu to napisała. To jeden z dwóch punktów w rubryce zatytułowanej ZA. Drugi brzmi: „Wspaniałe zdolności językowe”. Oba pochodziły z tego samego źródła, od zwariowanej starej Pruitt, która uczyła dziewczęta języków klasycznych i - jak się zdaje - wszystkich istniejących języków współczesnych. W rubryce zatytułowanej PRZECIW widnieje znacznie więcej uwag. Z westchnieniem uniosła wzrok, spoglądając na przedmiot swej troski.

Helen De Havilland posłała jej spokojne, niewzruszone spojrzenie.

Dyrektorka, nie chcąc dać się wciągnąć w pojedynek, z powrotem skupiła się na rubryce PRZECIW.

„Wyniosła, trzyma się z boku, NIE POTRAFI GRAĆ W ZESPOLE” (zdanie nauczycielki gimnastyki, która uważała to za największą możliwą wadę). „Wyczuwam, że Helen jest głęboko nieszczęśliwa” (to słowa afektowanej panny Bunting, dla której nawet złamany paznokieć stanowił powód do rozpoczęcia terapii). Dyrektorka dobrze wiedziała, że dzieci bardzo bogatych ludzi często bywają nieszczęśliwe (nigdy nie wpadła na to, iż może się do tego przyczyniać fakt uczęszczania do jej szkoły). I co jeszcze? „Bardzo zdolna uczennica (to już rzadsze), ale nie przykłada się do nauki. Pozbawiona entuzjazmu do czegokolwiek!”.

Z każdego słowa wyraźnie wyzierała frustracja, jaką budziła w nauczycielach ta dziewczyna. Dyrektorka zerknęła ukradkiem na Helen, która wyglądała właśnie przez okno. Wysoka, ciemnowłosa, stała w klasycznej pozycji baletowej, z rękami splecionymi z tyłu, przechyloną głową, wdzięcznie wyprostowana. Naprawdę ładna, gdyby tylko przestała tak się krzywić, przeleciało dyrektorce przez głowę i myśl ta ją zaskoczyła.

Przez otwarte okno słychać było śpiew ptaka. W oddali ogrodnik pchał po lśniącem trawniku ciężkie taczki.

Helen zastanawiała się, w którym momencie mogła jeszcze postąpić inaczej i uniknąć wizyty tutaj. Może w drzwiach wspólnej sali? Z pewnością mogła wtedy zawrócić, zawahała

się przecież z ręką na klamce. Ale nie, wahanie trwało tyle, co wzięcie oddechu, służyło zebraniu sił przed wyjściem na scenę. Już wcześniej podjęła decyzję. Może zatem w pokoju, gdy dostrzegła niedomkniętą szufladę w szafce? Mogła to zlekceważyć, wmówić sobie, że tak ją zostawiła, nie patrzeć - lecz nim jeszcze zajrzała, wiedziała, co zastanie. Nie, trzeba by cofnąć się do samego początku. Dyrektorka musiałaby umieścić gdzie indziej Sophie Petrescu - ale przecież tylko w pokoju Helen było wolne miejsce po odejście tej wrednej Arminy, która zabrała ze sobą puszki czekoladowych ciasteczek pochłanianych garściami w ramach tęsknoty za odległą ojczyzną.

Wyglądało zatem na to, że to przybycie Sophie Petrescu sprawiło, iż w końcu musiała znaleźć się tutaj. O ironio, naprawdę lubiła tę dziewczynę, odkryła w niej bratnią duszę. Łączyło je wspólne, wisielcze poczucie humoru. Sophie potrafiła docenić jej okrutne, lecz niezwykle cenne naśladownictwo koleżanek z klasy i nauczycielek. Sophie - żywe srebro, niezwykle połączenie skóry barwy cukru trzcinowego, niesamowitych rudobrazowych włosów i oczu, jednego zielonego, drugiego niebieskiego. Sophie - dziewczyna fajerwerk.

Sophie zdrajczyni.

Sophie złodziejka.

W sali wspólnej Helen niczym we śnie natychmiast zrozumiała znaczenie rozgrywającej się przed nią sceny. Zupełnie jakby pozowały do obrazu: Córka Ambasadora na wielkiej zielonej kanapie, otoczona wianuszkami ślepo zapatrzonych w nią pochlebczyń, a po prawej stronie na honorowym miejscu przycupnięta pod władczym ramieniem uśmiechnięta Sophie. Na widok Helen Córka Ambasadora uśmiechnęła się lekko. Długo czekała na tę chwilę. Jej druga ręka spoczywała na kolanach. Gdy Helen przekroczyła próg, Córka Ambasadora uniosła dłoń, dzierżąc w niej niczym pop ikonę podłużny notes, obleczony niebieskim jedwabiem.

Pamiętnik Helen.

Cenę, jaką zapłaciła Sophie za wstęp do zakłętą kręgu.

Córka Ambasadora powstała wolno, napawając się tą chwilą i własną władzą. Wszystkie oczy na nią spoglądały, czekali, co teraz zrobi. Uniosła pamiętnik niczym Statua Wolności pochodnię. Tak, pomyślała, długo na to czekałam i dostanę co, czego pragnę. Dostanę łyzy.

Helen ruszyła ku niej szybkim, dziwnie sprężystym krokiem i dopiero gdy znalazła się bardzo blisko, Córce Ambasadora przyszło do głowy z nagłym dreszczem, że być może popełniła poważny błąd. Na twarzy Helen nie dostrzegła nawet śladu strachu czy błagania, jedynie pełne furii, bezlitosne zdecydowanie, promieniujące z niej niczym magnetyczna aura.

Widząc, jak Helen wyciąga prawą rękę, by chwycić pamiętnik, odchyliła się poza jej zasięg, dumnie unosząc podbródek, tym samym stała się idealnym celem dla mocnego lewego sierpowego, który trafił ją prosto w szczękę i powalił jak ogłuszonego wołu.

Rumiana mademoiselle Souterelle, zwolenniczka fizycznej agresji na boisku, pisnęła ze zgrozy na widok przemocy w sali wspólnej. Natomiast upiorna panna Pruitt, która lubiła Helen, a nie przepadała za Córką Ambasadora, wykrzyknęła radośnie: Brawo! (później tłumaczyła się, że tylko kichnęła) i zauważyła (z miną kogoś, kto oglądał już niejedno w swym długim życiu), że był to naprawdę znakomity lewy sierpowy.

Teraz dyrektorka, nie patrząc na czekającą Helen, starannie rozważała całą sprawę. Z jednej strony Córka Ambasadora - całe szczęście, że cios nie złamał jej szczęki, bo prawnicy mieliby używanie - mogąca wezwać na pomoc całe bataliony oburzonych znajomych. Z drugiej - cóż, młoda De Havilland z pewnością była bogata i niewątpliwie pochodziła z dobrej, starej rodziny, lecz właśnie tradycja sprawiała, że rodzina zapewne nie sprzeciwi się tej decyzji. Będą winić dziewczynę, nie szkołę. Zresztą rodziców nie było na miejscu. Matka przebywała w Ameryce. Ojciec - to chyba jakiś nieudacznik. Pozostawały ciotki, a doświadczenie podpowiadało dyrektorce, że w takich wypadkach ciotki sprawiają zwykle mniej kłopotów niż rodzice. Ściągnęła wargi i spojrzała wprost w oczy Helen.

- Co masz do powiedzenia na swoją obronę?

Odpowiedziała jej długa cisza. Najwyraźniej Helen nie miała nic do powiedzenia. Patrzyła spokojnie na dyrektorkę, niewzruszona, nie zdradzając oznak skruchy. Na ten widok dyrektorka nagle poczuła irytację.

- Nie będę tracić czasu na coś tak oczywistego. Zostajesz usunięta ze szkoły. Natychmiast przekażę informację twoim opiekunom. Możesz iść się spakować.

Przez chwilę, nim Helen odwróciła się do wyjścia, dyrektorce wydało się, że dostrzega - nie w jej ustach, wciąż wyzywająco zaciśniętych, lecz w oczach - iskierkę czegoś, co mogło być uśmiechem.

\*

Po powrocie do pokoju Helen ze zdumieniem odkryła leżącą na łóżku niechlujnie zapakowaną paczuszkę. Ktoś przykleił do niej kawałek papieru, na którym widniało jedno słowo, nakreślone wyraźnym, leworęcznym pismem Sophie: PRZEPRASZAM.

Ujęła paczkę w dwa palce, jakby kryło się w niej coś obrzydliwego, i wrzuciła do kosza, który dla pewności postawiła na środku pokoju, by Sophie go zobaczyła, gdy tylko przekroczy próg. Następnie zajęła się pakowaniem, cały czas nasłuchując zbliżających się kroków.

Kiedy skończyła, a Sophie się nie zjawiała, zaczęła się zastanawiać. Czekala ją długa jazda pociągiem, a istniała szansa, że w paczce może kryć się coś do jedzenia, na przykład czekoladki. Jeśli nie, zawsze zdąży wyrzucić ją przez okno. Po chwili namysłu wyciągnęła paczkę z kosza i wsunęła do zewnętrznej kieszeni torby. Owszem, Sophie była zdrajczynią i złodziejką, ale czekolada to jednak czekolada.

## Rozdział 2

### Lekcja sztuki

Dopiero gdy latarnie uliczne rozjarzyły się pierwszym różowawym blaskiem, zapowiadającym nadejście żółtego światła sodowego, Jake zorientował się, jak jest późno. W panice puścił się biegiem i to go ocaliło; gdy skręcał za róg ulicy, odkrył, że matka wyszła z domu i krąży po chodniku, próbując (bez powodzenia) ukryć swój niepokój pod pozorem zwykłego wieczornego spaceru. Kiedy stanął przed nią zdyszany i zlany potem, widziała już jego skruchę. Wystarczyło jedynie zwiesić głowę i wysłuchać potoku wyrzutów, którymi go zasypała.

Gdzie on się podziewał? Co sobie myśli, zjawiając się o tej porze? Co właściwie robił? Nie wiedział, jak bardzo się o niego martwi? Nie zdawał sobie sprawy, że jedzenie stygnie? Pytania te padały z taką prędkością, że ledwie nadążał wtrącić pokorne „Przepraszam, mamusiu”. Matka najwyraźniej od jakiegoś czasu szykowała się na niego i minęła długa chwila, zanim wyczerpała wszystkie możliwe sposoby uświadomienia zbłąkanemu synowi, jak wielką zbrodnię popełnił.

Miało to swoje zalety, bo nim skończyła, Jake zdążył się już przygotować.

- Przepraszam, mamo, musiałem zaczekać na pana Macintosha, a potem rozmawiałem z dziewczyną i nie zauważyłem, która jest godzina.

- Dziewczyną? Jaką dziewczyną?

Jake zrozumiał natychmiast, że popełnił błąd, nie podając od razu nazwiska, ale jego wymienienie także wiązało się z pewnym niebezpieczeństwem: matka dysponowała rozległą siecią znajomości i potrafiła przedstawić drzewa genealogiczne wszystkich kolegów z jego klasy - do trzeciego pokolenia włącznie.

- Sarą, nie wiem, jak ma na nazwisko. Jest nowa - dodał przezornie.

Jake nie lubił kłamać, zwłaszcza matce, od czasu do czasu jednak musiał, toteż zawsze starał się budować swoje wymysły na fundamencie prawdy. I gdy matka, głęboko oburzona, prowadziła go przed sobą ogrodową ścieżką (zupełnie jakby oczekiwała, że lada moment mógłby próbować czmychnąć na bok, nim dotrze do domu), pomyślał, że co najmniej pięć szóstych wyjaśnienia odpowiadało faktom: pan Macintosh, nauczyciel angielskiego, istotnie

weszał go do siebie. Potem rzeczywiście rozmawiał z dziewczyną (no, w pewnym sensie) i faktycznie czas mu minął niepostrzeżenie. Rzeczywiście miała na imię Sara i w pewnym sensie była nowa.

Jedyne kłamstwo dotyczyło nazwiska - znał je doskonale.

Wilbright.

Ściśle biorąc, panna Wilbright.

Uczyła go sztuki.

Panna Wilbright naprawdę była nowa: zjawiała się w szkole tej jesieni w atmosferze skandalu, która cały czas jej towarzyszyła. Jej poprzednik, spokojny dżentelmen w średnim wieku, pan Finch (żonaty, mający dorosłe dzieci), z jakiejś przyczyny tuż przed październikowym świętem wjechał samochodem wprost do rzeki Clyde. Nieco wcześniej widziano go w towarzystwie tajemniczej, dwukrotnie od niego młodszej, rudowłosej dziewczyny. Oficjalny werdykt brzmiał „śmierć w wypadku”. Nieoficjalnie mówiono o znacznie barwniejszych przyczynach.

Co do panny Wilbright, nieoficjalna szkolna opinia brzmiała: „Mocno zakręcona, nawet jak na nauczycielkę sztuki”. Najlepiej podsumował to zastępca dyrektora, który powiedział do jednego z nauczycieli: „Gdyby jedna z dziewcząt przyszła do szkoły w czymś takim, odesłalibyśmy ją do domu”. Panna Wilbright uwielbiała ubierać się w wielowarstwowe zestawy ciuchów, które zaczynały swój żywot jako bielizna bądź koszule nocne, pofarbowanych na najdziwniejsze kolory, najczęściej fiolet, czerń, szkarłat, jadowitą zieleń i jaskrawy błękit. Najdłuższe z owych warstw sięgały wysoko ponad kolana, a między obszytym koronką rąbkiem a czerwonymi sznurowanymi martensami widać było spory kawałek zgrabnych, umięśnionych nóg w rajstopach: siatkowych, przypominających pajęczynę, zrobionych z kolorowych kólek, w czarno-białe paski czy też (na specjalne okazje) w gwiazdki.

Długie, splątane, kruczoczarne włosy kontrastowały ostro z kredowobiałą twarzą i niewiarygodnie zielonymi oczami. Wizerunku dopełniały fioletowe szminka i lakier do paznokci, liczne kolczyki (jeden w nosie) i tatuaż na ramieniu, przedstawiający symbol przypominający tarczę kompasu. A do tego wszystkiego była ponoć praktykującą poganką (w katolickiej szkole!). Miała niezwykle głęboki, zmysłowy głos, który sprawiał, że nawet zwykle „dzień dobry” brzmiało jak niemoralna propozycja. Połowa szkoły uważała, że jest odlotowa, druga połowa miała ją za wariatkę, a sporo osób przychyliło się do obu tych opinii.

Jake'a panna Wilbright fascynowała, ale też odrobinę przerażała, zwłaszcza gdy zaczęła okazywać mu wyraźne zainteresowanie. Z początku wyglądało to niewinnie - pytała

go o zdanie na temat obrazu albo rzeźby i zawsze z zainteresowaniem słuchała odpowiedzi, co mu pochlebiało. Potem zaczęła wychwalać jego rysunki i obrazki. Często bardzo dokładnie pokazywała, jak mógłby ulepszyć w nich to czy owo. Bez wątpienia mimo dziwnego wyglądu była wspaniałą nauczycielką: doskonale znała się na sztuce i potrafiła zainteresować nią nawet najobojętniejszych uczniów. Ktoś, kto ubierał się w ten sposób, łatwo mógł zyskać opinię błazna, panna Wilbright miała jednak niezwykle twardego charakter i w jej klasie panowała żelazna dyscyplina; dotyczyło to nawet największych rozrabiaków.

W nowym roku panna Wilbright zaprosiła garstkę wybranych uczniów, większość z szóstej klasy, na dodatkowe zajęcia rozumienia sztuki. Jake był jedynym przedstawicielem młodszych klas. Zaproszenie zaskoczyło go i zachwyciło także dlatego, że dziewczyny z szóstej klasy uważano za najfajniejsze w szkole i znajomość z nimi, ich powitania i uśmiech wzbudzały zazdrość wszystkich chłopaków.

Stopniowo Jake zaczął dostrzegać, że spędza na tych zajęciach więcej czasu niż ktokolwiek inny: zwykle zjawiał się pierwszy i zawsze wychodził ostatni, ponieważ panna Wilbright nieodmiennie prosiła go o pomoc w sprzątaniu. A często, gdy już miał wyjść, prosiła, by „spojrzał na to” albo powiedział jej, „co o tym sądzi”, i wyjmowała coś ciekawego: reprodukcję słynnego dzieła sztuki, coś, nad czym właśnie pracowała. Owe dodatkowe sesje trwały nieraz pół godziny i więcej.

Zwykle nie stanowiło to problemu, bo rodzice nie mieli zastrzeżeń, pod warunkiem że wiedzieli, gdzie przebywa (bądź powinien przebywać) ich syn, i cieszyli się, iż Jake bierze udział w tak wielu zajęciach pozaszkolnych: w poniedziałki piłka nożna, we wtorki badminton, w środy kółko dramatyczne, w czwartki rozumienie sztuki.

Dziś jednak był piątek i te zajęcia z rozumienia sztuki odbyły się zupełnie pozaplanowo, w cztery oczy.

Po ostatnim dzwonku Jake poszedł do gabinetu pana Macintosha, gdzie przeprowadzili dość osobliwą rozmowę. Pan Macintosh (także nowy w tym roku - zjawił się w połowie listopada) rozłożył na biurku wszystkie wypracowania Jake'a. Oznajmił, że bardzo interesuje go postać, którą Jake uczynił bohaterem swych opowiadań, niejaki Stephen Bishop, milioner i kolekcjoner dzieł sztuki. Nauczyciel twierdził, iż jest w nim coś znajomego. Jake, sądząc, że mężczyzna oskarża go o plagiat, bronił się zawzięcie - pierwotnym Bishopa był prawdziwy człowiek, jego przyjaciel Stephen Langton (nazwisko Bishop, biskup, stanowiło dodatkowy żart; niegdyś jeden z arcybiskupów Canterbury nosił nazwisko Langton), i tak się składa, że milioner i kolekcjoner dzieł sztuki.

- Może właśnie o to chodzi - rzekł pan Macintosh. - Może spotkałem gdzieś owego

pana Langtona. Czy mieszka w Glasgow?

- Nie - odparł Jake. - Pod Cambridge, niedaleko wioski Manorhampton, we wspaniałej rezydencji Silk House...

W tym momencie obaj dostrzegli czekającą w drzwiach pannę Wilbright. Stała dokładnie między nimi a słońcem, jej twarz skrywał cień, lecz głowę otaczała lśniąca aureola włosów. Promienie przeświecały przez zwiewne ubranie i Jake wyraźnie dostrzegł ponętne krągłości.

- Jeśli skończyliście, chciałabym chwilę pomówić z Jakiem.

Ale jestem dziś popularny, pomyślał Jake.

- A tak, możesz iść, Giacometti. Dzięki za wyjaśnienia.

Jake podążył za panną Wilbright, wciąż zadziwiony rozmową z Macintoshem. Czy naprawdę dowiedział się już tego, czego chciał, czy też panna Wilbright mu przeszkodziła? Nauczycielka przystanęła, czekając, aż ją dogoni. Gdy się zbliżał, poczuł znajome mrowienie gdzieś w dole brzucha. Otaczała ją słodka, ciężka woń perfum, przypominająca kadzidło. Panna Wilbright spojrzała na niego swymi niewiarygodnie szmaragdowymi oczami i uśmiechnęła się lekko.

- Uznałam, że przyda ci się ratunek.

Ruchem głowy wskazała gabinet Macintosha.

- A tak, dziękuję. Wypytywał mnie o jedno z moich opowiadań.

- Czy twoje prace interesują go jakoś szczególnie?

W głowie Jake'a rozległ się dzwonek alarmowy. Nauczycielka subtelnie krążąca wokół tematu? Czyżby próbowała go ostrzec przed Macintoshem?

- Raczej nie, proszę pani. Przynajmniej nie do teraz.

- Możesz mi mówić Sara, jesteśmy po zajęciach.

Jeśli zamierzała uspokoić Jake'a i zdobyć jego zaufanie, nie bardzo jej wyszło. Nagle poczuł się strasznie niezręcznie, boleśnie świadom tego, jak blisko siebie stoją.

- Nie musisz, jeśli nie chcesz - dodała z uśmiechem. - Po prostu wszystkie te „panny” i „proszę pani” wydają mi się takie sztywne i staroświeckie.

- To fakt.

Znów się odprężył.

- Chciałam ci coś pokazać. Jestem tym naprawdę podekscytowana.

Dotarli już do pracowni sztuki, jednego z ulubionych miejsc Jake'a w całej szkole. Wszędzie panował przyjemny chaos. Wokół leżały fascynujące przedmioty, rzeczy potrzebne do zajęć z rysunku, kawałki starych maszyn, sieć rybacka i kilka złotych szaławików,



wypchany lis. Z sufitu zwisał nawet niewielki krokodyl, który sprawiał, że pomieszczenie miało w sobie coś ze starej apteki. Na ścianie rozwieszono liczne prace uczniów - część była naprawdę niezła - oraz wielkie plakaty wystaw artystycznych.

Panna Wilbright majstrowała przy roletach.

- Możesz zamknąć drzwi, Jake? Musi być ciemno.

Jake zamknął drzwi i przystanął z wahaniem przy wyłączniku. Teraz panna Wilbright (Sara!) krzątała się przy czymś, co ustawiła na biurku. Czarne włosy opadły na bladą twarz. Jej ręce pod koronkowym szalem przypominały kość słoniową.

- Zgaś światło, dobrze?

Jake pstryknął wyłącznikiem. Gardło ścisnęło mu się nagle. Co teraz?

- Podejdź tu, proszę.

Jake już miał zaprotestować, że nic nie widzi, gdy pośrodku pokoju zapłonęło miękkie światło. Prawie jak poświata, pomyślał Jake. Źródło światła znajdowało się gdzieś na biurku. Widział przed sobą migotliwą, złocistą półkulę. Panna Wilbright stała za nią; padający z dołu blask tworzył niesamowitą mozaikę plam złocistego światła i głębokiego cienia. Jake ruszył ku niej ostrożnie, wymijając ostre krawędzie ławek.

- Usiądź.

Posłuchał. Panna Wilbright poszła w jego ślady, siadając zapewne na stołku, bo górowała nad nim. Pochyliła się, jej twarz przypominała złocistą maskę zawieszoną w powietrzu. Dłonie spoczywały na czymś wysokim i prostokątnym, pokrytym materiałem. Tuż przed tym stało źródło światła, obłok lśniącej mgiełki uwięzionej pod odwróconą szklaną misą. Była dość jasna, ale nie oślepiała.

- Oto co chciałam ci pokazać.

Zdjęła materiał.

- Należy to oglądać przy słabym oświetleniu.

- Piękne.

Był to portret dziecka, dziewczynki mniej więcej siedmioletniej, namalowany niezwykle żywo i wyraziście. Dziewczynka odwracała się w stronę widzów jak do aparatu. Miała na sobie odświętną sukienkę z błękitnego jedwabiu - miniaturową suknię dorosłej kobiety. Jej szyję okalał sznur ciężkich, lśniących pereł. Spod nich wystawał srebrny łańcuch zakończony rubinowym wisiorem. Jej oczy spoglądały wprost na niego z wesołym wyzwaniem. Usta zdawały się wykrzywiać w uśmiechu. Stała na balkonie, za plecami miała marmurową balustradę. Dalej rozciągał się fantastyczny krajobraz: spiczaste, zielone wzgórza pod błękitnozielonym niebem. Z boku stał mały drewniany stolik, na wpół ukryty za ciężką

zasłoną z pomarańczowobrazowego adamaszku, przewiazaną czerwono-złotym jedwabnym sznurem. Połączenie najdrobniejszych, wyraźnych szczegółów z miękkim, rozproszonym światłem sprawiało, że obraz wydawał się żyć, przypominał widok z okna. Jake miał wrażenie, że siedzi w ciemnym wnętrzu domu, spoglądając na stojącą w słońcu dziewczynkę. Nagle ujrzał spoczywającą na stole dłoń w rękawiczce z ciemnozielonego jedwabiu. Palce zdobiły ciężkie pierścienie z klejnotami. Obecność dłoni nadawała obrazowi aurę tajemniczości, było w niej coś męskiego, silnego, jakby należała do kogoś obdarzonego wielką mocą. Jake miał wrażenie, że coś przyciąga go w stronę tego balkonu, zupełnie jakby dziewczynka wzywała go do siebie.

Słyszał mówiący coś cichy głos, nie zwracał jednak uwagi na słowa - obraz zafascynował go całkowicie.

\*

I istotnie, powiedział matce prawdę - naprawdę nie zauważył upływu czasu. Dopiero teraz, leżąc w łóżku, uświadomił sobie, że nie pamięta dwóch godzin ze swego życia.

Gdzie on był? Faktycznie, gdzie?

## Rozdział 3

### Kamień Smutku

W ostatnim błysku światła odbitego w tylnej szybie autobus zniknął w dali za wzniesieniem kryjącym koniec prostej drogi, unosząc ze sobą XXI wiek. Wśród drzew nagle odezwał się ptak, krzyknął przesywająco i umilkł równie gwałtownie. Cisza zdawała się jeszcze głębsza. Gerald De Havilland przebiegł wzrokiem po ciemnych szpalerach drzew otaczających drogę. Nad nimi po rozświetlonym niebie płynęły białe chmury.

Litwa, teraźniejszość, pomyślał. Albo przeszłość.

W tym miejscu, zredukowanym do podstawowych pradawnych elementów - drogi, drzew, nieba - różnica między przeszłością i teraźniejszością zniknęła. Z łatwością mógł uwierzyć, że gdzieś w lesie krążą żubry, które przetrwały tu (dzięki królewskiemu rozkazowi) tysiąc lat dłużej niż w reszcie Europy. Niegdyś owa maleńka republika nadbałtycka tworzyła z Polską unię dwóch narodów, olbrzymią krainę, która przez kilka wieków była największą potęgą w tej części kontynentu. Stanowiła też ostatni bastion pogaństwa, które przetrwało na Żmudzi aż do XV wieku.

Drzewa te rosły tu już wtedy, było też niebo i zapewne ta droga. Mrużąc oczy, gdyż oślepił go blask słońca, wyobraził sobie scenkę: wóz, być może zaprzężony w muła, albo może samego muła, prowadzącego go mężczyznę, dziewczynę na grzbiecie zwierzęcia - a może oboje szli pieszo, muł dźwigał ich bagaże, a w tych bagażach... Uśmiechnął się do siebie, próbując przywołać przeszłość tak, by odpowiadała jego obecnym pragnieniom. Z pewnością podróżowali właśnie tą drogą - Massimo Mancino, młody włoski malarz, i dziewczyna, z którą uciekł - miała wówczas zaledwie czternaście lat, była młodsza od Helen. Pokonali razem prawie dwa tysiące kilometrów, zostawiając za sobą willę Ruggiera na południu Francji. Co jednak ze sobą przywieźli?

Wiedział doskonale, co zostawili - machinę alchemika, rozebraną, owiniętą w natłuszczone szmaty i ukrytą w wydrążonym filarze w westybulu. Zabrali też coś ze sobą - niedokończony portret Ruggiera da Montefeltro, który Mancino ukończył później i nazwał *Sekret alchemika*. Na obrazie kryła się wskazówka co do miejsca ukrycia machiny. Ale co jeszcze? Oto jest pytanie.

Gdy po raz pierwszy pomyśleli ze Stephenem Langtonem o możliwej odpowiedzi - we frontowym salonie Silk House - wyglądała ona dużo prawdopodobniej niż w tej chwili.

- Plany - rzekł Stephen. - Musieli mieć plany.

- Trudno sobie wyobrazić, by zbudowali ją bez nich - zgodził się De Havilland.

Na stole między nimi spoczywała machina alchemika, zmontowana po wielu miesiącach ciężkiej, znużonej pracy - wyraźnie skończona, ale mimo to nie działająca. Przypominała szkielet dziwaczego stworzenia, choć trudno określić jakiego. Było w nim coś niemal ptasiego. Jedyłą nadzieję dawało jeszcze puste miejsce w kształcie jaja w samym centrum maszyny.

- W tym miejscu z pewnością coś musiało być - rzekł Stephen.

- Obejmy chyba miały coś przytrzymywać.

- Ale co?

- Może jakąś baterię? - rzucił żartobliwie De Havilland.

- Możliwe, możliwe! Coś, co maszyna pochłania albo zużywa podczas pracy. To wyjaśnia, czemu nie było tego z całą resztą.

- Ale jak się dowiemy?

To doprowadziło ich z powrotem do planów. Teraz, gdy Havilland powrócił myślami do owych rozmów i odkrył, że to, co wówczas wydawało się absolutnie logiczne, obecnie przypomina pobożne życzenia: skoro czegoś brakowało, z pewnością pokażą to plany, zatem muszą istnieć plany i Mancino musiał zabrać je ze sobą, bo ich nie zostawił. Oczywiście według tego samego rozumowania plany musiały przetrwać niemal pięć stuleci wojen, ciągłych zmian granic i władców, częstych walk, chaosu i zniszczenia - po to, by już za pierwszym razem mógł je odkryć wasz uniżony sługa, Gerald De Havilland, udający profesora sztuki z jednego z mniej znanych college'ów w Cambridge. O tak.

Odległy dźwięk wyrwał go z ponurych rozmyślań. Odwrócił głowę i ujrzał zbliżający się dziwny pojazd. Dopiero gdy dotarł całkiem blisko, De Havilland zdołał zrozumieć, co widzi: pod rozdzieloną na pół przednią szybą dwa wielkie bliźniacze księżycy reflektorów lśniły po obu stronach nachylonej pionowo chłodnicy, po której bokach wyrastały zakrzywione błotniki. Charakterystyczny kształt zwieńczenia kratki - krzywizna z dwoma płaskimi skrzydełkami - świadczył, że ma przed sobą packarda, pochodzącego tuż sprzed drugiej wojny światowej.

Samochód zatrzymał się przed nim z cichym pomrukiem. Pokrywał go ciemnoniebieski lakier, zmatowiały ze starości, na tylnych drzwiach widniał herb. Kierowca wysiadł z boku. Był to drobny, elegancki człowiek w staroświeckiej, lawendowoszarej liberii,

spiczastej czapce, błyszczących wysokich butach i dwurzędowej marynarce. Mimo starannie zapastowanych cholew sprawiał wrażenie kogoś, kto przeżywa ciężkie czasy i usiłuje zachować wspomnienie znacznie wspanialszej młodości.

- Professeur De Havilland? - spytał z francuskim akcentem.

- We własnej osobie - odparł De Havilland.

Wyciągnął przed siebie teczkę z przewieszonym przez nią płaszczem przeciwdeszczowym. Miał nadzieję, że przypomina to typowo profesorski gest. Szofer otworzył przed nim tylne drzwi i De Havilland, pochylając się, wsiadł do przestronnego samochodu. Część pasażerska, podobnie jak sam szofer, miała już za sobą dni swojej świetności. Niegdyś stanowiła oazę luksusu, obecnie jednak skóra popękała, lakier obłaził, a ciężka woń wilgoci świadczyła o tym, że samochód dopiero niedawno wyciągnięto ze starego garażu. Mimo wszystko było tu bardzo wygodnie, a gruba szyba dzieląca go od szofera sprawiała, że w samochodzie panowała nietypowa cisza.

De Havilland zaczął drzemać. Przed jego oczami pojawiały się kolejne cudowne wizje tego, jak znajduje plany ukryte w wielkiej księdze. Tymczasem packard zjechał z drogi i zagłębił się między drzewa, podążając czymś, co zasługiwało najwyżej na miano zwykłej ścieżki, porośniętej trawą, lecz nietypowo gładkiej. Być może w istocie był to wyłożony kamiennymi płytami gościniec, obecnie zarośnięty. A może po prostu packard miał wyjątkowo dobre zawieszenie. Pokonali półtora kilometra, ścigając się ze zmierzchem, po czym przystanęli. Szofer wysiadł i przyświecając sobie latarką, odplatał łańcuch łączący dwa skrzydła skrzypiącej bramy. Ich zwieńczenie niknęło w ciemności. Z rzeźbionych słupów po bokach spoglądały na nich rzeźbione, heraldyczne zwierzęta. Szofer ruszył naprzód, po czym starannie zamknął bramę. De Havilland pomyślał, że to zupełnie próżny gest.

Światło dnia gasło błyskawicznie. Kierowca włączył reflektory i ich promienie zatańczyły przed nimi, oświetlając pnie drzew po obu stronach, przypominające rzędy kolumn. Nagle światło padło na porośnięty bluszczem mur, który De Havilland w pierwszej chwili wziął za fasadę domu - wśród liści dostrzegł okna - samochód jednak przejechał wprost na drugą stronę, pod szerokim łukiem, i znalazł się na rozległym dziedzińcu. De Havilland dostrzegł masywną, ozdobną fontannę, a potem światło reflektorów padło na dolną część potężnych budynków po drugiej stronie brukowanego dziedzińca, ukazując wysokie okna z zamkniętymi okiennicami po obu stronach wyniosłego portyku. Olbrzymie, nabijane ćwiekami drzwi sprawiały, że stojąca przed nimi postać przypominała karła. W rękę trzymała latarnię, połyskującą miękkim żółtym światłem.

Szofer wyskoczył zgrabnie z samochodu i otworzył drzwi. Tymczasem osoba ze

światłem zeszła po schodach. De Havilland odkrył, że to drobna, starsza kobieta, na oko równolatka szofera, może żona; sposób, w jaki zamienili parę słów, sugerował wieloletnią zażyłość. Rozmawiali po francusku. W dłoni trzymała staroświecką latarnię sztormową, a to, jak ją unosiła, spoglądając przed siebie w mrok, przywodziło na myśl postać z alegorycznych obrazów. Poprowadziła ich w górę schodów do potężnych drzwi. Szofer dreptał z tyłu, dźwigając torbę De Havillanda.

Przekroczywszy próg holu, De Havilland zatrzymał się nagle, widząc przed sobą niezwykle zjawisko - z mroku po drugiej stronie spoglądało na niego troje dzieci. Zdawało się, że zawisły w powietrzu, i fakt ten w połączeniu z płowymi włosami całej trójki nasunął skojarzenie z aniołami. Trudno było określić ich płeć: wszystkie miały długie włosy, a ciemność nie pozwalała dostrzec ich ubrań. Twarz najwyższego dziecka zdawała się nieco bardziej męska. Przez moment stał tak bez ruchu, oczekując, że któreś się odezwie.

Potem stopniowo jego oczy przywykły do ciemności i przekonał się, że hol sięga aż do dachu dworu. Po drugiej stronie wznosiły się szerokie schody, na których podeście zawieszono obraz przedstawiający trójkę dzieci, wielokrotnie większych niż za życia. Oświetlały go padające z okna promienie księżycy. Tuż obok słaba latarnia rzucała wokół siebie krąg światła, poza którym bardziej przeczuwał, niż dostrzegał obecność wysokich rzeźbionych mebli i obrazów w ciężkich, złożonych ramach. Tu i ówdzie światło migotało na oczach i zębach wypchanych zwierząt. Kobieta dotarła do połowy pokrytej boazerią ściany, otworzyła ukryte drzwi i wprowadziła go do pomieszczenia oświetlonego wyłącznie blaskiem świec.

Jego łaskawość książę Steponas Algirdas Vitautas-Geminidas był niezwykle wysokim mężczyzną. Miał ponad dwa metry wzrostu, a jego chuda sylwetka przywodziła na myśl wielkiego, brodzącego ptaka. Miał bujną siwą czuprynę. Liczył sobie od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu lat.

- Panie De Havilland, jakże mi miło pana poznać. Witam w skromnych progach domu moich przodków.

Głos miał miły i melodyjny, z lekkim śladem obcego akcentu. Wyciągnął długą rękę i zatoczył szeroki tuk.

- Musi pan nam wybaczyć świece. To coś więcej niż sentymenty starego świata. Zepsuł nam się generator, a uszkodzenie przerasta zdolności naszego błyskotliwego Maurice'a. Ale to też bardzo łaskawe światło. Zechce pan usiąść?

De Havilland, rozejrzawszy się, doszedł do wniosku, iż istotnie, pokojowi przyda się łaskawe światło: ściany były popękane, obłaziły z farby, w kilku miejscach tynk odpadł,

zupełnie odsłaniając stare bale. Książę najwyraźniej odgadł, o czym myśli.

- Lękam się, iż trzeba uczynić wiele, by stara siedziba znów mogła godnie podjąć gości. Zdołaliśmy jednak znaleźć dla pana sypialnię ze szczelnym dachem. Będzie pan też zapewne rad, słysząc, iż Sylvie rozpałała ogień, by przegnać wilgoć. Krzątała się pilnie cały dzień. Jest pan pierwszym gościem, jakiego oglądamy w tym dworze od wielu lat.

- To dla mnie zaszczyt.

- Zbyt pan łaskaw. Czy mogę zaproponować kieliszek tokaju?

- Dziękuję.

- Zdobywanie odszkodowań to długi proces. Tuczą się na nim wyłącznie prawnicy. Najpierw Sowieci, potem hitlerowcy, potem znów Sowieci, obecnie demokraci. I tak wielu rzeczy nigdy nie odzyskamy. Mamy szczęście, że oddali nam chociaż ten majątek. Jesteśmy jednak cierpliwi. Nawet w najczarniejszej godzinie wciąż pozostaje iskierka nadziei. Siedemdziesiąt lat to z pozoru bardzo długo, lecz nasza rodzina mieszka tu od lat siedmiuset. Już wcześniej przeżywaliśmy ciężkie chwile, lecz nasz czas znów nadejdzie, zawsze nadchodzi. Tysiącletnia Rzesza przetrwała zaledwie dwanaście lat, komunizm załamał się po kilkudziesięciu. Co dzień poznajemy nowe grzechy i błędy demokracji owego skorumpowanego oszustwa, narzędzia wielkich interesów i międzynarodowych korporacji. Jak długo trzeba, by i ona runęła w gruzy? Wówczas ludzie zwrócą się do tych, którym ufali w przeszłości, do starych rodów.

Przez chwilę iluzja zdawała się całkowita: wysoka postać w blasku ognia, z dłonią na oparciu fotela; stanowcza, arystokratyczna twarz spoglądająca z dumą w przyszłość, czekająca na wezwanie ludu - lecz tylko przez chwilę, zaraz bowiem powróciła rzeczywistość: oblażący tynk, mrugające świece, stary, wilgotny packard, olbrzymi, rozpadający się dom z zaledwie dwójką żalosnej służby. Ten człowiek to szaleniec, pomyślał De Havilland.

- Musi mi pan wybaczyć, przepraszam. Nie sprowadza tu pana polityka. Wpływy włoskie w sztuce krajów nadbałtyckich. Zgadza się?

- Istotnie - odparł De Havilland.

Aby dowieść swego głębokiego zainteresowania, wyjął ostatni rekwizyt akademicki - parę okularów w złotej oprawce, które nałożył.

- Oczywiście cały świat słyszał o Bacciarellim i jego pracowni - oznajmił tonem wykładowcy. - Ale to działo się w osiemnastym wieku, a ja chcę cofnąć się dalej w przeszłość, do czasów panowania Bony Sforzy.

- Niespokojne czasy - wtrącił książę.

- Rzecz jasna interesuje mnie Bartolomeo Berecci, podobnie Francesco Fiorentino i Santi Gucci... - Uważnie obserwował księcia, wymawiając te nazwiska. Uznał, że jego gospodarz słyszał o nich, ale niewiele dla niego znaczą. Zdjął okulary, przecierając rękawem szklę. - Ale jakże często to mniej znane postaci okazują się ciekawsze. Gdybyśmy tylko wiedzieli o nich więcej! Weźmy na przykład jakże barwną postać Flavia Portinari. Jestem przekonany, że podczas swych wędrówek odwiedził także te strony. Albo Ambrosio del Foscolo, typ dość podejrzany, czy też Massimo Mancino, o którym wiadomo nam tylko, że sądząc po nazwisku, zapewne był leworęczny...

- Massimo Mancino? Jeśli chodzi o niego, może zdołamy panu pomóc.

- Naprawdę? - spytał De Havilland, nie zdradzając zbytniego zainteresowania. - No i Bramante. Gdybyśmy zdołali ustalić, że on także tu był, o, to byłoby coś!

Z zadowoleniem dostrzegł, że księżę nie jest już taki spokojny, jakiego udawał.

- Wiecie coś o Bramantem? - spytał niewinnym tonem.

- Bramante? Nie, wątpię, ale co do Mancina...

- Tak mało o nim wiadomo. Nie mamy pewności, że w ogóle tu był.

- Ależ był, był, zapewniam.

- Naprawdę? - De Havilland pozwolił, by w jego oczach zabłysła iskra zainteresowania. - Ustalenie tego z całkowitą pewnością stanowiłoby niewątpliwie ważne odkrycie, niezbyt wielkie, lecz istotne.

- Autorytatywnie twierdzę, że był tutaj. Mój przodek, wielki księżę Vilkas, go zatrudnił.

- Ach tak? Przypuszczam jednak, że nie ma zbyt wielu dokumentów, które to potwierdzą?

- Wręcz przeciwnie, dysponujemy sporym archiwum. Widzi pan, poza talentem artystycznym Mancina są inne powody, dla których nasza rodzina go zapamiętała.

De Havilland wyczekująco uniósł brwi. Teraz jednak to księżę najwyraźniej nie chciał zbyt szybko rozładowywać napięcia.

- Ale zapominam o moich manierach. Ma pan za sobą długą podróż i z pewnością zechce odświeżyć się przed kolacją. Pozwoliłem sobie polecić Sylvie, by przygotowała panu kąpiel. Nasze instalacje są dość staroświeckie, lecz spodziewam się, że jest już gotowa.

Pociągnął ozdobny sznur od dzwonka przy kominku i po chwili w pokoju zjawił się wierny Maurice.

Łazienka przypominała gotycki loch. Wanna majaczyła w rozświetlonej blaskiem świec parze niczym kadłub porzuconego statku. Trzy kwadransy później De Havilland



wynurzył się z niej wyraźnie odprężony i za ledwie za trzecią próbą odszukał jadalnię. Zaskoczyło go, że gospodarz nie był sam. Przy stole siedziała też kobieta w nieokreślonym wieku, uderzająco podobna do księcia. Można ją było nawet nazwać piękną, w szczególności lodowaty sposób, choć jej twarz nie zdradzała najmniejszego ożywienia.

- Moja córka, Aleksandra.

Kobieta ukloniła się i uśmiechnęła: dziwnie, bezmyślnie. Podczas posiłku - przepyszny - książę w rozmowie zwracał się także do niej, od czasu do czasu rzucając kolejne uwagi. Ona jednak nie odpowiadała, większość czasu patrząc w przestrzeń. Jadła i piła to, co przed nią stawiano, jak automat, bez apetytu, i zupełnie nie interesowała się obcym przy stole.

Zachowanie córki najwyraźniej nie dziwiło gospodarza. Książę okazał się wspaniałym rozmówcą, miał wiele do powiedzenia na najróżniejsze tematy, od swych ambicji politycznych - dość naiwnych i idealistycznych - po historię Litwy i rolę, jaką odegrał w niej jego ród. W jego ujęciu była to rola niezmiernie interesująca. Dopiero gdy córka ich opuściła - wstała nagle i odeszła bez słowa, kiedy Maurice przyniósł koniak i cygara - książę powrócił do tematu Mancina.

- Widział pan z pewnością w holu portret trojga dzieci.

- Istotnie, wywarł na mnie wielkie wrażenie. To dzieło Mancina?

- Nie, ale stanowi doskonały punkt wyjścia, pozwalający wyjaśnić związki łączące go z moją rodziną. Miał pan okazję przyjrzeć mu się bliżej?

De Havilland zaciągnął się cygarem i posłał w powietrze obłok błękitnego dymu. Rozmyślał gorączkowo. Czy to jakaś próba? Może w obrazie było coś szczególnego, co powinien zauważyć? Istotnie, przystanął, by przyjrzeć mu się w drodze do jadalni.

- Niestety światło nie było zbyt dobre. Zauważyłem jednak, że to niezwykle piękne dzieci. Przypuszczam, że brat i dwie siostry?

Odrobina pochlebstwa nigdy nie zaszkodzi, pomyślał. Poza tym była to prawda, dzieci istotnie odznaczały się urodą. Książę uśmiechnął się.

- Istotnie, są piękne, prawda? Bez przesady można powiedzieć: anielsko piękne.

On także wypuścił z ust obłok dymu i zerknął na Havillanda z ukosa.

- To dzieci mojego przodka w prostej linii, Algirdasa. Chłopiec, Stanislaus, niemal na pewno zamordował swego ojca i sprzymierzył się z młodszą siostrą, Marisą, w zamachu na życie stryja, wielkiego księcia Vilkasa. Później Marisa oszalała i ostatnie dwadzieścia lat na tym świecie spędziła zamknięta w wieży. W końcu rzuciła się z okna lub, co bardziej prawdopodobne, wypchnął ją z niego brat. Przez całe życie doświadczał ataków morderczej

furii. Całkiem możliwe, że został otruty przez własne dzieci, którym pomagała jego żona. Druga siostra Anna była niedorozwinięta, całe życie pozostała dzieckiem, lecz przynajmniej nikomu nie szkodziła. Ich matka Amelia popełniła samobójstwo.

- Dobry Boże, co za straszna seria nieszczęść. Co się stało?

Księżę spojrział na niego przebiegle i zaciągnął się cygarem, aż jego koniuszek rozjarzył się czerwonym blaskiem.

- Klątwa.

Havilland odpowiedział spokojnym spojrzeniem, lecz zmusił się do milczenia. Po chwili księżę podjął opowieść.

- Rodzina nieświadomie weszła w posiadanie przedmiotu, który doprowadzał swych właścicieli do obłądzenia i zbrodni.

Mrugnął do Havillanda, sprawdzając, czy gość traktuje poważnie jego słowa.

- Tak przynajmniej brzmiała popularna legenda. Moi przodkowie powtarzali ją przy każdej okazji, choć w istocie niemal na pewno ją wymyślili. Zawsze łatwiej obwiniać siły zewnętrzne, jak to mówił Szekspir? „Cóż za przedziwny wykręt [...] składać swą kozłą naturę na karb gwiazd”<sup>1</sup>.

De Havilland z cygarem w dłoni zmarszczył czoło w, jak miał nadzieję, profesorskim namyśle.

- Zaiste, drogi Brutusie, „nie jest to wina gwiazd, ale nas samych”<sup>2</sup>

Księżę obdarzył go promiennym uśmiechem. Nieźle mi idzie, pomyślał De Havilland. Dzięki Bogu za świetną pamięć i bogatą bibliotekę w więzieniu.

- Mój przodek, wielki księżę Vilkas - imię to znaczy wilk - był człowiekiem niezwykle energicznym i fascynującym, prawdziwym człowiekiem renesansu. Zbudował ten dwór i przekształcił majątek z epoki średniowiecznego feudalizmu w coś jak na owe czasy niezwykle nowoczesnego. To był szesnasty wiek, czasy Bony Sforzy. Vilkas chętnie podchwytywał wszystkie nowinki docierające do tej części świata z południowej Europy, zwłaszcza Włoch, i na jego dworze, podobnie jak na dworze króla Zygmunta w Warszawie, roiło się od cudzoziemców: artystów, inżynierów, naukowców, filozofów. Miał tylko jedną troskę - brak dzieci. Adoptował zatem Algirdasa, syna swego młodszego brata, i mianował swym następcą. Algirdas ów był szalonym młodzieńcem, niesławnym uwodzicielem, zabawiającym się z kolejnymi młodymi pannami, które porzucał, gdy mu się znudziły. Jedną

---

<sup>1</sup> William Szekspir, *Król Lir*, przeł. Józef Paszkowski.

<sup>2</sup> William Szekspir, *Juliusz Cezar*, przeł. Józef Paszkowski.

z jego ofiar była młoda Włoszka Elena, córka artysty z dworu Vilkasa. Bardzo młoda, miała zaledwie dwanaście, najwyżej trzynaście lat. Ciężko przeżyła zerwanie. Wkrótce potem uciekła i nigdy jej już nie widziano. Jej matka, w owym czasie ciężarna, niemal oszalała z rozpaczy. Krążyła po kraju, szukając córki, ale potem i ona zniknęła. Wszyscy byli pewni, że się zabiła, lecz rok później powróciła, wydawszy na świat bliźnięta, chłopca i dziewczynkę.

Czas płynął i rozrzutność Vilkasa coraz bardziej odczuwano. Wielki książę był bliski bankructwa. Rozpaczliwie pragnął, by jego bratanek poślubił stosowną pannę, nie tylko w celu zapewnienia ciągłości rodu, ale także zdobycia jakże potrzebnych funduszy. Niestety, nie znalazł zbyt wielu odpowiednich kandydatek. Wówczas zwróciła się do niego matka Eleny, dziewczyny, której życie zniszczył Algirdas, i przedstawiła mu niezwykłą propozycję. Jeśli chłopak poślubi jej drugą córkę, Amelię - jedną z bliźnięt - przekaze jej bezcenne wiano.

Z początku Vilkas zareagował pogardliwie - kobieta była szalona, nigdy nie doszła do siebie po śmierci pierwszej córki i jej słowa najwyraźniej dowodziły tego obłędu. Poza tym skąd u niej, córki czy żony zwykłego malarza, bezcenne wiano? Gdy jednak zabrała go na bok i pokazała mu coś, dostrzegł w tym ratunek dla majątku rodu. Algirdas i Amelia wzięli zatem ślub i jej posag trafił do rodowego skarbcza.

Książę zaciągnął się cygarem, wypuszczając w górę kolejną chmurę dymu. De Havilland pochylił się ku niemu.

- Zakładam, że to ów posag niósł ze sobą klątwę?

- Istotnie. W pewnym sensie rzeczywiście tak było. Proszę sobie wyobrazić tę scenę. Cała rodzina zebrała się na bankiet z okazji chrzcin trzeciego dziecka, Marisy. Goście wygłaszają zwyczajowe mowy i toasty. Nagle matka Amelii, Włoszka, wstaje z miejsca. Wszyscy są zaskoczeni, bo od lat niemal się nie odzywała. Zaczyna bardzo typowo, mówiąc, że przez wiele lat pragnęła tylko jednego i teraz może umrzeć szczęśliwa. Oczywiście wszyscy sądzą, że ma na myśli małżeństwo córki, obecnie pobłogosławione przyjściem na świat dzieci.

Kolejna dramatyczna przerwa, obłok wonnego dymu wydmuchnięty niezwykle wolno, leniwie.

- A potem mówi im, czego tak bardzo pragnęła: zemsty.

- Zemsty?

- Zemsty za nieszczęście córki, Eleny. Zemsty na mężczyźnie, który zrujnował jej życie. Algirdasie, rzecz jasna; wszyscy o tym wiedzieli. W sali podnosi się wrzawa. Co ona chce zrobić? Skrzywdzić dzieci? Jej następne słowa zaskakują ich całkowicie. Miałam tylko dwoje dzieci, oznajmia. Syna, który już nie żyje, i moją ukochaną Elenę. - Wskazuje ręką

Algirdasa. - Elenę, która zmarła w lesie, rodząc córkę tego człowieka.

Zawiesił głos, obserwując niedowierzanie, które zaczęło pojawiać się na twarzy De Havillanda.

- Nie? - mruknął tamten niemal bezdźwięcznie.

- Ależ tak - odparł książę. - Dziecko przeżyło i kobieta wychowała je jak własne po to, by stało się narzędziem zemsty.

- Mój Boże, sprawiła, że poślubił własną córkę? Zupełnie jak w greckiej tragedii.

- Skutki były porażające. Biedna Amelia, słysząc o tym, jak została wykorzystana przez kobietę, którą uważała za matkę, popełniła samobójstwo. Algirdas nigdy nie doszedł do siebie. Uważał, że został przeklęty. Tak jak wszyscy inni wierzył święcie, że z ich związku musiały zrodzić się potwory. W rezultacie dwójka istotnie wyrosła na potwory, bo tak je traktował. O ironio, najprawdopodobniej jedynie środkowe dziecko, Anna, niedorozwinięta, przyszło na świat z nieuleczalną wadą genetyczną.

Książę dostrzegł minę De Havillanda.

- Tak, to wada dziedziczna i bardzo rzadka. Nazwano ją od nazwiska naszej rodziny, pojawia się w każdym pokoleniu. To właśnie spotkało moją córkę Aleksandrę.

- Przykro mi.

Książę machnął ręką w geście zdradzającym pogodzenie się z losem.

- Tak już bywa, jak to się mówi. Ale bez wątplenia zastanawia się pan, co to wszystko ma wspólnego z Massimem Mancino.

- To on był ojcem Eleny, dziewczyny, którą zniszczył Algirdas, mężem owej Włoszki?

- Zgadł pan!

Włoszka. Jej imię zaginęło w pomroce dziejów. De Havilland ujrzał ją nagle w myślach, wyruszając z willi Ruggiera w ślad za kochankiem, smukłą dziewczynę, młodszą niż jego własna córka. Gdyby wiedziała, dokąd doprowadzi ją ta podróż, czy porzuciłaby dom?

- A ów przeklęty posag?

Książę wstał i podszedł do kredensu. Po chwili wrócił, niosąc kanciasty przedmiot owinięty kawałkiem ciemnego materiału. Zdjął go, ukazując proste metalowe pudełko pokryte wyblakłą, czerwoną, łuszczącą się farbą, miejscami odsłaniającą zaśnieżony metal. Postawił je na stole przed De Havillandem.

- Na szczęście dla mojej historii zjawił się pan akurat teraz. Jeszcze tydzień i ów przedmiot znalazłby się w Paryżu. Nawiązałem kontakt z domem aukcyjnym i poczyniłem

ustalenia, w przyszłym miesiącu zostanie sprzedany. Niestety, jeśli mam przywrócić chwałę mojemu domowi, muszę się pozbyć kilku pamiątek. Proszę otworzyć, nie jest zamknięte.

De Havilland przesunął zatrzaski i uniósł wieczko. Na zgniecionym czarnym aksamicie spoczywał wspaniały kryształ wielkości i kształtu niewielkiego jajka. Jego powierzchnię wyszlifowano w niezliczone fasetki, w których załamywało się światło świec i ognia, płonąc tysiącami iskier. Klejnot obejmowały dwie dłonie, wspaniale wyrzeźbione ze złota, zdające się ofiarować go oglądającym. Księżę uśmiechnął się, widząc zdumienie gościa.

- Proszę spojrzeć - rzekł. - Oto Kamień Smutku.

## Rozdział 4

### Wieża Czarnoksiężnika

Mały zielony samochód na pierwszym biegu pokonał ostry zakręt, po czym, nie zważając na protesty obciążonego silnika, zaczął wspinać się na strome zbocze, coraz wyżej i wyżej w głąb Karpat. Kierowca, drobny mężczyzna o rzadkiej brązowej brodzie, siedział na skraju fotela, niemal przyciskając kierownicę do piersi, i wyciągał szyję, patrząc naprzód, zupełnie jakby jechał w gęstej mgłę, a nie w słońcu mroźnego poranka. Na siedzeniu obok niego spoczywała duża, staroświecka torba lekarska. W końcu droga dotarła do starego, wąskiego, wygiętego mostu, stanowczo nienadającego się dla samochodów. Niewielki wóz pokonał go z jękiem w ślimaczym tempie, po czym podjechał do leżącej nieopodal wioski.

Wieśniacy zdążyli już się zgromadzić na niewielkim, brukowanym placu przed gospodą, przyciągnięci odgłosem silnika. Wyobrażał sobie, jak prą naprzód, gotowi wezwać przybysza, ostrzec go, że dalsza droga nie nadaje się do jazdy - blokują ją zwalone drzewa, kamienie czy może zniszczony most, czy wszystko naraz. Tak bardzo zależało im, by nie puścić dalej nikogo, zachęcić przybysza, aby zadowolił się ich prostą gościnną, odesłać z powrotem w dolinę, obładowanego błogosławieństwami (w tym plastikowymi butelkami mocnej miejscowej wódki), zaskoczonego i zachwyconego ciepłym przyjęciem i troską o jego zdrowie.

Gdy jednak zielony samochód pokonał wzniesienie, kierowca ujrzał, jak wieśniacy ruszają naprzód i cofają się gwałtownie, rozpoznając najpierw wóz, potem jego właściciela. Wyraz ich twarzy zmienił się gwałtownie, napięcie i wyczekiwanie zastąpił strach. Kilku przeżegnało się szybko, inni wyciągnęli ręce, wystawiając palec wskazujący i mały wprost ku ziemi w pradawnym geście odpędzającym zły urok. Drobny mężczyzna prychnął wzgardliwie i nawet nie zwolnił, mijając ich niespiesznie. Przesądni głupcy.

Ale kiedy wóz wynurzył się z głębokiej doliny i dotarł wysoko na kamienne wzniesienie, on także poczuł strach, rosnący w żołądku niczym rak i powoli obejmujący całe ciało. Przygniótł go nagły ciężar grozy, potężny, miażdżący, niemal fizyczny. Zdawało się, że mały samochód także go poczuł, bo sapnął, zgrzytnął i zatrzymał się tuż przed ostatnim wzgórzem. Jakiś czas stał tam, zupełnie jakby zbierał resztkę sił, szykując się do ostatniego

etapu podróży. Przez kilka minut mężczyzna siedział bez ruchu, sztywny, zlany potem. Dopiero po jakimś czasie mógł znów ruszyć w drogę.

Wkrótce znalazł się na płaskiej, skalistej wyżynie, otoczonej pierścieniem poszarpanych wzgórz. Droga - obecnie bardziej przypominająca ścieżkę - wiodła wprost na drugi koniec, na którym ze zbocza wzgórza wyrastała skalna iglica zwieńczona przysadzistą kamienną budowlą. Na mapach określano ją mianem Wieży Czarnoksiężnika, choć miejscowi posługiwali się nazwą mniej oględną i zdecydowanie obsceniczną. Drobnym mężczyzną, zaciskając zęby, zgarbił się za kierownicą, zmuszając samochód do pokonania ostatnich paru kilometrów. Gdy w końcu zgasił silnik, poczuł przejmującą samotność. W kamiennej pustce nie ćwierkał żaden ptak, nawet źdźbło trawy nie ożywiało szarości. Zabrał torbę i niechętnie wysiadł, ostrożnie zamykając drzwi, by nie zakłócić chłostanej wiatrem ciszy.

Kamienna iglica wiele stuleci temu została wydrążona i zamieniona w ludzką siedzibę. U jej stóp osadzono ciężkie drewniane wrota. Mały lekarz stanął przed nimi, obronnym gestem unosząc torbę. Desperacko starał się utrzymać prosto. Po chwili drzwi się otwały, doktor przekroczył próg, a one same zamknęły się za nim. Znalazł się w sklepionym kamiennym korytarzu o nagich ścianach i wykładanej płytami podłodze. Temperatura wewnątrz była sporo niższa niż na dworze. Mężczyzna zadrżał, lecz nie z zimna. Choć ostatnio często odwiedzał to miejsce, nie potrafił uwolnić się od uczucia, że oto znalazł się nagi, zdany na łaskę bezlitosnych oczu. Pocieszyła go świadomość własnej małości. Wiedział, że jest kimś zupełnie nieważnym, niezbyt byстрыm, z całą pewnością nieśmiałym, strach chroni go przed choćby podejrzeniem o zdradę. Był niczym marny robak, lecz na razie użyteczny, toteż tolerowany. Zebrał zatem siły i ruszył naprzód w stronę wznoszących się przed nim schodów, wykutych w litej skale.

\*

W pokoju na wieży panowała ciemność. Powietrze było ciężkie od lepkiej, słodkiej woni, nie do końca maskującej ostry smród rozkładu. Doktor miał wrażenie, że się dusi.

- Zamknij drzwi - polecił cichy głos.

- Potrzebuję światła - rzekł żałośnie człowieczek. - Nic nie widzę.

- Stój bez ruchu, aż twoje oczy przywykną do mroku. Nie jest znowuż tak ciemno.

Mężczyzna stał; miał wrażenie, że mijają wieki. Prócz bicia swego serca, które zdawało mu się ogłuszające, w pokoju słyszał było tylko ochrypły, powolny oddech, a także ciche posykiwanie i trzaski dobiegające, jak przypuszczał, z kadzielnicy. Stopniowo otaczająca go nieprzenikniona czerń ustąpiła miejsca brązowemu półmrokowi, w którym dostrzegał kształty przedmiotów. W końcu ujrzał też potężną sylwetkę mężczyzny siedzącego

wśród poduszek pośrodku podłogi. Ruszył ku niemu i ukląkł obok, otwierając torbę.

- Muszę wyruszyć w podróż - szepnął głos.
- Daleko?
- Do Bukaresztu, może Stambułu.
- Nie radzę.
- Nie prosilem o radę. Zdołasz mi to umożliwić?
- Cena będzie wysoka.

Groźny pomruk siedzącego mężczyzny sprawił, że poprawił się szybko.

- Chodzi mi o zdrowie. Cokolwiek zrobię, by zatrzymać ów... proces, później to go przyspieszy.

- Ile możesz mi dać?

- To zależy. Im większy wysiłek fizyczny, tym krótszy czas i ostrzejsza reakcja. Jeśli wystarczy ci fotel na kółkach, mogę gwarantować dwa tygodnie, może nawet miesiąc. Trudno określić wysiłek towarzyszący podróży.

- Tak mało czasu - rzekł ów mężczyzna. Zdawało się jednak, że mówi do siebie, toteż jego towarzysz nie odpowiedział. - Ta reakcja... jak będzie wyglądała?

- To zależy. Masz wybór między ciałem i umysłem. Ciało można utrzymać bardzo długo kosztem funkcji umysłowych. Jeśli chcesz zachować sprawność umysłu, ciało podda się pierwsze. Umysł odejdzie ostatni. Najpierw stracisz zmysły, przestaniesz mówić, oślepniesz, na końcu ogłuchniesz.

- Będę mógł pisać?

- Wątpię. Pierwszy objaw to postępujący paraliż i utrata czucia w kończynach.

- Ale do ostatka zachowam trzeźwy umysł?

Lekarz wzruszył ramionami.

- Tak sędzę. To wykracza poza moją wiedzę. Mogę jedynie zapewnić ci pożyczony czas, kosztem czegoś innego.

Siedzący mężczyzna wydał z siebie dziwny, chrapliwy odgłos, niemal przypominający śmiech.

- Nie mów mi o pożyczonym czasie. Muszę wyjechać i zachować trzeźwy umysł. Zrób, co konieczne, a zostaniesz hojnie nagrodzony.

Jakiś czas lekarz, przyświecając sobie małą latarką, krzątał się przy nim, często sięgając do torby. Wyciągnął kilka strzykawek, zrobił serię zastrzyków. Jego pacjent siedział bez ruchu niczym posąg. Doktor zmusił się do skupienia uwagi wyłącznie na tym, co właśnie robi - nie bał się tego, że popełni jakiś błąd, lecz zbytnej swobody myśli. Raz podczas



wcześniejszej wizyty przyszło mu do głowy, że tak naprawdę potworny pacjent jest na jego łasce, że wystarczy zamiana strzykawek, by wyrwać się na zawsze z tej straszliwej niewoli. Gdy tylko jednak w jego głowie pojawiła się ta myśl, odkrył, że jest sparaliżowany. Przerażliwy skurcz powoli przygniótł go do ziemi. Gdy wił się na podłodze w męczarniach, głos wewnątrz jego głowy wyszeptał: „Słyszę, co myślisz”. Od tego czasu zawsze uważał, by całkowicie koncentrować się na swej pracy.

Zakończywszy serię zastrzyków, doktor powoli spakował swój sprzęt, choć każdy nerw w jego ciele krzyczał, by jak najszybciej wydostać się z tego pokoju, byle dalej od przekłętej wieży. W końcu wstał, by odejść, i niezręcznie cofał się ku drzwiom. Żołądek ścisnął mu się boleśnie. Potrzebował wszystkich sił, by powstrzymać chęć ucieczki na oślep. Nagle odkrył, że nie może się ruszyć.

- Zaczekaj - szepnął głos. - Nie powiedziałem, że możesz odejść. Potrzebuję od ciebie czegoś jeszcze.

Otworzył usta, by błagać, lecz nie padło żadne słowo. Ciało nie słuchało już umysłu. Bezwolnie odwrócił się i ciężkim krokiem pomaszerował w głąb pokoju.

\*

O świcie wielki, staroświecki samochód przejechał przez wioskę w dolinie, pozostawiając za sobą szarobłękitny kłąb spalin. Ciemny lakier i zasłonięte tylne okna sprawiały, że bardzo przypominał karawan. Blask olbrzymich przednich reflektorów z daleka zwiastował jego przybycie i gdy dotarł do wioski, powitały go ciemne, starannie pozamykane domy. Nikt nie wyszedł na dwór, by odprowadzić wzrokiem przybysza. Silnik samochodu pracował miarowo, wydając z siebie dziwny syk. Wóz z trudem pokonał stary mostek, przez moment niskie podwozie zgrzytnęło na kamieniach, posyłając w powietrze deszcz iskier. Następnie samochód zjechał w dolinę, a jego samotne, czerwone tylne światło lśniło w dali niczym złowieszcze oko.

## Rozdział 5

### Co zrobić ze Stephenem?

Gerald De Havilland stał u szczytu skąpanych w blasku księżyca schodów. Na podeście w dole trójka morderczych, anielskich dzieci obserwowała go ze ściany, ciekawa, co zaraz zrobi. Owinął się ciasniej pożyczonym szlafrokiem (poza duszną, przegrzaną sypialnią we dworze było bardzo zimno) i ostrożnie ruszył na dół. Na podeście zatrzymał się chwilę przed portretem, zupełnie jakby chciał pozdrowić dawnych strażników rodzinnego skarbu, który zamierzał ukraść. Następnie zdecydowanym ruchem odwrócił się do nich plecami i ostrożnie zszedł na dół. U stóp schodów olbrzymi niedźwiedź wznosił się na tylnych łapach, jego szklane oczy błyszczały srebrzyście. De Havilland poklepał go czule po zadzie i precyzyjnie przesuwał się obok, dziękując losowi za kamienną posadzkę, na której jego stopy w kapciach nie czyniły najmniejszego hałasu.

Drzwi w boazerii nie były zamknięte, otworzył je delikatnie, nie zdołał jednak zapobiec cichemu skrzypnięciu. Zamarł, wstrzymując oddech i wytężając słuch. Nic. Wszedł do pokoju i przez minutę stał, próbując przyzwyczaić oczy do ciemności. Ale zamknięte okiennice nie wpuszczały do środka nawet najsłabszego światła. Nie widział nawet ręki tuż przed swą twarzą. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął małą latarkę i zapalił. Wąski promień światła przeciął ciemność, ukazując fragment orzechowego kredensu. Rozmyślnie wolno De Havilland podniósł latarkę, plama światła powędrowała po drzwiach kredensu i dotarła do ozdobnego zwieńczenia. Potem przesunęła się w bok i odnalazła swój cel.

Książę nie zawinął pudełka z powrotem w aksamit, który leżał starannie złożony obok. De Havilland, czując suchość w ustach, przypomniał sobie, że wcześniej skrzyneczka nie była zamknięta na klucz. Czy mógł liczyć, że tak będzie i teraz?

Zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od czerwonego pudełka - piętnaście, może dwadzieścia kroków. I pomyśleć, że był tak blisko. Nagle jakże wyraźnie przed oczami stanął mu ów moment, gdy książę pochylił się nad Kamieniem i dwoma zręcznymi ruchami uwolnił go z objęć delikatnych złotych dłoni. Jak wyjaśnił, stanowiły one wspaniałe dzieło złotnika, który następnie zdobył sławę, pracując dla cara. De Havilland jednak nie zważał na ich urodę, całą uwagę skupił na skazach w kamieniu, które miały zakryć dłonie - dwóch zagłębieniach.

Wiedział, iż doskonale pasują do dwóch metalowych stożków w pustym sercu maszyny alchemika.

Przebył tę długą drogę w nadziei, że być może odnajdzie jakieś plany i nagle natknął się na to, o co chodziło im naprawdę - Kamień Smutku, brakujący element maszyny alchemika.

Podszedł szybko do kredensu, odsunął zatrzaski i otworzył pudełko. Cienki promień światła padł na Kamień, budząc w kryształowej głębi ogniste iskierki. De Havilland przez chwilę podziwiał klejnot, potem zabrał go i wsunął do kieszeni szlafroka. Odwrócił się i ujrzał stojących w drzwiach Maurice'a i księcia.

Ocknął się nagle z walącym w piersi sercem. Był w znajomym pokoju w Silk House. Walizka, wciąż nierozpakowana, leżała obok fotela, na którym zasnął. Na dworze nadal było jasno. Wstał i przeciągnął się, myśląc z żalem, że robi się za stary na długie podróże. Niepokój i napięcie ze snu ustąpiły miejsca poczuciu ulgi - w rzeczywistości dotarł tylko do szczytu schodów, gdzie stał bardzo długo, spoglądając w milczeniu na złowieszcze dziecięce anioły, zastanawiając się, jaką wybrać drogę. A potem zawrócił do swej sypialni, gdzie bardzo długo leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć.

Oczywiście sen przewidywał słusznie - gdyby postąpił pochopnie i spróbował skraść klejnot, z pewnością by go złapano. Niemniej z bólem odwracał się plecami do Kamienia Smutku. Był przecież tak blisko. Teraz musiał pokornie złożyć raport Stephenowi, który w stosownym czasie zabierze książeczkę czekową, poleci do Paryża (być może łaskawie weźmie ze sobą Geralda De Havillanda) i kupi Kamień, a wraz z tym zakupem, pomyślał De Havilland, zniknie na zawsze jakakolwiek nadzieja na niezależność.

Choć często nazywano go romantykiem, Gerald De Havilland nigdy nie wierzył, że machina alchemika może być legendarnym kamieniem filozoficznym czy innym tajemniczym urządzeniem wielkiej mocy; dla niego liczyła się tylko cena, jaką mógł za nią uzyskać, ponieważ jego udział wynosił co najmniej jedną czwartą, być może nawet połowę, gdyż Helen nie brakowało pieniędzy i dała im wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z machiną, która budziła w niej wstręt.

Główną przeszkodą na drodze do sprzedaży pozostawał Stephen Langton. Gerald De Havilland zawsze wiedział, że jego bogaty wspólnik nie ma zamiaru pozbywać się maszyny. Liczył jednak, że znudzi się swym najnowszym nabytkiem i go spienięży. Dopiero niedawno uświadomił sobie, że Langton miał znacznie poważniejsze powody, by zatrzymać maszynę, niż zwykła ciekawość.

Pewnego wieczoru po kolacji Langton wygłosił mu istny wykład na temat

„prawdziwej natury alchemii”. Przemawiał z powagą, która sprawiła, że Gerald uśmiechnął się lekko.

- Nie chodziło wyłącznie o zamienianie ołowiu w złoto, to było znacznie ciekawsze (oto słowa bogacza, pomyślał De Havilland), zwykły metal podlegający transmutacji oznaczał nas samych, przyziemnych ludzi, którzy dzięki alchemii mogli przekształcić się w coś bliskiego bogom.

To właśnie naprawdę oznacza stara opowieść o ogrodzie rajskim. Nie chodzi w niej bynajmniej o kradzież jabłek; owoc zakazany pochodzi z Drzewa Wiadomości. Gdy już go zjedli, Bóg lęka się, że zjedzą też owoc z Drzewa Życia i będą żyć wiecznie, toteż wygania ludzi z Edenu. Według alchemii Drzewo Wiadomości to kamień filozoficzny, a Drzewo Życia - *elixir vitae*, eliksir życia.

Nawet wtedy Gerald się nie zorientował. Dopiero później stopniowo sobie uświadamiał, co naprawdę interesuje Stephena. Zaczął wówczas łączyć ze sobą najróżniejsze fragmenty życiorysu milionera. Od dawna podejrzewał, że Stephen jest starszy, niż na to wygląda. Zapewne zbliża się do siedemdziesiątki. Ze wstrząsem jednak odkrył, iż w istocie ma prawie dziewięćdziesiąt lat. Wówczas oczywiście wszystko stało się jasne: Stephen pragnął maszyny alchemika jako środka służącego do zdobycia jedynej rzeczy, której nie mógł kupić za pieniądze - metody odsunięcia śmierci, *elixir vitae*.

W sensie praktycznym oznaczało to, że nigdy się nie podda: kupi Kamień, a jeśli machina nie zadziała, wymyśli coś nowego. Aż do śmierci będzie szukał brakującego kluczowego elementu, a Gerald De Havilland będzie musiał posłusznie spełniać jego zachcianki, bez szans na zdobycie swojej części gotówki. Gdyby jednak sam zdobył Kamień, mógłby sprzedać go Stephenowi (oczywiście przez pośrednika) za znacznie wyższą cenę niż na aukcji, gdzie z pewnością zostanie potraktowany jako ciekawostka, piękny kryształ, z którym wiązała się ciekawa legenda (uznał, że złote ręce, których wartość znacznie łatwiej oszacować, sprzeda się osobno). Jedynym problemem (skoro nie udało mu się zdobyć kamienia za darmo) pozostawało zgromadzenie odpowiedniej sumy...

Z zamyślenia wyrwał go głośny dźwięk dzwonka. Mężczyzna stojący na progu był drobny i miał rzadką, brązową bródkę. Coś w jego stroju sugerowało, że przybywa z zagranicy. Wyznawca jakiegoś kultu? Nie miał w dłoni pliku broszurek ani torby, w której mógłby je nosić. Sprawiał wrażenie przygniecionego nieszczęściem, pokonanego. Przypominał żebraków, lecz temu wrażeniu nie towarzyszyły ślady zaniedbania i biedy. Doświadczenie podpowiedziało De Havillandowi, że ma do czynienia z pośrednikiem i to niechętnym pośrednikiem. Mężczyzna przekrzywił osobiście głowę, jakby słuchał kogoś

szepczącego do niego z boku. Gdy to czynił, jego oczy nabierały dziwnego, zalęknionego wyrazu.

- Słucham, czym mogę służyć?

- Mam dla pana propozycję, panie Langton.

Gerald De Havilland od dawna uczył się nie okazywać zdumienia i wykorzystywać wszelkie nadarzające się sposobności. Skłonił lekko głowę, namyślając się chwilę. W końcu rzekł.

- Zatem proszę wejść.

Wprowadził mężczyznę do salonu. Tam jego gość przysiadł na skraju sofy.

- Napije się pan czegoś? Herbaty, kawy?

Drobny człowieczek pokręcił głową.

- Na czym polega pańska propozycja, panie...?

- Doktorze. Jestem doktor Sarden Negulescu.

Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nie do końca udatnie sam to sobie wmawiał.

- Moja propozycja jest natury finansowej.

- Chce mi pan dać pieniądze na jakiś cel?

- Nie, nie. - Drobny doktor machnął ręką. - Ma pan przedmiot, który chciałbym zakupić dla kogoś innego. Jestem tylko jego przedstawicielem.

- A jak się nazywa pański zleceniodawca?

Doktor spojrział na niego niepewnie, nie rozumiejąc tego słowa.

- Zleceniodawca, człowiek, dla którego pan pracuje.

- Ach tak, mój zleceniodawca.

Ponownie przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał. Pewnie ma podsłuch i nadajnik, pomyślał De Havilland.

- Nie mogę podać jego nazwiska. Jeśli zechce pan wysłuchać propozycji, to może...?

- No dobrze, proszę powiedzieć, czego pan chce.

- Jakiś czas temu, chyba zeszłego lata, panie Langton, w zrujnowanym domu we Francji znalazł pan pewien stary obiekt.

- Czyżby? A jakież to obiekt podobno znalazłem?

- Chyba nie muszę go panu opisywać.

Bo nie wiesz, prawda, mój mały? - pomyślał De Havilland. Nie powiedziano ci.

- I ile chce mi pan zaproponować za ów obiekt, którego ponoć nie musi pan opisywać?

- Ćwierć miliona dolarów.

De Havilland przyjął te słowa obojętnie. Doskonale potrafił się targować, lecz jego

umysł ruszył z kopyta, szacując otwierające się możliwości.

- Funtów.

Doktor spojrział na niego z komicznym zdumieniem.

- Jestem człowiekiem staroświeckim, doktorze Negulescu. Lubię rozliczać się w funtach szterlingach. Ostatecznie jesteśmy w Wielkiej Brytanii.

- Ćwierć miliona dolarów w funtach? O to panu chodzi?

- Powiedzmy pięćset tysięcy.

- Pięćset tysięcy dolarów? - rzekł oszołomiony człowieczek.

- Pięćset tysięcy funtów i umowa stoi.

Nie zaszkodzi spróbować, pomyślał De Havilland. Jak daleko pozwolił ci się posunąć twój zleceniodawca? Oczy doktora zaszklily się na moment, gdy próbował oszacować sumę. W końcu powiedział ostrożnie:

- Zechce pan sprzedać za pięćset tysięcy funtów szterlingów?

Cholera, pomyślał De Havilland, trzeba było powiedzieć milion.

- Nie wspomniał pan jeszcze, co pragnie kupić, a ja nie mówiłem, że to mam. Ale pięćset tysięcy wydaje mi się uczciwą ceną.

- Proszę - rzucił błagalnie człowieczek. - Sprzeda pan czy nie? Wie pan chyba, o czym mowa.

De Havilland posłał mu długie, pełne namysłu spojrzenie. Wolałby mieć trochę czasu na zastanowienie, lecz bał się stracić okazję.

- Kiedy może pan dostarczyć pieniądze? Bo jeśli teraz, to może ją pan zabrać.

Doktor znów spojrział bezmyślnie w dal.

- Będę musiał je odebrać, to może potrwać dzień czy dwa. Wrócę.

Cholera, pomyślał De Havilland. No nic, coś wymyślę.

- Dobrze, doktorze Negulescu. Na pewno nie napije się pan czegoś przed wyjściem?

- Dziękuję, nie. Oto numer, pod którym może mnie pan zastać.

Drobny człowiek wręczył mu wizytówkę. De Havilland odprowadził go do drzwi. Gdy je zamknął, oparł się ciężko o framugę, zupełnie jakby stoczył dwunastorundowy pojedynek z trudnym przeciwnikiem. Wśród wielu myśli najgłośniejszym zabrzmiało jedno pytanie: Skoro ktoś chce zapłacić pół miliona za maszynę, ile zapłaciłby za Kamień?

Tuż za nim pojawiło się drugie. Co zrobi ze Stephenem?

## Rozdział 6

### Sąd

Helen zeszła po schodach w domu ciotek ubrana w sukienkę starannie dobraną, tak by dodawała jej lat. W jej uszach połyskiwały brylanty, na łańcuszku na szyi wisiał opal (kamień zodiakalny). Dotarłszy do podwójnych drzwi jadalni, przystanąła, odetchnęła głęboko i weszła do środka. Od razu się zorientowała, że dyrektorka istotnie skontaktowała się z rodziną. Przygotowano jej miejsce po jednej stronie olbrzymiego stołu. Naprzeciwko po drugiej, niczym oficerowie w sądzie polowym, zasiadało jej pięć ciotek.

Wilhelmine, Augusta, Sidonie, Christina, Ludmilla - Bill, Gus, Sid, Kit, Lud. Zdrobnień tych używały między sobą, ale nigdy w rozmowach z Helen. Ona także ich tak nie nazywała. Teraz powtórzyła je w myślach, aby pomniejszyć ciotki, sprowadzić na swój poziom, zyskać przewagę. Bill, Gus, Sid, Kit, Lud - albo Dul, tępaczka, jak nazywały ją za plecami, bo była nieco opóźniona.

- Dobry wieczór ciociom - rzekła z powagą i usiadła.

Ciotki skinęły głowami, mrużąc coś pod nosem. Przyniesiono pierwsze danie, które zjadły w milczeniu. Podobnie drugie. Helen się nie zdziwiła, ciotki zawsze tak właśnie jadały. Nie wiedziała, czy czyniły to dlatego, że uważały rozmowy przy stole za frywolne, czy też po prostu brakowało im już tematów. Kiedyś sądziła, iż robią tak po to, by ją pognębić. Ale pewnego dnia (wygnana do pokoju za jakąś psotę) wykradła się, obserwowała je z przedpokoju i ujrzała, jak jedzą w milczeniu, jak zawsze.

Posiłek włókł się w ślimaczym tempie i Helen denerwowała się coraz bardziej, czekając na to, co wkrótce nastąpi. Jadła mechanicznie, nie czując smaku potraw. Muszę zachować spokój, spokój, powtarzała sobie. Bill, Gus, Sid, Kit, Lud, mówiła w myślach, od najstarszej do najmłodszej, a potem odwrotnie: Lud, Kit, Sid, Gus, Bill. Męskie zdrobnienia musiały kiedyś brzmieć zabawnie niestosownie. Oprócz Lud, mocno zbudowanej i przysadzistej, jej ciotki były kobietami wysokimi i dobrze zbudowanymi, w młodości wyróżniały się urodą. Teraz wciąż pozostały przystojne, lecz ich rysy stwardniały i wyostrzyły się, nabierając męskiej surowości.

Dopiero po uprzątnięciu ostatnich naczyń zaczęła się rozprawa.

- Cóż, Helen, dostałam wiadomość z twojej szkoły. Podobno zostałam wyrzucona - odezwała się ciotka Wilhelmine, najstarsza, oficjalnie rozpoczynając atak.

Pozostałe spojrzały po sobie, cmokając. Helen zastanowiła się przelotnie, czy słyszą o tym po raz pierwszy. To bardzo podobne do Wilhelmine, zachować dla siebie taką wiadomość. Rzadko rezygnowała z okazji potwierdzenia swojej pozycji głowy rodziny.

- Z tego, co rozumiem, powodem była przemoc - ciągnęła pogardliwie ciotka Wilhelmine.

- Przemoc? - powtórzyły chórem pozostałe, wstrząśnięte.

- Tak, ciociu - odparła Helen. - Uderzyłam pięścią w szczękę pewną dziewczynę i ogłuszyłam.

- Uderzyłaś pięścią dziewczynę? - powtórzyła szeptem ciotka Augusta. - Słyszałaś, Sidonie?

- Ogłuszyłaś? - mruknęła Sidonie.

Ciotka Augusta sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała zemdleć.

- No, była wyższa niż ja - odparła rozsądnie Helen. - Nie chciałam ryzykować, że mi odda.

Ciotka Wilhelmine jęknęła. Pozostałe jednocześnie pokręciły głowami i spuściły wzrok. Ciotka Sidonie, druga w hierarchii, postanowiła zmienić nieco kierunek ataku.

- Widzę, że przywiozłaś tylko jedną torbę. Czy kazałaś przysłać resztę rzeczy?

Innymi słowy: oczekujemy, że tu zostaniesz.

- Resztę? - spytała niewinnie Helen.

- Twój mundurek, rzeczy ze szkoły.

- Obawiam się, że wyrzuciłam mundurek przez okno pociągu.

Słowa te wywarły efekt, na który liczyła. Zapadła cisza, ciotki spojrzały po sobie, wytrzeszczając oczy.

- Co za rozrzutne dziecko - rzuciła ciotka Christina przez zaciśnięte zęby.

- Nic się nie stało, ciociu Kit. Nie zerwałam naszywek z nazwiskiem, więc w końcu mi go odeślą.

Kolejne zgorzone spojrzenia. Czują, że do walki włączy się zaraz ciężka artyleria.

- To chyba oczywiste, że jesteśmy bardzo zawiedzione, Helen - oznajmiła ciotka Wilhelmine. Demonstracyjnie wytarła serwetką kąciki ust, okazując swoje zdenerwowanie. - I przykro mi to mówić, ale...

*No jest.*

- Ale zachowujesz się dokładnie jak twoja matka.



- Dokładnie jak twoja matka - powtórzyły pozostałe chórem.

Helen ze smutkiem pokręciła głową i spuściła wzrok.

- A sądziłam, że jesteśmy zupełnie różne. Ona jasna, ja ciemna...

- Myślę, że mówimy tu raczej o charakterze, Helen, nie wyglądzie - wtrąciła usłużnie ciotka Christine.

Helen uniosła wzrok, z przesadną uwagą przyglądając się kolejno swym ciotkom.

- O charakterze? Ależ przecież i tu bardzo się różnimy. Ostatecznie ja jestem jedynaczką, ona miała pięć wrednych starszych sióstr, z którymi musiała żyć. Zastraszały ją, prześladowały i uprzykrzały jej życie, póki nie uciekła.

Z drugiej strony stołu dobiegła ją seria gwałtownych westchnień. I znów usta się wykrzywiły, oczy wyszły z orbit. Siedząca na końcu ciotka Ludmilla poruszyła się i zaczęła wstawać.

- Ale ja nie uciekłam - dodała Helen - i nie dam się wam zastraszyć.

- Helen, natychmiast pójdziesz do siebie - ciotka Wilhelmine niemal wypluła te słowa.

- Natychmiast, słyszysz?

- Nie, ciociu, pójdę do siebie, kiedy zechcę.

Ciotka Ludmilla wstała już z miejsca, cała najeżona. Zamierzała przejść na drugą stronę stołu, ale z powodu jego absurdalnych rozmiarów nie mogła uczynić tego tak szybko, jakby pragnęła. Helen pozostała na miejscu, obserwując ją uważnie. Ciotka Ludmilla, pozbawiona inteligencji i ciętego języka sióstr, preferowała brutalniejsze metody kontroli. Gdy ostatni raz wypróbowała je na Helen, kiedy ta miała osiem lat, siostrzenica ugryzła ją w rękę tak mocno, że trzeba było wezwać lekarza. Oczywiście miało to swoje reperkusje. Helen została zesłana do zapasowej sypialni z poleceniem pozostania tam, „póki nie okaże dość pokory, by z powrotem dołączyć do cywilizowanego społeczeństwa”, jak to ujęła ciotka Wilhelmine. Lecz nigdy już nie powierzano opieki nad nią Ludmille. Od tego czasu Helen często dostrzegała, jak ciotka obserwuje ją z miną wyraźnie świadczącą, że ma ochotę wyrównać rachunki.

Gdy znalazła się zaledwie kilka kroków od niej i podniosła rękę, Helen wstała. Bez słowa zrobiła krok naprzód. Był to prosty gest, wywarł jednak zamierzony skutek. Ciotka Ludmilla zawahała się nagle, niepewna. Odkryła, że patrzy z dołu na swą siostrzenicę i widzi ją w nowy sposób: oto silna, młoda kobieta, przerastająca ją o głowę, kobieta usunięta ze szkoły za to, że kogoś ogłuszyła.

- Nawet o tym nie myśl, ciociu Lud. Nie mam już ośmiu lat. Usiądź.

Helen patrzyła jej prosto w oczy, nie odwracając wzroku. Zdawało się, że ciotka

Ludmilla nagle oklapła, jej ręka opadła bezwładnie. Wyraźnie nie miała ochoty poddawać się i słuchać poleceń siostrzenicy, ale nie wiedziała, co robić.

- Nie bądź głupia, Ludmillo - ciotka Sidonie szybko zainterweniowała - wracaj tutaj. Są lepsze sposoby rozwiązania tego problemu. Młoda damo, widzę, że będziemy musiały wstrzymać ci wypłaty tygodniówki.

Ach, pieniądze. Znacznie subtelniejsza broń niż ta, którą dysponowała ciotka Ludmilla. Choć Wilhelmine była najstarsza, to Sidonie kontrolowała sakiewkę. Teraz patrzyła na Helen znad okularów, triumfalnie ściągając usta, jak podczas brydża, gdy wygrywała kolejnego robra. Cztery starsze siostry regularnie grywały w brydża, Ludmilla natomiast nigdy nie opanowała tajników gry, toteż jeśli jednej z nich nie było, nieodmiennie zastępowała ją Helen. Ciotki grały świetnie, ale Helen wcale nie była gorsza. Teraz spojrzała spokojnie na ciotkę Sidonie.

- Jeśli spróbujecie zmienić warunki funduszu, podam was do sądu.

- Nie ośmielisz się! - wykrzyknęła ciotka Christine.

- Sprawdźcie - odparła zimno Helen. - Rozmawiałam już z prawnikiem.

To było kłamstwo, odruchowy wymysł godny jej ojca, i sądząc po efekcie, jaki wywarł, skuteczny. Ciotki Wilhelmine i Sidonie spojrzały po sobie znacząco. To one były mózgiem całej rodziny. Wiedziała, co myślą, zupełnie jakby czytała im w umysłach. Sprawa sądowa oznaczała rozgłos. Wieści, że dziedziczka jednego z największych majątków w Europie zaskarżyła swe opiekunki, przyciągnęłyby uwagę prasy całego świata. Jeśli istniało coś, czego ciotki nie znosiły najbardziej (a lista rzeczy, których nie znosiły, była bardzo długa), był to rozgłos, który uważały za niewiarygodnie wulgarny. Ciotki Wilhelmine i Sidonie patrzyły na nią teraz. Wyraz ich twarzy mówił wszystko. Wygrała, nie miały już asów w rękawie. Pokorne dzieciństwo dobiegło końca. Od tej pory będą rozmawiały jak równy z równym.

- Teraz pójdę do siebie - oznajmiła Helen. - A rankiem, ciociu Wilhelmine, omówię z tobą moje plany na przyszłość.

W ostatniej chwili zdecydowała się wykluczyć ciotkę Sidonie. Póki nie padły te słowa, zamierzała wymienić także jej imię. Natychmiast jednak ujrzała, że instynkt słusznie jej podpowiedział. Nie da im przewagi liczebnej, a uznanie ciotki Wilhelmine za głowę rodu stanowiło mądre posunięcie. Jednocześnie wyróżniało ją i izolowało od pozostałych. Gdy dotarła do drzwi, obróciła się. Ciotki siedziały bez ruchu po przeciwnej stronie stołu, sztywne niczym manekiny w muzeum.

- Dobranoc ciociom.

Wbiegła po schodach, przeskakując po trzy stopnie.

## Rozdział 7

### Niebieska książka

W swej sypialni Helen czuła się zbyt podekscytowana, by zasnąć. Położyła się do łóżka, znów wstała, usiadła na parapecie. Chwilę później zerwała się i zaczęła krążyć po pokoju. Potrzebuję czegoś do czytania, pomyślała. Czegoś, co odwróci moją uwagę. Obok łóżka stała półka z książkami, lecz żadna z nich jakoś jej nie pociągała. Zamiast tego podeszła do szafy i wyciągnęła swoją torbę. Robiła to z dziwnym poczuciem obcości, jakby stała z boku i obserwowała samą siebie. Czego tu szukam? - zastanawiała się w duchu. Nie ma w niej nic poza pismami, które kupiłam na drogę...

Było jednak coś jeszcze - twardy przedmiot w zewnętrznej kieszeni. Co to takiego? Oczywiście, pożegnalny prezent Sophie; zapomniała o nim na śmierć. W pociągu nie miała ochoty na czekoladki, teraz zresztą także. Ale może to co innego? Wyciągnęła paczuszkę i usiadła na łóżku, opierając się plecami o poduszkę. Prezent leżał na kolanach. Dłuższą chwilę wpatrywała się weń, zastanawiając się, co to takiego. Stopniowo ogarnęła ją dziwna, leniwa senność - zapewne reakcja na wcześniejsze podniecenie. Poczwała, jak opadają jej powieki.

I co, otworzę go czy nie? - spytała w duchu. W tym tempie zasnę, nim zabiorę się do rzeczy. Nakazała palcom rozedrzyć papier, z rozmysłem nie patrząc na to, co robi. Pod ręką poczuła coś pokrytego czymś miękkim, ale sprężystym, miłym w dotyku. Miała wrażenie, że powinna to rozpoznać, ale nie potrafiła. Spojrzała zatem i przekonała się, że to książka oprawiona w piękną, ciemnoniebieską skórę. Odkrycie to zachwyciło ją i poruszyło. Po ojcu odziedziczyła miłość do staroci, zwłaszcza starych książek. Od razu wiedziała, że to naprawdę stary tomik, zapewne bardzo cenny. Zastanowiła się przelotnie, czy Sophie ukradła go komuś innemu, aby odpokutować za jedną kradzież drugą. Coś takiego bardzo do niej pasowało.

Na okładce ani grzbiecie nie znalazła tytułu. Krawędzie kartek wyglądały nierówno, niczym ręcznie robione. Otworzyła książkę i ze zdumieniem przekonała się, że tekst zaczyna się od razu, bez strony tytułowej ani czegoś podobnego. Nie rozpoznała kroju czcionek - wyglądały staroświecko, ale były zaskakująco proste i czytelne. Tyle że nie znała języka, w którym zapisano słowa. Kolejne stronicie sprawiały osobliwe wrażenie. Była pewna, że

książka jest bardzo stara, lecz wyglądała, jakby wyszła prosto spod prasy drukarskiej. Niemal w półśnie przesunęła dłonią po stronie, czując pod opuszkami miękkiej, kremowej papier. Gdy dotknęła druku, poczuła lekki, lecz wyraźny wstrząs, nawet przyjemny, przypominający mrowienie. Dziwne, lecz Helen nie zwracała na to uwagi, bo w tym samym momencie w jej umyśle pojawił się niezwykle wyraźny, żywy obraz: duży, surowo urządzone pokój o kamiennej posadzce, skąpo umeblowany. Pośrodku pokoju stał wielki stół, a przy nim pośród stosów książek, zatopiony w lekturze, przysiadł chłopak. Wizja była natychmiastowa i zaskakująca. Helen odruchowo cofnęła palce i obraz zniknął. Wiedzioną ciekawością z powrotem dotknęła stronicę. Tym razem nie poczuła mrowienia, lecz wizja wróciła. W ramach weryfikacji Helen ponownie uniosła palce. Przed oczami ujrzała wyraźne słowa, równie niezrozumiałe jak wcześniej. Dotykając kartki w tym samym miejscu, znów zobaczyła przed sobą ową scenę. Choć część jej krzyczała w duchu, że to bardzo dziwne, przede wszystkim czuła zachwyt. Może gdyby nie senność, zjawisko to zaciekałoby ją bardziej. Tymczasem jednak balansowała na granicy snu.

Powoli przesunęła palcami w dół strony i bez zbytniego zaskoczenia przekonała się, że scena zaczyna się zmieniać. Helen uznała za coś oczywistego, że to, co widzi, opisują słowa na kartce.

Drobna budowa sprawiała, że siedzący przy stole chłopiec wyglądał na dziewięcio-, dziesięciolatek, lecz Helen czuła, że jest starszy. W ów dziwny, typowy dla snów sposób była widzem - oglądała chłopca w pokoju - i w pewnym sensie samym chłopcem. Wiedziała, że wyróżnia się niezwykle inteligencją i że ów pokój, w którym tak pilnie się uczy, nie znajduje się w jego domu, lecz w czyimś innym - domu bogacza, do którego zaproszono go dzięki jego inteligencji. Wyczuwała też promieniującą z chłopca wewnętrzną siłę, której nie dostrzegała w wyglądzie, wrażenie potężnej, niezłomnej woli. Gdy uniósł wzrok znad karty książki, przekonała się, że oczy ma jaśniejsze niż najjaśniejsza szarość, niemal przejrzyste jak diamenty.

A potem ujrzała coś zupełnie innego - wspaniałe miasto na półwyspie, połyskujące w promieniach słońca bielą i złotem. Wokół niego po migoczących wodach krążyły łodzie. Wiedziała, że chłopiec myśli o tym mieście, o nim właśnie czyta. Usłyszała własny głos wymawiający nazwę: Bizancjum.

Teraz była na dworze, na skraju trawiastej dolinki, wśród rozświetlonych wzgórz, które natychmiast przywiodły jej na myśl Szkocję, gdzie mieszkał Jake. Z pobliska dobiegało beczenie owiec, wiał lekki, wonny wietrzyk. Przez trawę do miejsca, w którym stał chłopak, wędrowała dziewczyna. Teraz wyglądał już starzej, był wyższy, lecz wciąż wyjątkowo chudy.

Jego szczupła twarz jaśniała wewnętrznym blaskiem, lecz nie z powodu dziewczyny; Helen dostrzegła w jej oczach, iż dziewczyna także to wie i żałuje, że nie jest inaczej. Miała ciemną suknię, długie ciemne włosy i poważne smutne oczy.

- A zatem wyjeżdżasz, Michale. Do Paryża?

Helen nie była pewna, czy usłyszała te słowa, czy też sama je wymówiła z dziwnym, mocnym, bez wątpienia szkockim akcentem. Dziewczyna wyciągnęła ręce, a chłopak ujął je. Przez chwilę Helen odniosła wrażenie, że to jej dłonie trzyma. Nasunęło się też pytanie, którego dziewczyna nawet nie wypowiedziała, bo i tak znała odpowiedź: A kiedy wrócisz?

Teraz znalazła się w innym miejscu, w innym czasie: był wrzesień w mieście na wyspie, przycupniętej niczym olbrzymi okręt pośrodku bystrej rzeki, przycumowanej do obu brzegów licznymi mostami. Na niektórych wzniesiono nawet domy, niczym na Ponte Vecchio w Wenecji. Ulice były wąskie, po obu stronach wznosiły się dziwne, wysokie, ciężkie domy, które zdawały się pochylać ku sobie, tak że droga w dole zamieniała się niemal w tunel, w którym roilo się od ludzi. Tłum wysypywał się na otwarty plac przed wielką katedrą - Notre Dame De Paris. Między ludźmi przeciskał się młodzieniec w skórzanym kaftanie, z workiem na ramieniu, w dłoni trzymał długą laskę. Ze względu na swoją chudość mogła być jego siostrą. Helen podążała za nim poprzez gwarne ulice, w końcu stanął przed drzwiami w brudnej alejce, przekroczył próg i wspiął się po ciemnych, wąskich, kręconych schodach.

W pomieszczeniu na najwyższym piętrze stary mężczyzna pracował przy długiej ławie, ucierał coś w moździerzu. Usługiwał mu chłopiec o poważnej twarzy, dziesięcio-, dwunastoletni, który gdy akurat nie przynosił czegoś ani nie odstawiał na miejsce, stał z boku i obserwował swego mistrza z szacunkiem wielkimi, ciemnymi oczami. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki zapełnione księgami. Kolejne księgi leżały w stosach na nierównej podłodze. W kącie stało łóżko na koziołkach; odgadła, że zapewne sypia w nim służący. Nad zasłoniętym kratą paleniskiem wisiał osmalony kociołek, zawieszony na łańcuchach. Okno po drugiej stronie komnaty było otwarte, lecz mężczyzna i tak przyświecał sobie przy pracy świecą. Jej płomień migotał z boku. Żłocisty blask padał na połowę twarzy mężczyzny, drugą spowijał cień. Była to twarz przebiegła, lecz przyjazna, wyrażająca pradawną mądrość. Mężczyzna uśmiechnął się do młodzieńca szczerym, zaskakująco ciepłym uśmiechem. Już zdołał go oczarować, pomyślała Helen. Natychmiast zrozumiała, iż mężczyzna jest mistrzem, chudy młodzian jego uczniem, ale było coś jeszcze. Przypominali współników, których łączyła tajemnica. Czego się tu uczył?

Młodzieniec często zjawiał się w komnacie na najwyższym piętrze i pracował ze starcem, czasem pogrążał się w lekturze wskazanej książki. Helen czuła, że łącząca ich więź

przybiera na sile. Wdzięczność i szacunek ze strony młodego ucznia, czułość i rosnące uznanie dla jego zdolności ze strony starca. Było w tym jednak coś jeszcze, coś niezwykle złożonego, nieszczerzego. Każdy z nich starał się ukryć coś przed drugim. Gdy młodzian krzątał się przy swych zadaniach, starzec obserwował go z wyrachowanym namysłem. Kiedy stary mistrz skupiał się na czymś, dłoń młodzieńca szukała ksiąg innych, niż mu przygotowano. Ukradkiem zgłębiał ich sekrety. Helen miała wrażenie, że narasta napięcie, jakby zbliżała się przełomowa chwila. Był jeszcze służący o poważnej twarzy, zawsze w cieniu, zawsze z boku, bez słowa spełniający rozkazy pana.

Teraz wyglądało na to, że młodzieniec zaczął odwiedzać komnatę na górze w sekrecie i po cichu, pokonując mroczne schody, gdy starzec przebywał gdzie indziej, a sługa spał w swym łóżku. Po wejściu młodzian pochylał się nad śpiącym chłopcem, mamrocząc pod nosem jakieś słowa i posypując mu twarz zwiewnym proszkiem. Następnie całymi godzinami pochylał się w blasku świecy nad kolejną księgą. Zawsze starannie odstawiał ciężkie tomy na miejsce, dokładając wszelkich wysiłków, by ukryć ślady swej bytności. Przez cały ten czas sługa nawet się nie poruszał. Niekiedy jednak młodzian przerywał lekturę i patrzył na niego z napięciem zabarwionym litością.

Teraz, gdy mistrz i uczeń przebywali razem, stary nieustannie wspominał o zbliżającej się chwili próby, ostatnim kroku, który wprowadzi ucznia na drogę mądrości wieków, poważnym rytuale wymagającym starannych przygotowań. Sługa obserwował ich z boku, oszołomiony i zachwycony.

Pewnego mrocznego popołudnia, gdy powietrze było szare od mżawki, chudy młodzian ponownie stanął w drzwiach w brudnej alejce, opatulony ciasno płaszczem, z nieodłączną laską i workiem; to cały jego majątek, pomyślała Helen. W jego postawie, gdy wspinał się po schodach, było coś, co odróżniało ten dzień od wszystkich wcześniejszych: sprawiał wrażenie kogoś, kto jeszcze trochę się waha przed podjęciem ważkiej decyzji. W pokoju powietrze było ciężkie od kadzidła. Płomienie na kominku miały niezwykle barwę czerwieni i zieleni zabarwionej błękitem. Z posadzki uprzątnięto wszystkie księgi poza jedną, stojącą na ambonie pomiędzy dwiema świecami. Na posadzce nakreślono szeroki krąg ze skomplikowanymi wzorami, liniami i symbolami.

- Okiennice, Michale, a potem podejdź tu.

Starzec stanął pośrodku kręgu. Trzymaną w dłoni długą laskę przesuwiał wzdłuż kolejnych wzorów. Drugą ręką obracał karty księgi. Wówczas Helen uświadomiła sobie, że zniknął sługa, który zwykle robił to za niego. Odniosła też wrażenie, iż starzec wygląda jakoś inaczej. Może sprawiało to niezwykle światło, lecz jego twarz zdawała się gładza, mniej

pomarszczona - młodsza. I co takiego leżało na łóżku w kącie, okryte prześcieradłem - podłużny garbaty kształt?

Młodzieniec przez moment stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Było ciemno, z ołowianego nieba opadały pierwsze wielkie płatki śniegu. Z dala dobiegał odgłos dzwonów olbrzymiej katedry. Boże Narodzenie, pomyślała Helen. Młody uczeń zamknął okiennice.

W półmroku oczy starca zaślniły.

- Podejdź do mnie, mój duchowy synu, podejdź do mnie i poznaj mądrość.

Nagle w pokoju rozległ się głęboki jęk, który zdawał się dobiegać spod podłogi. Ogień przygasł, świece rozbłysły oślepiająco i zgasły. W tym momencie Helen ujrzała na twarzy starca nagłą zmianę: wyraz triumfu ustąpił miejsca zaskoczeniu i rozpacz. Głos, który, jak wiedziała, należał do młodzieńca - szepnął jej wprost do ucha:

- Jak u człeka, który sądzi, że przybywa zdradziecko w tajemnicy, by przechwycić cytadelę, i odkrywa, iż jest gotowa na jego przybycie, a on sam staje się jej więźniem.

Miała wrażenie, że w pokoju toczy się tytaniczna walka, że dach znika, otwierając komnatę na rozległą przestrzeń kosmiczną, w której nie zważając na czas i przestrzeń, zmagają się dwie gigantyczne siły. Potem wszystko skurczyło się ponownie, zupełnie jakby dwie mrówki walczyły pod łupiną orzecha. Zmagania ciągnęły się bez końca. Wreszcie jednak w komnacie nastał spokój i ciemność.

Później czyjaś dłoń pchnęła okiennice, przez okno wpadło światło. Chudy młodzieniec raz jeszcze spoglądał na świat. Jego niezwykle jasne oczy nie mrugały w promieniach słońca. Była wiosna.

Helen szarpnęła się gwałtownie, otwierając oczy. Chyba przysnęłam, pomyślała. Zamknęła leżącą na kolanach książkę i wsunęła pod poduszkę. Potem wślizgnęła się pod kołdrę, czując chłodny dotyk świeżej pościeli. Zamknęła oczy i znów zasnęła. Miała wrażenie, że już wcześniej śniła wyraźnie, nie umiała jednak powiedzieć o czym.



## Rozdział 8

### Wizyta doktora

Pociągi linii Eurostar niczym olbrzymie węże z kości słoniowej stały na peronach międzynarodowego dworca kolejowego Waterloo, pod półkolistym sklepieniem światła i cieni. Gerald De Havilland w zamyśleniu studiował rozkład jazdy. Jakże łatwiej jest podjąć decyzję o wyjeździe w takim miejscu, gdzie nawet stojący człowiek czuje przyciąganie ze wszelkich możliwych stron, zew odległych miejsc. Stąd można dotrzeć do serca Europy, stamtąd na kraj świata.

W kasie poprosił o bilet do Paryża.

- W jedną stronę czy też powrotny? - spytała siedząca w okienku ładna dziewczyna o orientalnej urodzie.

- W jedną stronę proszę.

Już, pomyślał odchodząc. Nie ma odwrotu, choć wciąż pozostało tak wiele do zrobienia. To krok w przepaść, nie zdołam zawrócić.

Na moście Westminsterkim przystanął na chwilę świadom, że żegna się z tym wszystkim. Pod nim na rzece długa łódź ze szklanym dachem przyjmowała właśnie pasażerów z pomostu w kształcie litery T. Kolejna, identyczna wynurzała się spod mostu. Bez wątplenia przewodnik pokazywał właśnie pasażerom olbrzymie koło The London Eye po prawej, obracające się tak wolno, iż wydaje się, jakby tkwiło w miejscu. Nieco dalej osobliwie zakrzywiony most Milenijny pozwalał turystom, którzy zwiedzili już katedrę Świętego Pawła, przejść na drugą stronę rzeki i zamienić się z tymi, którzy obejrzeliby galerię Tate. Był piękny dzień. De Havilland wyjął z kieszeni telefon komórkowy, zawahał się i schował go.

Miał nadzieję, że postąpił właściwie. Był świetnym szachistą, ale znał swoje słabości. Zaawansowana strategia nie należała do jego mocnych stron i Helen już w przerażająco wczesnym wieku regularnie z nim wygrywała. Na krótką metę grał jednak znakomicie. Najlepiej potrafił zgadywać, co zaraz zrobi przeciwnik. Zatem odczekawszy, by drobny doktor opuścił Silk House, Gerald De Havilland sam także wyjechał, nie rozpakowując nawet bagaży (choć zabrał dodatkową torbę). Dostatecznie długo obracał się w

niekonwencjonalnych kręgach biznesowych, by wiedzieć, że umowa jest ważna dopóty, dopóki nie poczyni się lepszych ustaleń. Z punktu widzenia doktora znacznie lepszy byłby powrót tej samej nocy z odpowiednim wsparciem i odebranie maszyny siłą. W ten sposób oszczędziłby zleceniodawcy sporą sumkę. Jak długo pozostawał w Silk House, był łatwym celem.

Nie, jedynym miejscem, w którym podobna wymiana miałaby szansę powodzenia, było starannie wybrane miejsce publiczne, ustalone z niewielkim wyprzedzeniem przy wcześniejszym przygotowaniu trasy ucieczki; nawet jeśli nabywca czuł się związany swym słowem i zgodził rozstać z gotówką, nadal miał prawo odzyskać ją później, jeśli nadarzy się sposobność. Nie, szybkie wejście, szybkie wyjście i ucieczka, to jedyne rozwiązanie. Był w parku Świętego Jakuba, usiadł i czekał na jakiś znak. Przed sobą widział stadko pelikanów naradzających się, czy jest sens zażyć kąpieli. Napuszone pióra na ich głowach i dostojny rozkołysany chód sprawiały, że przypominały profesorów: grupkę naukowców z Oksfordu, którzy wybrali się do Londynu. Jeśli wejdą do wody, pomyślał, zrobię to. Jakiś czas skrzeczały między sobą. W końcu jeden zawrócił gwałtownie i wystartował z brzegu. Krótki rozbryzg wody, a potem ptak statecznie zakołysał się na powierzchni. Jeden za drugim towarzysze podążali w jego ślady, z wdziękiem unosząc się na lśniącej tafli. De Havilland wyjął z portfela wizytówkę, otworzył telefon i wystukał numer.

Po rozmowie skierował się do Camden Town, złożył krótką wizytę w swym mieszkaniu i przeszedł do pubu naprzeciwko. Zamówił guinnessa i wybrał stolik w kącie, jak najdalej od baru, lecz z dobrym widokiem na drzwi. Usiadł i zaczął czekać. W pubie było niemal pusto i cicho. Po jakimś czasie do środka weszły dwie starsze kobiety, zamieniły parę słów z barmanem i zajęły miejsca przy stoliku. Piły miętowe drinki. Po nich zjawił się młody mężczyzna w eleganckim garniturze, zniknął za gazetą, zamówiwszy kufel piwa. Przez otwarte okno do środka wpadały odgłosy ruchu ulicznego. Szmer silnika taksówki, łoskot autobusu, strzelanie gaźnika samochodu sportowego - sądząc z brzmienia V8 - hamującego na zewnątrz. Trzasnęły drzwiczki, przez chwilę silnik pracował na biegu jałowym, jego gardłowy pomruk wyróżniał się spośród ogólnego szumu. Potem kierowca dodał gazu i odjechał.

De Havilland uniósł wzrok i ujrzał stojącego w drzwiach drobnego doktora. Przybysz zatrzymał się tuż za progiem, patrząc na niego z tą samą dziwną obcością, którą Gerald już wcześniej zauważył w Silk House. Wydawał się taki mały, niepasujący do tego miejsca, bezbronny, iż prawdopodobieństwo, że ten człowiek mógłby próbować go oszukać, zmalało do zera. De Havilland wezwał go gestem. Ujrzał, że doktor ma przewieszony przez rękę

płaszcz, a pod nim częściowo ukrytą metalową walizeczkę z typu lubianego zwłaszcza przez fotografów. Drobny mężczyzna zbliżył się ostrożnie, wodząc wokół siebie nerwowo wzrokiem niczym kiepski aktor demonstrujący, że spodziewa się pułapki.

- Drinka? - spytał De Havilland, wskazując ręką szklankę.

- Nie - odparł tamten, unosząc szybko dłoń do ucha. - A może jednak, jeśli pan tak miły.

- Co zamówić?

Niski mężczyzna gapił się na niego nic niepojmującym wzrokiem. Ponownie sięgnął prawą ręką do ucha.

- Do picia?

- Ja, to samo co pan - rzekł tamten z desperacją.

De Havilland podszedł do baru i z uśmiechem zamówił kufel guinnessa dla doktora i dodatkowe małe piwo dla siebie. Pewnie nadal ma mikrofon i słuchawkę, pomyślał. Ciekawe, gdzie ukrywa się jego zleceniodawca, zapewne na ulicy. Takie urządzenia nie mają zbyt dużego zasięgu. Poszukam go, gdy wyjdziemy. Przypuszczalnie siedzi w furgonetce albo limuzynie z przyciemnianymi szybami - bogaty facet lubiący zabawki. Typowe. Niech ktoś inny odwali brudną robotę. Ale nie znaczy to, że musi mu ufać. Czyżby to oznaczało, że planuje jakiś numer, by odzyskać forszę?

Ze szklankami wrócił do stolika.

- Ma pan pieniądze?

Doktor poklepał walizeczkę, którą położył na stole, i (dość teatralnym gestem) okrył płaszczem.

- Muszę je zobaczyć.

- Ma pan teraz towar?

- Nie tutaj, blisko. Dotrzemy do niego w minutę.

- Przyniesie go pan?

*A, o to chodzi: gdy będę wracał, ktoś napadnie mnie na ulicy. Nie, piękne dzięki.*

- Razem go przyniesiemy, doktorze. Zrobimy to wspólnie, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Wstał. Drobny mężczyzna zawahał się, po czym zebrał ze stołu walizkę i płaszcz.

- Pan pierwszy, doktorku.

Na zewnątrz jego towarzysz zatrzymał się wyraźnie oszołomiony.

- Którędy, proszę, nie znam drogi.

De Havilland powiódł wzrokiem po ulicy, nie zauważył jednak nic podejrzanego.

- Powinniśmy... - Urwał. Zerkając na drugą stronę, uświadomił sobie, że w jednym z okien nagle zgasło światło. Nie miał absolutnej pewności, lecz odniósł wrażenie, że okno to należało do jego mieszkania.

- Proszę pójść chodnikiem - polecił.

Bardzo chciał obserwować okno i drzwi, by sprawdzić, czy ktoś z nich wyjdzie. Nagle jednak cysterna i dwa autobusy przesłoniły mu widok. Potem światło znów zapłonęło w sąsiednim oknie. Czy tam właśnie świeciło się wcześniej? Prawdopodobnie.

- Teraz przejdziemy przez ulicę.

Minęła dłuższa chwila, nim wśród samochodów pojawiła się luka. Szybko przebiegli przez jezdnię. De Havilland cały czas się rozglądał, nic jednak nie przykuło jego uwagi. Na chodnikach wciąż roilo się od ludzi, co zmniejszało prawdopodobieństwo napadu. Ale nie zamierzał tracić czujności. Minął swoje drzwi, uważnie obserwując doktora. Ten jednak nie zdradzał żadnych oznak, że mógłby wiedzieć, dokąd zierają. Przespacerujmy się, pomyślał. Raz jeden dookoła kwartału, by sprawdzić, czy droga wolna.

- Proszę, dokąd idziemy? Mówił pan, że to blisko.

- To zwykła ostrożność, doktoru.

Skręcił obok baru z kebabami, cały czas wypatrując obcych pojazdów. W półmroku tuż obok niego przemknął wielki, rdzawy bentley. De Havilland zatrzymał się i odprowadził go wzrokiem.

- Proszę, co pan robi? To mi się nie podoba.

- To zwykły spacer, doktoru. Sprawdzamy okolicę.

Wkrótce okrążyli cały kwartał budynków. De Havilland nie zauważył żadnej prawdopodobnej kryjówki, w której mogłoby się schronić wsparcie doktora.

- Co to ma być? - spytał z niedowierzaniem drobny mężczyzna, dostrzegając pub. - Jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Tylko sprawdzam, doktoru.

Może są w środku, pomyślał, w wynajętym pokoju. Szybko spojrzął na okna wychodzące na ulicę, upominając się w duchu. Myślisz, że będą wyglądać na zewnątrz ze słuchawkami w uszach? Poza tym ta wersja mu odpowiadała. Z pomieszczenia wolniej dotrą do celu. Chyba że to u mnie siedzą, pomyślał. Byli już przy drzwiach. Polecił doktorowi iść przodem po schodach. Gdy znaleźli się przy wejściu do mieszkania, wręczył mu klucze, by tamten wszedł pierwszy i miał zajęte ręce.

- Co to ma być, jakaś sztuczka?

Boi się. I dobrze, pomyślał De Havilland.

- Żadnych sztuczek, doktorku, zwykła ostrożność.

Weszli do przedpokoju, zapalił światło. Czy ktoś był tu niedawno? Nie potrafił orzec.

- Drzwi po lewej, doktorku. Tylko powoli.

Po drodze otwierał wszystkie kolejne drzwi, nikogo nie zauważył. Dołączył do doktora w salonie.

- No i jesteśmy, doktorku. Pokażę, co mam, ale ty pierwszy.

- Przepraszam?

- Pieniądze, doktorku. Niech pan otworzy walizkę.

- Towar? Ma go pan?

- Jest tutaj.

Odwrócił się od doktora, lecz nie spuszczał z niego oka w lustrze. To, co ujrzał, zaskoczyło go. Niemal spodziewał się, że tamten sięgnie po broń. Zamiast tego jego towarzysz pochylił się, zaciskając dłonie w osobliwie drapieżnym geście. W tym momencie jego twarz zdawała się zmieniać - być może sprawiło to inne światło, ale przez sekundę wydawał się zupełnie innym człowiekiem. De Havilland poczuł dreszcze promieniujące z okolic nerek. Odwrócił się gwałtownie, tak szybko, że doktor wzdrygnął się zaskoczony, patrząc na niego zmętniałym wzrokiem.

- No i co, doktorku?

Drobny mężczyzna najwyraźniej nie zrozumiał aluzji. De Havilland, wciąż obserwując go uważnie, obmacywał blat zdobionego rzeźbionego stolika, zwalniając ukryte zatrzaski. Środkowa część blatu przesunęła się i z odsłoniętej skrytki wyjął niewielkie zawiniątko.

- Chyba o to panu chodziło?

Rozwinął materiał, ukazując niezwykłą konstrukcję z brązu przypominającą szkielet dziwaczego zwierzęcia: machinę alchemika. Ani na moment nie spuszczał wzroku z twarzy doktora. Wyraz obcości w jego oczach zniknął, zastąpiła go nieskrywana ciekawość. Ponownie uniósł dłoń do ucha.

- Proszę, mogę ją wziąć?

- Proszę. Mogę zobaczyć pieniądze?

Zamiast odpowiedzi doktor położył na stole walizeczkę. De Havilland pozwolił mu zabrać machinę. Zwolnił zamek i uniósł wieko. Wewnątrz ciasno upakowane spoczywały pliki różowych banknotów, wciąż w banderolach. Wyjął jeden z nich. Na banderoli widniał napis: 100 X £50. Przerzucił w palcach sztywne banknoty, podsuwając je pod nos. Wyglądały i pachniały autentycznie. Zaczął przeliczać wierzchnią warstwę.

- Proszę, to wszystko?

- Niech mi pan da minutę, nie umiem liczyć tak szybko.

- Nie, chodzi mi o maszynę. Jest tu cała?

- Wszystkie części, które znaleźliśmy w domu Ruggiera, jeśli o to panu chodzi. Nie była wówczas zmontowana, sami musieliśmy to zrobić. I była to cholernie ciężka praca, wierz mi pan.

- Po prostu tu jest wolne miejsce. Widzi pan?

- Tak, zauważyliśmy. Ale, jak mówiłem, są tu wszystkie części, które znaleźliśmy. To jakiś problem? Proponował pan pół miliona za to, co mamy. To właśnie to.

Ręka ponownie powędrowała do ucha. Drobny człowieczek się skrzywił.

- Nie, nie, to nie problem. Mój zleceniodawca z pewnością będzie zadowolony.

Skąd niby to wie, zastanawiał się De Havilland. Nie mógł przecież jej obejrzeć, sprawdzić. Nadal przeliczał wierzchnią warstwę, trzydzieści trzy pliki. Z tym, który trzymał w dłoni, trzydzieści cztery. Wysypał je na kozetkę. Trzydzieści trzy w następnej warstwie, także je wyjął. I znów trzydzieści trzy. Sto plików po pięć tysięcy funtów. Wyglądało na to, że wszystko w porządku.

- Cóż, doktorku, chyba dobiliśmy targu.

Człowieczek przytaknął, pakując konstrukcję z brązu. De Havilland obserwował uważnie każdy jego ruch. Gość schował maszynę do walizki. Żadnych sztuczek, nie zawieźdź mnie, doktorku.

- Chętnie czymś bym pana poczęstował, ale z pewnością wolałby już pan pójść.

*A ja z pewnością wolałbym, żebyś się już wyniósł.*

- Oczywiście, muszę iść.

De Havilland podążył za nim do przedpokoju. Idź dalej, doktorku, do samych drzwi. Tamten otworzył je i wyszedł, odruchowo unosząc rękę, by zgasić światło. Przez moment De Havilland widział wyłącznie kształt jego głowy na tle jasnej klatki schodowej. Mężczyzna odwrócił się i rzekł zupełnie innym głosem:

- Do widzenia, panie De Havilland.

## Rozdział 9

### Co za dużo; to niezdrowo

W poniedziałek rano w ciągu pierwszych pięciu minut w szkole Jake od trzech różnych osób usłyszał wyszeptaną z podnieceniem wiadomość, że nauczyciel angielskiego zniknął.

- Macintosh? Co to znaczy zniknął?

- Zwiął. Nie zjawił się w sekretariacie. Pan Marks jest wściekły.

Jake podszedł do tego sceptycznie.

- Pewnie po prostu zasnął. Pamiętacie Holligana?

Świętej pamięci pan Holligan, za którym nikt nie tęsknił, słynął z tego, że zawsze się spóźniał.

- Nie wierz w to - rzucił inny chłopak. - Uciekł z panną Wilbright, założę się, o co chcesz.

Jake zaśmiał się pogardliwie, wspominając ledwie zawołowane aluzje, jakie nauczycielka czyniła w piątek.

- Wilbright i Macintosh? Niemożliwe, ona go nie znosi!

- Słyszałem co innego. Poza tym on zniknął, ona zniknęła. To chyba logiczne, nie?

Choć Jake uważał, że logice tej da się wiele zarzucić, był zbyt zaprzątnięty własnymi myślami, by powiedzieć to głośno. Wilbright i Macintosh nie zjawili się w szkole. Macintosh zniknął w podejrzanych okolicznościach. To przypuszczalnie nie był przypadek. Może... Załóżmy, że Macintosh był jakimś zbrojcem, a Wilbright o tym wiedziała, na przykład z jakiejś innej szkoły (oboje zatrudnili się dopiero w tym semestrze), kiedy zatem zobaczyła, jak rozmawiał z Jakiem, mogła coś powiedzieć, co go ostrzegło, a teraz z pewnością wyjaśnia to wszystko władzom szkolnym czy nawet policji. Wszystko świetnie do siebie pasowało.

- Grosik za twoje myśli, Jake.

To była słodka, wszechobecna Alison Macdonald. Wszechobecna, bo ostatnimi czasy zdawało się, że była wszędzie - a przynajmniej wszędzie, gdzie zjawiał się Jake: w klubie szachowym, w drużynie badmintona, nawet na fakultetach z matematyki w porze lunchu. A słodka, bo po prostu taka była.

- He? A, cześć, Alison.

- Co myślisz o Wilbriht i Macintoshu?

- Nie rozumiem, czemu wszyscy chcą zrobić z nich parę. Raczej do siebie nie pasują.

- No nie wiem, podobno przeciwności się przyciągają. Poza tym Marie Glover widziała ich razem w piątek wieczór.

- A czyż można zaufać wzrokowi panny Glover, zwłaszcza w piątkowy wieczór? - Wypowiedział te słowa niskim głosem pana Marksa, zastępcy dyrektora.

Alison wybuchnęła śmiechem, lecz Jake zastanawiał się w duchu nad jej słowami. Piątkowy wieczór, tuż po tym, jak odszedł. Oczywiście, to mogło pasować do jego teorii.

- I nie tylko Marie Glover - oznajmiła Alison. - Mnóstwo ludzi widziało ich razem.

- Fakt, iż widywano ich razem, jeszcze nie świadczy, że się spotykali - odparł Jake. Zawiesił głos, po czym dodał jakby po namyśle: - Spójrz choćby na nas... - Gdy to mówił, oboje patrzyli na siebie i w tym samym momencie dotarło do nich prawdziwe znaczenie jego słów. Długą chwilę po prostu patrzyli sobie w oczy. W końcu Alison uśmiechnęła się bardzo powoli.

- Ale z drugiej strony - rzekła, a jej oczy się rozszerzyły - nie oznacza to, że się nie spotykają.

Oboje uśmiechnęli się, wciąż nie spuszczać z siebie wzroku.

Przez resztę dnia tajemnica panny Wilbriht i pana Macintosha zajmowała ostatnią pozycję na liście interesujących Jake'a rzeczy. Na przedostatnim miejscu plasowała się nauka. Raz po raz kolejni nauczyciele przywoływali go do porządku, a ich słowa brzmiały niczym powtarzający się refren piosenki.

- Giacometti, nie śpij.

Nie mógł zaprzeczyć, śnił. Wizje Alison zajmowały cały jego umysł od samego środka po najdalsze granice, nie pozostawiając miejsca na nic innego. Miał wrażenie, że w jego życiu zaszła właśnie głęboka, podstawowa zmiana.

Gdy Jake wrócił do szkoły po letnich wakacjach, odkrył ze zdumieniem, że kwestia dziewcząt - a dokładniej tego, czy ma się dziewczynę, czy nie - z niezbyt ważnego drobiazgu przekształciła się w podstawowy wskaźnik społeczny. Niedojrzali chłopcy, nieopierzone wyrostki, wciąż krążyli po korytarzach stadami, czujnie podchodząc do przedstawicielek płci przeciwnej niczym do przybyszów z innej planety, uważanych za wrogów. Młodzi mężczyźni natomiast wyróżniali się spośród nich faktem posiadania bliskiej przyjaciółki, z którą spędzali większość czasu, choć nie cały. Bo oczywiście pozostawały też im do omówienia ważne sprawy z innymi dojrzałymi mężczyznami, na przykład piłka nożna.



Jake uznał, że on sam całkiem sprytnie poradził sobie z ową przemianą: od początku mógł przedstawiać Helen jako swoją dziewczynę i poprzeć owo twierdzenie dowodami w postaci zdjęć przedstawiających ich dwoje w najróżniejszych egzotycznych miejscach. Co więcej, mógł czynić aluzje do tygodnia spędzonego w jej towarzystwie bez nadzoru dorosłych - choć jako dżentelmen pozostawiał szczegóły domysłom słuchaczy. Fakt, iż Helen mieszkała w Szwajcarii, nie stanowił szczególnego problemu: nie tylko dodawał jej wyjątkowego, egzotycznego, cudzoziemskiego uroku, ale też uwalniał Jake'a od męczących obowiązków spadających na barki innych mężczyzn: niekończącego się łożenia po sklepach (gdy w tym czasie można by zagrać w nogę), oglądania romansideł (zamiast normalnych filmów akcji) i gadania, gadania, gadania. I tak dzięki Helen zdołał odnaleźć się całkiem nieźle w nowej męskiej hierarchii, zachowując przy tym całkowitą swobodę ruchów. Same plusy.

Oczywiście dokonał tego, nie informując Helen o jej oficjalnym statusie dziewczyny. Czasami miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale teraz gdy na horyzoncie zjawiała się Alison, z ulgą pomyślał, że zostanie mu przynajmniej oszczędzona bolesna scena zerwania. Mimo to musiał jednak odprawić pewien rytuał - Helen zbyt długo zajmowała główne miejsce w jego sercu, by pozbyć się jej tak bezceremonialnie.

*[Scena: Zamglone urwisko, nad głowami krążą krzyczące żałośnie mewy. Daleko w dole melancholijnie szumi morze. Z prawej strony wchodzi Jake w stroju porucznika marynarki z epoki napoleońskiej, ma również szpadę i trójgraniasty kapelusz. Staje na skraju przepaści, spoglądając posepnie w dal. Z lewej podchodzi do niego Helen, ubrana w kobiecy strój z tej samej epoki; powoli rozwiązuje i zdejmuje czepek. Wiatr rozwiewa jej włosy. Przez chwilę stoją obok siebie w milczeniu, podziwiając zachód słońca].*

Jake: Słońce zachodzi.

Helen: Dzień dobiega końca.

*[Pauza]*

Jake: Wszystko musi mieć swój koniec.

*[Helen, dostrzegając głębsze znaczenie tych słów, obraca się i patrzy na niego. On odpowiada jej spokojnym spojrzeniem].*

Jake: Wiele razem przeszliśmy, Helen.

Helen: Istotnie.

Jake: I zawsze będę cenił sobie naszą przyjaźń.

Helen: *[tłumiąc szloch]* Miałam nadzieję, że zostaniemy kimś więcej niż przyjaciółmi.

Jake: Wiesz, że to niemożliwe. Żyjemy w innych światach.

Helen: Och, Jake...

Jake: *[stanowczo]* To nie ma sensu, Helen. Wiesz, że musimy podążać innymi drogami. Ja muszę zdobyć majątek, ty już swój masz.

Helen: *[z pełnym wzgardy gestem]* Jakżebym chciała, by było inaczej!

Jake: *[spokojnie, uspokajająco unosząc rękę]* To próżne, niepotrzebne życzenia. Takie jest twoje przeznaczenie. Moje prowadzi mnie w inną stronę.

Helen: *[płaczce cicho]* O Jake! Jake!

Jake: *[ustępuje, nieco wzruszony]* Może za kilka lat znów się spotkamy.

*[Helen patrzy na niego z nagłą nadzieją]*

Jake: Jako przyjaciele.

Helen: *[błagalnie]* Tylko jako przyjaciele?

Jake: Zawsze jako przyjaciele. *[Ujmuje jej dłonie i całuje ją czule w czoło]* Żegnaj, Helen.

*[Słońce zachodzi]*

Głos: Giacometti, nie śpij.

\*

Po zajęciach Alison czekała na niego przy bramie.

- Odprowadzić cię do domu?

- Jeśli zechcesz.

Był piękny dzień. Wszędzie wokół Jake dostrzegał ślady nadchodzącej wiosny: drzewka wiśniowe okryły się bujnym różowym kwieciami. Wszystko pączkowało bądź rozkwitało, ptaki radośnie śpiewały. Po drodze poruszali najróżniejsze tematy: mówili o sztuce, literaturze, muzyce, historii, przyszłości, jedzeniu, przyjacielach, wrogach, własnych gustach, rodzicach, rodzinach i krewnych.

W całej tej pogodnej i harmonijnej rozmowie dźwięczała tylko jedna fałszywa nuta: fakt, że podczas zbliżających się ferii wielkanocnych nie będą się mogli widywać. Alison wyjeżdżała na drugi tydzień, a Jake (jakże teraz przeklinał ów fakt, choć wówczas szalał z radości) został zaproszony na początek ferii do Silk House. W istocie (myśl ta uderzyła go jak grom) wyjeżdżał nawet wcześniej - już pojutrze.

- To znaczy, że przez resztę tygodnia nie będzie cię w szkole? - spytała z wyrzutem Alison.

- Tak - odparł Jake nieszczęśliwym tonem.

Czemuż, och czemuż tak bardzo piłował swych rodziców, że zgodzili się na wcześniejszy wyjazd? Teraz nie mógł się już wycofać. Ale przynajmniej zaproszenie było dość otwarte (Wpadnij na parę dni, powiedział Stephen Langton), więc może zdoła wrócić

wcześniej.

- Wątpię, by udało mi się wykręcić. Ale może przynajmniej skrócę wyjazd.

Alison się rozpromieniła. Byli już przy drzwiach Jake'a; w istocie od dłuższej chwili stali przed nimi.

- Może wejdiesz, napijesz się herbaty czy coś w tym rodzaju?

Alison posłała mu promienny uśmiech.

- O tak, bardzo chętnie.

Jak zwykle wykrzykując słowa powitania, wmaszerował do przedpokoju. Jak zawsze cisnął torbę z książkami na wieszak. W odpowiedzi matka zawołała coś z kuchni, a potem zjawiała się osobiście, wycierając ręce w fartuch.

- Cześć, synu, masz... O, a kto to?

- Cześć, mamó, to jest Alison.

- Witaj, Alison, miło mi cię poznać.

- Dzień dobry, pani Giacometti.

- Masz gościa, Jake.

Matka skinieniem głowy wskazała salon, Jake otworzył drzwi i wszedł do środka. Alison dreptała tuż za nim.

- Witaj, Jake.

To była Helen.

## Rozdział 10

### O co w tym wszystkim chodzi?

Jake siedział naprzeciwko Helen. Za oknem perony dworca powoli przesuwały się w tył. Teraz jechali przez wąski kanion o ścianach z osmalonego kamienia. Wkrótce ściany zniknęły, zastąpiło je morze szarych domów. Jak zawsze podczas jazdy pociągiem miał wrażenie, że nagle znaleźli się z tyłu świata i dostrzegają ukryte oblicze wszystkich rzeczy: tyły domów, płataniny zaśnieżonych rynien, ogrody zasłane zabawkami, łopoczące na sznurkach pranie, gęste zarośla, gładkie ściany fabryk, porzucone ruiny. Jechali na południe, do Silk House. Od chwili gdy Jake wsiadł do pociągu z Helen, nie zamienili nawet słowa.

Spojrzał na nią, z uporem wyglądała przez okno. Równie dobrze mogła podróżować sama. Czemu upierała się, by jej towarzyszył, skoro tak się zachowuje?

Przypuszczał, że z powodu Alison. Widok Helen w salonie był ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwał, a Helen najwyraźniej zupełnie nie spodziewała się ujrzeć go wraz z Alison. Zrzedła jej mina. Wcześniej nigdy nie zastanawiał się nad znaczeniem tych słów, lecz w tej chwili ujrzał je dokładnie. Coś w rodzaju zwiotczenia wszystkich mięśni twarzy. W jednej chwili uśmiechała się na powitanie, w drugiej jej uśmiech zniknął, usta się otworzyły, oczy zmrużyły, wszystko oklapło. Trwało to tylko sekundę, potem natychmiast się opanowała i przywołała upiorną imitację uśmiechu. Wyraźnie jednak całkowicie zaskoczyło ją to, co zastała.

A czego się spodziewała, pomyślał Jake nie bez odrobiny okrutnej satysfakcji. Czyżby liczyła na to, że zjawi się znienacka, a on będzie wiernie czekał, gotów spełniać jej zachcianki? W przeszłości istotnie tak właśnie się zachowywała. Jake często czuł się jak jeszcze jeden fragment bagażu, który ciągnęła za sobą. Możemy zrobić to, pojechać tam, zatrzymać się u moich kuzynów X, Y czy Z - najwyraźniej dysponowała niewyczerpanymi zapasami kuzynów we wszystkich większych miastach Europy. Pomyśl, że Jake mógłby mieć własne plany, nie mieć ochoty podporządkowywać się impulsywnym kaprysom Helen, w ogóle nie przyszedł jej do głowy. Według Helen narada oznaczała danie drugiej stronie szansy na wyrażenie zgody.

Sprawy przedstawiały się jednak inaczej. Zostawił za sobą przeszłość i ruszył

naprzód; teraz to ona podążała za nim. Spotkanie z Alison nie wyszło zbyt zręcznie. Ale uznał, iż wyraźnie dał do zrozumienia, po której jest stronie - Alison (całkiem dosłownie - pozostał po jej stronie pokoju, usiadł obok niej na kanapie). Helen jak zawsze potrafiła prowadzić lekką rozmowę o niczym, ale wyraźnie dostrzegła, że chciała pozbyć się Alison i pomówić z nim w cztery oczy. Jake był zdecydowany nie dać jej tej szansy. Niestety Alison także nie była zachwycona obecnością Helen i przeczuwał, że będzie musiał bardzo się postarać, by ją udobruchać, wyjaśnić raz na zawsze, że nie miał z tym nic wspólnego. Mimo wszystko czuł wyrzuty sumienia, które z kolei sprawiały, że był zły na Helen. Czemu musiała wybrać sobie akurat ten wieczór, by zjawić się niezapowiedziana? Zupełnie jakby Bóg uwielbiał podobne złośliwe dowcipy.

I właściwie czemu tu była? Wyjaśnienie, jakie podała - akurat odwiedziła Glasgow i pomyślała, że wpadnie - brzmiało idiotycznie. Jak mogła przypadkiem odwiedzić Glasgow, przecież mieszkała w Szwajcarii! Najwyraźniej te eleganckie, drogie prywatne szkoły nie szczędziły swym uczniom ferii. Jakież to typowe - im więcej się płaci, tym mniej się dostaje. Jake doszedł w końcu do wniosku, że Helen przybyła na północ z gotowym planem działania i założyła, że on po prostu zgodzi się na wszystko. A odkrycie, że sytuacja wygląda inaczej, niż oczekiwała, do tego stopnia zbiło ją z tropu, iż teraz nie wie, co robić. Trochę jej nawet żałował, ale tylko trochę, bo owo przyjęte z góry założenie, że świat zawsze dostosuje się do jej woli, było jedną z rzeczy, które najbardziej drażniły go u Helen (a także tym, czego najbardziej jej zazdrościł). Widok Helen, która nagle niczym zwykli śmiertelnicy musi pogodzić się z losem, ucieszył go skrycie. Z pewnością jej to nie zaszkodzi.

Przed obiadem parę razy próbowała znaleźć się z nim sam na sam, lecz on zręcznie się wymykał. Potem przy stole znów podjęli uprzejmą, bezsensowną rozmowę. Dopiero gdy mama wspomniała o jego wyjeździe do Silk House, zachowanie Helen znów uległo zmianie. Jej pierwsza reakcja zaskoczyła Jake'a i wciąż czuł zdumienie - patrzył na nią akurat w chwili, gdy mama wspomniała nazwę dworu, i widział, jak jej twarz przybrała niezwykle wyraz, chyba szoku. Mógłby przysiąc, że coś ją przeraziło. Jakby nie dość tych dziwów, w następnych słowach jasno przedstawiła swoje (wcześniej jakże mgliste) plany. Jake jedzie do Silk House? Tak się składa, że ona także (nie wspomniała jednak, czemu przypadkiem wybrała się tam przez Glasgow, co oznaczało nadłożenie około półtora tysiąca kilometrów). Czy zatem nie byłoby logiczne, gdyby pojechali razem? Oczywiście, że tak, odparli jego rodzice, jak zawsze podejmując decyzję w jego imieniu. Słyszając to, Helen odetchnęła z ulgą - tak, z ulgą, to słowo pasowało najlepiej. Potem nie próbowała już pomówić z nim sam na sam.

Wiedziała przecież, że w pociągu, chcąc nie chcąc, będę musiał jej wysłuchać, pomyślał Jake. Teraz z kolei siedziała i wyglądała przez okno, zupełnie jakby w ogóle go tu nie było. O co w tym wszystkim chodzi? Podejrzewał, że pewnie o Alison, lecz Silk House także odgrywał w tym wszystkim jakąś rolę. Spędzili tam razem parę dni między Bożym Narodzeniem i Nowym Rokiem i mimo pozoru serdeczności nawet Jake (który musiał przyznać, że nie należy do najbardziej spostrzegawczych osób) wyczuwał wyraźne napięcie pomiędzy ojcem Helen i Stephenem Langtonem. Miało to coś wspólnego z machiną alchemika, którą zdołali zmontować tylko po to, by odkryć, że oczywiście nie działa. Gdy potem wybrali się na spacer, Helen powiedziała, że jej ojciec chciał sprzedać maszynę i zabrać swoją część zysków, ale Stephen Langton kategorycznie odmówił.

Może więc o to chodziło? W sumie było ich czworo i każde mogło domagać się swojego udziału w maszynie. To Stephen Langton ją znalazł, ale dopiero po tym, jak Jake i Helen rozwiązali zagadkę obrazu, która zdradziła, gdzie ukryto maszynę. A oczywiście ojciec Helen zapoczątkował wszystko, kradnąc ów obraz. Toteż każde z nich mogło domagać się równego udziału. Jeśli zatem ojciec Helen chciał sprzedać maszynę, a Helen zgadzała się z nim (oczywiście, że się zgadzała, od początku nie podobało jej się to, że mają maszynę), a Stephen Langton był przeciw, jego, Jake'a, głos mógł wszystko rozstrzygnąć.. W zależności od jego opinii byłoby 3:1 za sprzedażą albo remis 2:2 oznaczający, że nic się nie zmieni i zatrzymają znalezisko. Z pewnością o to chodzi. Helen przyjechała, by przekonać go do sprzedaży. Gdy usłyszała, że wybiera się do Silk House, przestraszyła się, że spiskują coś ze Stephenem Langtonem, i postanowiła zabrać się z nim, by go namówić.

A on? Jakże właściwie miał zdanie? Sam nie był pewien. Wydarzenia owego lata wydawały się takie odległe, podobnie jak jego ówczesne przekonanie, że ta zbieranina kawałków metalu może w istocie być czymś niezwykłym - bajecznym kamieniem filozoficznym! Późniejsze odkrycie podczas świąt, że nawet zmontowana maszyna tak naprawdę nic nie robi, sprawiło mu zawód, owszem, ale nie zaskoczyło. Tylko Stephen Langton wciąż w nią wierzył, upierał się, że brakuje jakiejś części. I rzeczywiście w środku pozostało wolne miejsce. Z jednej strony Jake popierał pana Langtona - bardzo chciał, by rzeczywiście był to kamień filozoficzny. Z drugiej - równie dobrze mógłby chcieć odnaleźć potwora z Loch Ness. Jasne, ubarwiłoby to ich życie, ale powiedzmy sobie szczerze, kto by w to uwierzył. Czy to znaczy, że zgodziłby się na sprzedaż? Doskonale rozumiał Geralda De Havillanda. Zarówno pan Langton, jak i Helen mieli więcej pieniędzy, niż mogliby wydać, toteż sprzedaż nie czyniła im żadnej różnicy. Natomiast jemu i ojcu Helen owszem. Pozostawało tylko pytanie: Ile warta była maszyna?

Aurelian Pounce był gotów dla niej zabić. Najwyraźniej zatem uważał ją za cenną. Ale czy sprawił to fakt, że sam także zajmował się okultyzmem i czarną magią i niewątpliwie wierzył, że ma do czynienia z kamieniem filozoficznym bądź potężnym urządzeniem magicznym? Zapewne istnieli jeszcze inni ludzie żywiący podobne przekonania. Czy jednak chciałby prowadzić z nimi interesy? Może oni także, jak Pounce, zamiast zwykłej transakcji gotówkowej woleli posłużyć się innymi metodami: porwaniem, torturami, morderstwem? Oczywiście machina była niewątpliwym antykiem, co oznaczało sporą wartość na aukcji. Ale czy nie musieliby najpierw wyjaśnić, skąd ją wzięli? Wiedział, że udokumentowane pochodzenie stanowi ważny czynnik podczas aukcji. Musieliby zatem załatwić wszystko nieoficjalnie. Jasne, kolekcjonerzy tacy jak Stephen często tak właśnie kupowali swe okazy. Problem w tym, że to właśnie Stephen nie zgadzał się na sprzedaż.

Może najlepiej byłoby zaczekać i poszukać owej brakującej części. Kompletna machina byłaby więcej warta. No i pozostawała niewielka szansa, że może, zaledwie może, okazałaby się jednak kamieniem filozoficznym. Oto zatem jego decyzja: poprzez Stephena przynajmniej do chwili, gdy przekonają się, że nie ma żadnej brakującej części. Zadowolony z siebie Jake z powrotem skupił wzrok na Helen.

I ujrzał, że ona płacze.

Nie był to głośny płacz, siedziała tam spokojnie, z godnością, patrząc wprost przed siebie, a łzy napływały jej do oczu i ciekły po policzkach, kreśląc na nich jasne linie. Zupełnie jakby oglądał płaczący posąg.

Jake poczuł, jak w jego sercu wzbiera przejmująca litość. Pragnął wyciągnąć rękę, zatrzymać te łzy, zetrzeć je. Nie mógł znieść widoku płaczącej Helen i myśli, że to on do tego doprowadził. A potem pojawił się gniew. Znów nim manipulowała, chciała, by miał wyrzuty sumienia, bo ją rzucił. Zebrał siły.

- Posłuchaj Helen, nie ma sensu płakać. Musisz się z tym pogodzić, jestem teraz z Alison. A zresztą nigdy przecież nie spotykaliśmy się oficjalnie. Nie mogliśmy, w końcu mieszkasz w Szwajcarii i... - Urwał.

Helen patrzyła na niego z osobliwą miną, najbliższą całkowitemu niedowierzaniu. Nie miał pojęcia, czy chce się śmiać, czy płakać.

- Och, Jake, nie mam nic przeciw twojej dziewczynie. Zupełnie nie o to chodzi.

- To o co? - spytał zdumiony Jake.

## Rozdział 11

### Opowieść Helen

- Od czego mam zacząć? Wyrzucili mnie ze szkoły, ale nie o to chodzi. I miałam poważne starcie z ciotkami, ale to też nie problem, bo wygrałam. Zgodziły się, że nie muszę wracać do szkoły i mogę się uczyć na tłumaczkę literacką. Postanowiłam, że to właśnie chcę zrobić, toteż oznajmiłam, że wyjeżdżam do Cambridge, żeby sprawdzić, czy mogłabym tam studiować, i żeby być bliżej taty, a one zgodziły się pokornie jak owieczki.

Pojechałam zatem do Londynu, złapałam pociąg do Manorhampton, do Silk House. Po drodze czytałam Dantego, *La Vita Nuova*. Znasz to? Zabawna książka. Opowiada o jego miłości do Beatrycze, ale stanowi także podręcznik pisania sonetów. Pomyślałam, że skoro mam zajmować się tłumaczeniem, równie dobrze mogę poćwiczyć. A jedno zdanie utkwilo mi w głowie: *Io tenni li piedi in quella parte de la pita di la da laquale non si puote ire piu per interdimento di ritornare*, co znaczy „postawiłem stopę poza granicą owej części życia, zza której nikt nie może już powrócić”.

Nie rozumiesz? To samo dotyczyło mnie. Podjęłam decyzję, zostawiłam za sobą wszystko, do czego nie zamierzałam już wracać: szkołę, ciotki, całą tę część mojego życia - i oto wkraczałam w przyszłość. A potem, gdy dojechałam do Manorhampton, znów o tym pomyślałam, bo oczywiście przypominałam sobie, jak zjawiliśmy się tam razem latem zeszłego roku. Tak naprawdę tam właśnie wszystko się zaczęło. Bo gdybyśmy wówczas zawrócili, nic z tego by się nie wydarzyło. Wyobrażasz więc sobie, co działo się w mojej głowie, gdy wędrowałam podjazdem prowadzącym do dworu. Wsiadłam z taksówki pod kościołem. Dzień był tak śliczny, że miałam ochotę się przejść.

W każdym razie już miałam zadzwonić - pomyśl tylko, jak zdziwiliby się na mój widok - gdy zauważyłam, że drzwi nie są do końca zamknięte. Pomyślałam zatem, że wkradnę się do środka i zrobię im niespodziankę.

Wiesz, jak to jest, kiedy wchodzisz gdzieś i natychmiast się orientujesz, że coś jest nie tak. Próbujesz otrząsnąć się z tego wrażenia, udajesz, że to tylko wyobraźnia, ale oczywiście skoro to robisz, w głębi duszy już w to wierzysz. Przez chwilę próbowałam określić, o co chodzi. W końcu uświadomiłam sobie, że o ciszę. Nie słyszałam nawet zegara. Pamiętasz ten



wielki zegar w holu, który trzeba było co dzień nakręcać? Spojrzałam na niego i faktycznie, stał. Jasne, nie było w tym nic dziwnego, mogli przecież wyjechać na parę dni. Ale te niezamknięte drzwi... No, może wyjechali w pośpiechu i ich nie domknęli, pomyślałam.

W tym momencie o mało nie wróciłam, żeby je zamknąć. Pomyślałam sobie, jakie będą mieli miny, kiedy przyjadą i zastaną mnie siedzącą i czekającą na ich powrót. Co za szczęście, że to ja, a nie włamywacz, odkryłam otwarte drzwi. I wtedy zamarłam, bo nagle pomyślałam, że może rzeczywiście jest tam jakiś włamywacz. Bałam się nawet odetchnąć. Pamiętam, że wpatrywałam się w promień światła przecinający hol, drobinki kurzu tańczące w powietrzu i próbowałam wymyślić, co mam robić. Wszędzie nadal panowała cisza.

I ona właśnie sprawiła, że w końcu ruszyłam się z miejsca. Byłam pewna, że gdyby ktoś tam był, musiałabym go usłyszeć. Toteż na paluszkach przeszłam do pierwszego pokoju i natychmiast przekonałam się, że faktycznie ktoś tam był. Nie żeby zostawił po sobie bałagan, niczego nie splądrowano. Ale odniosłam wrażenie, że ktoś, komu zależało tylko na jednej szczególnej rzeczy, dokładnie wszystko przeszukał. I gdy tylko to pomyślałam, zrozumiałam, po prostu zrozumiałam, że ów ktoś szukał maszyny alchemika.

Faktycznie, kiedy weszłam do następnego pokoju - pamiętasz ten, w którym ustawiliśmy rzutnik i wyświetliliśmy na ścianie slajd przedstawiający obraz? - półki z książkami były odsunięte, a za nimi widać było pokój zbiorów. Ktokolwiek to był, wiedział o jego istnieniu albo go odkrył. W pewnym sensie sprawiło to, że mój strach trochę zmalał, bo pomyślałam, że ta osoba musiała już odejść. Jeśli znalazła pokój z kolekcją, z pewnością zdobyła to, po co przyszła.

Wsunęłam do środka głowę i natychmiast przekonałam się, że stolik, na którym stała maszyna - wiesz, ten obity pomarańczowym aksamitem - jest pusty. Niczego innego nie poruszono, choć ktoś podniósł żaluzje we wszystkich szafkach, jakby sprawdzał, czy prócz maszyny nie znajdzie w nich czegoś interesującego. Sama nie wiem, czemu szukałam dalej, lecz jakaś część mnie podpowiadała, że jest tam coś jeszcze. Ruszyłam zatem do następnego pokoju - wiesz, tego z drzwiami wychodzącymi na pokój - i tam to zobaczyłam. Z początku nie wiedziałam co to, przypominało jeden z tych dziwnych obrazków, na których widać znajomy obiekt pod nietypowym kątem. A potem zrozumiałam, że to but. Zdziwiło mnie jednak, iż jakby stał w zupełnie niewiarygodnej pozycji.

Przeszłam jeszcze parę kroków i zorientowałam się, że za fotelem na ziemi leży człowiek. Nie widziałam jego twarzy, bo zakryto ją kawałkiem materiału. Obok leżał przewrócony stolik i dzban z kwiatami, rozrzuconymi po szerokim łuku, niemal ułożonymi. Myślę, że to się stało, gdy ów człowiek, padając, chwycił obrus i przewrócił stół.

Przypuszczam, że byłam w szoku, ale pamiętam, że myślałam bardzo spokojnie, że nie dowiem się kto to, póki nie odsłonię twarzy. Zupełnie jakby wszystko czekało tam na mnie. Znow jak u Dantego, kolejny nieodwracalny krok. A przez cały czas inna część mnie mówiła, jakim cudem nie wiesz kto to? Bo oczywiście wiedziałam, że może to być mój ojciec albo Stephen Langton - albo ktoś zupełnie inny, obcy, ale nie potrafiłam tego stwierdzić. No wiesz, tato i Stephen są mniej więcej tego samego wzrostu i budowy, i ubierają się dość podobnie. A my zwykle oglądamy ludzi stojących, a nie leżących płasko na wznak.

Bardzo nie chciałam podnosić tego obrusa, ale nie mogłam zrobić nic innego, bo oczywiście musiałam wiedzieć. Toteż spróbowałam się uspokoić, uklękłam i pociągnęłam go.

To był Stephen Langton.

Tak bardzo mi ulżyło, że to nie tato, iż odkryłam, że się uśmiecham, może nawet zaśmiałam się w głos. Jednocześnie jednak mówiłam sobie, że powinnam czuć smutek. W końcu leży przede mną pan Langton. Tyle że to nie był on. Owszem, jego ciało, ale nie on. Nie wątpiłam, że nie żyje, bo z piersi sterczała mu rękojeść noża - czarna, owinięta kawałkiem skóry. Zabawne, jak człowiek zapamiętuje najdrobniejszy szczegół. Pamiętam, że zauważyłam nawet, iż nie ma prawie wcale krwi, i pomyślałam, że to dlatego, że przebito go nożem na wylot i krew wypłynęła drugą stroną.

Myślę, że niczego nie czułam, byłam otępiała. Po prostu cieszyłam się, że to nie tato.

Wstałam i wtedy ktoś przyłożył mi dłoń do ust i drugą do karku, naciskając z boku, o tutaj. Myślę, że to była kobieta, nie z powodu dłoni - chłodnych i gładkich - ale zapachu. Poczułam go tuż przed utratą przytomności.

Gdy się ocknęłam, siedziałam w fotelu, a przede mną stał mężczyzna. Patrzył na mnie i odniosłam wrażenie, że jest dość zdenerwowany. Najzabawniejsze jest to, że gdy tylko go ujrzałam, odniosłam wrażenie, że widziałam go już wcześniej, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć gdzie. Kiedy przekonał się, że odzyskałam przytomność, spytał, czy dobrze się czuję. Przypuszczał, że zemdlalam, bo znalazł mnie na podłodze, gdy się zjawiał. Oznajmił, że nazywa się Raeburn, Macintosh Raeburn, co też zabrzmiało znajomo, ale nie z powodu twarzy. Potem dodał, że jest pisarzem i był umówiony ze Stephenem Langtonem. Wtedy przypomniałam sobie, że kiedy byliśmy u niego w święta, Stephen miał u siebie książkę, która bardzo go zainteresowała. Jak brzmiał jej tytuł? *Eliksir i Kamień*. Właśnie.

Odparłam, że przyjechałam zobaczyć się z ojcem. Ujrzałam, jak zerka na trupa, toteż dodałam: „Nie, to nie on, to pan Langton, mojego ojca tu nie ma”. Wówczas jego twarz skrzywiła się i zrozumiałam dokładnie, o czym myśli. Nagle pojęłam, że ojciec ma kłopoty. Nie żebyśmy sądziła, że on to zrobił, bo niby po co, ale ponieważ wszyscy inni będą go

podejrzewać. Raeburn spytał, czy wezwałam policję, bo jeśli nie, lepiej tego nie robić, nie przyznawać się, że tam byliśmy. I tak nic byśmy nie pomogli, a tylko napytalibyśmy biedy sobie i innym. Wiedziałam, że chodzi mu o ojca. Wyszliśmy zatem, zostawiając wszystko tak, jak zastaliśmy. Po drodze wpadłam na świetny pomysł, zatrzasnęłam drzwi - miały zamek zatraskowy - i zadzwoniłam, żeby móc mówić, że przyjechałam i nikogo nie zastałam. A potem on się zjawił. Jego samochód parkował na podjeździe, dziwaczny, stary sportowy wóz, zieloniutki. Wyglądał jak ryba, miał nawet płetwy. Spytał, czy dokądś się wybieram. Odparłam, że do Londynu. Pomyślałam, że sprawdzę w mieszkaniu taty, czy go tam nie ma, czy nie zostawił jakichś wskazówek, dokąd mógł pojechać. Choć tego już nie dodałam. Przede wszystkim marzyłam, żeby jak najszybciej pozbyć się Raeburna. Bo choć rzeczywiście chciałam wynieść się stamtąd i dotrzeć do Londynu, najlepiej nie pociągiem - uznałam, że im mniej ludzi mnie tam zobaczy, tym lepiej - zdecydowanie nie miałam ochoty, żeby dalej się koło mnie kręcił.

W każdym razie wsiadłam do samochodu i w chwili gdy zawracaliśmy, obejrzałam się na dom. Mogłabym przysiąc, że ktoś stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz - ktoś wysoki i ciemny, bardziej przypominał kobietę niż mężczyznę. Ale widziałam postać tylko przez ułamek sekundy, samochód już jechał. Gdy kąt się zmienił, obraz zniknął. Może faktycznie było to tylko złudzenie.

Gdy znaleźliśmy się na drodze, silnik pracował bardzo głośno. Ucieszyło mnie to, bo nie miałam ochoty rozmawiać. Po jakimś czasie Raeburn coś krzyknął i wskazał ręką do tyłu. Odwróciłam się i zobaczyłam czarne maserati. Raeburn najwyraźniej uważał, że tamten nas śledzi, lecz uznałam, że przesadza, by mi zaimponować. Jechał bardzo szybko, teraz jednak ostro zwolnił, by maserati musiało nas wyminąć, ale tamten także przyhamował.

- Nie chce tracić nas z oczu - oznajmił Raeburn. Ja z kolei pomyślałam, że może kierowca postanowił się zatrzymać, sprawdzić na mapie, gdzie się znajduje. Za następnym zakrętem Raeburn ostro przyspieszył. I faktycznie, gdy znów wyjechaliśmy na prostą, maserati pędziło za nami jak szalone.

Zbliżało się powoli, ale właśnie dotarliśmy do skrzyżowania - z głównej drogi wyjeżdżała cysterna, a za nią długi sznur samochodów. Raeburn śmignął tuż przed nią - nie uwierzyłybyś, jak na nas trąbili - a maserati musiało zatrzymać się i ich przepuścić. Resztę drogi do Londynu jechaliśmy bardzo szybko „na wszelki wypadek”, tak powiedział. Ale podejrzewam, że raczej się popisywał. Wciąż nie jestem pewna, czy maserati naprawdę nas śledziło.

W Londynie wpadłam na sprytny pomysł, jak się go pozbyć, poprosiłam, by wysadził

mnie przy stacji metra Camden Town. Oczywiście tuż obok mieści się mieszkanie taty, ale chodziło mi o to, by Raeburn sądził, że jadę gdzie indziej. Zauważyłam, że zaczekał przy krawężniku, póki nie weszłam na stację i nie pomachałam mu na pożegnanie. Potem ruszył naprzód w chmurze spalin. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli parę minut zaczekam na dole, na wszelki wypadek. Gdy skręcałam, ktoś z naprzeciwka rąbnął mnie w udo kantem walizki - takiej błyszczącej, metalowej jak u fotografa. To zabolalo. Posłałam mu paskudne spojrzenie i spytałam, czy próbuje złamać mi nogę. Ale on nie odpowiedział, gapił się tylko na mnie - mały człowiek z rzadką brązową bródką, wyglądał na cudzoziemca.

W każdym razie po jakimś czasie wykuśtykałam na zewnątrz i poszłam do mieszkania taty. Miałam nadzieję, że go zastanę, ale było puste. I gdy tylko przekroczyłam próg, osunęłam się na ziemię i wybuchnęłam płaczem. Przypuszczam, że to coś w rodzaju opóźnionej reakcji. Po jakimś czasie pozbierałam się i poszłam sprawdzić, czy znajdę coś, co mogłoby świadczyć o tym, dokąd wybrał się tato. Sprawdziłam jego komputer: kilka dni wcześniej zaglądał na stronę Eurostar, sprawdzał też różne domy aukcyjne w Paryżu. Zostawił na biurku notatki, daty, inicjały. Umierałam z głodu. W domu nie znalazłam nic do jedzenia, toteż zjadłam coś w tureckiej restauracji za rogiem. Bardzo się ucieszyli, gdy odkryli, że znam turecki. Dali mi mnóstwo dodatkowych przysmaków nieuwzględnionych w rachunku, byli bardzo mili i serdeczni. Choć kelner trochę przesadził, prosząc mnie o rękę.

Tego właśnie potrzebowałam, odrobiny serdeczności. Gdy wróciłam do mieszkania, czułam się znacznie lepiej. Stałam na podeście i szukałam klucza - byłam pewna, że włożyłam go do kieszeni, ale znalazł się w torebce. Właśnie miałam wsunąć go w zamek, gdy zauważyłam, że w przedpokoju pali się światło. Byłam niemal pewna, że go nie zapalałam - nie przypominałam sobie, bym w ogóle zapalała światło - ale nie pamiętałam też, że bym chowała klucz do torebki, a przecież to zrobiłam.

Stałam tam chyba minutę, jak jakiś półgłówek, z kluczem niemal w zamku i nie wiedziałam, co robić. A potem klamka powoli się poruszyła. Strasznie się przestraszyłam i pobiegłam na górę. Usłyszałam, jak na dole otwierają się drzwi, ktoś coś powiedział, choć nie słyszałam co. O mało nie wybuchnęłam głośnym śmiechem, gdy przyszło mi do głowy oczywiste wyjaśnienie. Jasne, to był tato. Właśnie odwróciłam się, by zejść, kiedy usłyszałam kroki kogoś idącego za mną, w górę.

Stałam na następnym półpiętrze. Gdy spojrzałam w dół, ujrzałam postać na schodach. To był ten sam człowiek, którego widziałam na stacji metra, ów cudzoziemiec z walizką. Nie widział mnie, bo patrzył za siebie, na dół. Jego twarz miała wyraz, który śmiertelnie mnie przeraził. Przypominał zwierzę obserwujące ofiarę. Wpadłam w panikę i pobiegłam na

następne piętro. Przyszło mi do głowy, by zacząć pukać do wszystkich drzwi i błagać, by ktoś mnie wpuścił, ale wtedy sobie wyobraziłam, jak tamten mnie goni i zastaje żałośnie próbującą umknąć, zapędzoną w ślepy zaułek.

Powiedziałam sobie, że przecież mnie nie widział. Mogę być lokatorką z góry albo gościem, który nikogo nie zastał. Wystarczy tylko zejść po schodach, wyminąć go i wyjść. Nawet gdybym musiała biec, to przynajmniej w stronę ulicy. Toteż zebrałam wszystkie siły, odetchnęłam głęboko i ruszyłam na dół. Wciąż tam był, czał się w kącie. Nigdy w życiu tak się nie bałam jak wtedy, gdy schodziłam po ostatnich schodach. Nogi miałam jak z gumy. Kiedy dzieliło nas tylko kilka stopni, obejrzał się. Jego oczy! Były straszne, płonęła w nich skoncentrowana nienawiść, jakby głód. Myślę, że gdyby popatrzył na mnie dłużej, zamarłabym w bezruchu. On jednak niemal natychmiast odwrócił wzrok, najwyraźniej zainteresowany wyłącznie tym, co się działo na dole.

Wyminęłam go i zesłam niżej. Z trudem opanowałam chęć ucieczki na oślep. Cały czas czułam na plecach spojrzenie tych oczu. Bardzo uważałam, by minąć drzwi taty jak gdyby nigdy nic, bez patrzenia na nie. Śmiertelnie się bałam, że domyśli się wszystkiego i zacznie mnie ścigać. Gdy znalazłam się na ulicy, nie mogłam się powstrzymać i pobiegłam. Przypuszczam, że logicznie byłoby zejść na stację metra, ale tam właśnie widziałam go po raz pierwszy. Zamiast tego biegłam przed siebie na oślep. W końcu zobaczyłam autobus i wskoczyłam do niego.

A potem zaczęłam się zastanawiać, jak najszybciej opuścić Londyn, i przyjechałam do ciebie.

## Rozdział 12

### Karuzela

Gdy Helen skończyła swą opowieść, Jake uświadomił sobie, że nie wie, co powiedzieć. Mówiła szybko, gwałtownie, jakby nagle pękła w niej jakaś tama, a jednocześnie w dziwnie bezosobowy sposób, patrząc gdzieś przed siebie. Kilka razy próbował się wtrącić - zwłaszcza gdy usłyszał o śmierci Stephena Langtona - ale teraz, kiedy mógł swobodnie mówić, odkrył, że nie jest w stanie.

Zalała go fala emocji. Wiedział, że najważniejsza powinna być w tej chwili śmierć pana Langtona. Jednak do głowy nie przychodziło mu nic poza prostym: A zatem Stephen Langton nie żyje. Co jeszcze mógłby pomyśleć? Poza tym czuł też tak wiele innych rzeczy - wstyd czy raczej zakłopotanie z powodu tego, jak bardzo mylił się co do Helen, kiedy podejrzewał ją o zazdrość o Alison, gdy tymczasem po tym, przez co przeszła, zapewne prawie nie zarejestrowała jej obecności; znajome poczucie podniecenia (i lęku), gdy znów z bezpiecznego domowego schronienia został wciągnięty w świat intryg i morderstw. Przede wszystkim jednak uderzyły go ostatnie słowa Helen. *I przyjechałam do ciebie.*

Kiedy miała kłopoty, zawsze zwracała się do niego - odruchowo, bez zastanowienia, wiedząc, że on jej pomoże. A przecież o mało jej nie zawiódł! Ogarnęło go gwałtowne poczucie winy, a zaraz potem przyjemna skrucha i postanowienie poprawy. Owszem, był nielojalny, ale teraz dochowa wierności. W istocie owa chwila zapomnienia pozwoliła mu dowieść, komu naprawdę jest oddany. Przeznaczenie przywołało go do siebie. Porzuci wszelkie myśli o Alison (i istotnie to zrobił bez wahania) i od tej pory całkowicie poświęci się Helen, swej idealnej rówieśniczce, duchowej bliźniaczce. Zalała go ciepła fala uczucia.

- Teraz się prześpię - oznajmiła Helen, uznawszy, że dostatecznie długo czekała na odpowiedź Jake'a. Opowieść ją wyczerpała, czuła się lekka, próżna w środku niczym pusty dzban.

Jake patrzył, jak Helen zwija kurtkę, podkłada pod głowę i niemal natychmiast zasypia. Była to jedna z jej najbardziej uroczych cech (ale czyż wszystkie nie były równie urocze), umiejętność zasypiania, kiedykolwiek chciała, niezależnie od okoliczności. Twarz śpiącej Helen przypominała piękną klasyczną rzeźbę. Jake siedział naprzeciw, wierny

strażnik, napawając się tym widokiem.

To los, uznał w duchu. Najwyraźniej byli sobie przeznaczeni - po raz pierwszy spotkali się we Florencji czystym przypadkiem, dwoje ludzi z dwóch różnych krajów spotykający się w trzecim. A teraz, właśnie w chwili, gdy sądził, że ruszy w innym kierunku (lojalnie pominął w myślach imię Alison), znów się pojawiła, wbrew wszystkiemu, w najwłaściwszym momencie. To chyba najlepiej dowodzi, że przeznaczone jest im bycie razem.

Sam także musiał się zdrzemnąć, bo następną rzeczą, jaka do niego dotarła, był widok siadającej, nagle rozbudzonej Helen.

- Oczywiście! - oznajmiła. - Byłam pewna, że już go widziałam!

Na twarzy Jake'a odbiło się zdumienie.

- Macintosh Raeburna, mężczyznę, którego spotkałam w Silk House. Gdy tylko go ujrzałam, wydał mi się znajomy. Po prostu nie wiedziałam skąd. Mój zalotnik-dżentelmen.

To niespecjalnie pomogło Jake'owi w zrozumieniu.

- Zalotnik-dżentelmen? - powtórzył.

- Tak nazywają go ciotki - odparła Helen ze śmiechem. - Jak z Tennessee Williamsa, nie sądzisz?

Jake mruknął coś pod nosem. Tennessee Williams? O co jej chodziło? Nigdy nie podejrzewał, że Helen słucha country.

- Zjawił się u nas kilka miesięcy temu, lecz ciotki nie pozwoliły mu ze mną mówić, choć przyjrzałam mu się dobrze. Najwyraźniej nie odpowiadał ich kryteriom.

- Ale czego chciał? - Jake wciąż patrzył na nią kompletnie zagubiony.

- Czego naprawdę chciał, nie mam pojęcia, ale mówił o tym, co wszyscy.

- Co wszyscy?

- No wiesz, moja ręka, małżeństwo i tak dalej.

- On... chciał się z tobą... ożenić?

Jake miał wrażenie, jakby ktoś wyciągnął mu te słowa siłą z gardła.

- Oczywiście, wszyscy tego chcą. Ciotki powtarzają mi do znudzenia, że jestem młodą, obiecującą damą. Mam obowiązek wyjść stosownie za mąż, by zachować rodzinny majątek. A nie rzucać się na oślep w czyjeś objęcia, jak to zrobiła moja mama - dodała ciszej.

Jake nie dostrzegł w jej słowach ironii, ponieważ zbyt mocno uderzyły go następstwa tego, co właśnie powiedziała. Poczuł w brzuchu ten sam lodowaty chłód jak podczas egzaminu, gdy dziesięć minut przed końcem odprężasz się, odpowiedziawszy na wszystkie pytania, odwracasz kartkę i widzisz wcześniej niezauważoną, równie długą listę. Fakt, iż do

Helen regularnie zalecali się dorośli mężczyźni, całkowicie odmienił jego spojrzenie na sytuację. Jeszcze chwilę temu miał wrażenie, że Helen równie jasno jak on dostrzega, że są dla siebie stworzeni, wybrani od chwili narodzin. Teraz nagle ujrzał, kim naprawdę jest w jej życiu. Obcym na nieznanym terytorium, nieważną, nieliczącą się postacią. Oczywiście, że nie przejęła się nim i Alison! Nigdy nie myślała o nim w ten sposób. Był tylko chłopakiem, którego przypadkiem poznała, nikim więcej.

Poczucia poniżenia było okropne, dlatego postanowił je zlekceważyć.

- Co teraz zrobimy? - spytał głucho. - Nie możemy pojechać do Silk House, ale nie możemy tam nie pojechać. Inaczej zdradzimy, że wiemy, co tam zaszło. Na miłość boską, mam tam spędzić co najmniej tydzień. Co będzie, jeśli zadzwonią rodzice? Albo w telewizji wspomną o morderstwie? Boże!

Nagle uświadomił sobie, w jakie bagno wdepnęli. Ukrył twarz w dłoniach i zawstydzony tym nieco teatralnym gestem wyjrzał nadąsany przez okno.

- Przypuszczam, że moglibyśmy tam pojechać i powiedzieć, że nikogo nie zastaliśmy. To z pewnością odpowiadałoby prawdzie.

Nie zabrzmiało to rewelacyjnie, ale nic lepszego nie potrafił wymyślić.

- Chyba że ktoś wezwał już policję - rzekła Helen. - A to bardzo prawdopodobne. Nie, nie możemy ryzykować odwiedzin w Silk House.

- Moglibyśmy po prostu wrócić.

- I co powiedzieć? - spytała gwałtownie. - Że zmieniliśmy zdanie? Tak bez powodu? Sami byśmy się zdradzili.

- Chyba masz rację.

- Musimy pojechać gdzie indziej.

Jej twarz przybrała zamyślony wyraz, jakby spoglądała w głąb siebie.

- Ale czy to nie to samo? - wtrącił Jake. - Nadal potrzebne nam wyjaśnienie, czemu zmieniliśmy plany i nikogo nie uprzedziliśmy.

- Daj spokój Jake, jesteśmy nastolatkami. Możemy oświadczyć, że poddaliśmy się pokusie i wyjechaliśmy razem. Uwierzą w to. Tego właśnie ludzie oczekują po nastolatkach. Możesz dodać, że to ja cię namówiłam. W to też uwierzą - dodała z lekkim uśmiechem.

Jake wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Tym razem dostrzegł ironię zawartą w tej propozycji. Kilka minut temu, nim jeszcze sobie uświadomił, kim jest dla niej naprawdę, zabrzmiało to jak spełnienie najskrytszych marzeń. Teraz wydało się jedynie bolesnym żartem. Mieli udawać dokładnie to, co było w rzeczywistości absolutnie niemożliwe, jak przed chwilą jasno mu dała do zrozumienia.



- Dokąd zatem pojedziemy? - spytał przygnębiony.

- Najpierw do Londynu, do mieszkania ojca. Musimy gdzieś przenocować. Potem do Paryża.

- Do Paryża?

- Tato wybierał się tam na aukcję. Pojedziemy pociągiem Eurostar z dworca Waterloo. Zamieszkamy u mojej kuzynki Agnes.

Jake spuścił wzrok, z niedowierzaniem kręcąc głową. Co robiłeś w czasie ferii? Nic takiego, uciekłem z dziewczyną - spędziliśmy noc w Londynie, a potem pojechaliśmy do Paryża. Paryż wiosną, no wiecie, najbardziej romantyczne miasto na ziemi. W sam raz dla nastolatków. Ale naprawdę nic się nie stało, tylko udawaliśmy.

Wyprostował się i rozżalony wyjrzał przez okno. Czy z kogokolwiek jeszcze tak okrutnie zakpił los?

Reszta podróży upłynęła mu w ponurym milczeniu. Helen spała. Jake żałował, że on też nie potrafi zasnąć, na chwilę uwolnić się od ogarniającego go poczucia beznadziei. Co właściwie tu robi? Nie miał ochoty rzucać się z Helen w kolejną zwariowaną podróż. Owszem, chciała odnaleźć ojca, ale co jego to obchodzi? Przecież nic ich nie łączy.

Dopiero gdy dotarli do Londynu, nieco poprawił mu się humor. Ruchliwe miasto, zapadający wieczór, światła i neony, szum samochodów, krzątanie na chodnikach dodały mu otuchy. Sam pobyt w stolicy już był przygodą, nieważne, co jeszcze się stanie (albo nie stanie, dodał w duchu). A potem przed stacją metra Camden Town zdarzyło się coś, co znów postawiło wszystko na głowie. Helen nagle się zatrzymała.

- Nie mogę tego zrobić - oznajmiła.

Patrzyła przed siebie, zupełnie jakby ponownie widziała przed oczami scenę z przeszłości. Jake ze zdumieniem odkrył, że Helen drży. Objął ją ramieniem.

- Już dobrze, wszystko w porządku.

Poczuł, jak się odpręży, tuli do niego.

- Cieszę się, że tu jesteś - szepnęła.

Zachowanie takie było do tego stopnia niepodobne do śmiałej i pewnej siebie Helen, którą znał dotąd, że poważnie się zaniepokoił. Lecz jakaś część jego uznała to za dobry znak.

- Spokojnie, nie denerwuj się, wszystko będzie dobrze.

Uścisnął ją i poprowadził w stronę mieszkania. Chciał powiedzieć coś jeszcze - pamiętasz, kiedy byliśmy tu ostatnim razem, wszystko wyglądało całkiem obiecująco. Potem jednak sobie przypomniał, jak przyjechali taksówką, pełni zapału i nadziei. Ścigali się po schodach, bo oboje konali z głodu. Drzwi mieszkania jej ojca stały otworem, a on poczuł

lodowaty dreszcz, przecucie, że stało się coś złego... Nie, może lepiej o tym nie wspominać.

Stali na dole przy drzwiach. Ręka Helen trzęsa się tak bardzo, że Jake sam musiał przekręcić gałkę.

- Już dobrze - mruknął. - Wszystko w porządku.

- To takie głupie. - Helen spróbowała się uśmiechnąć. - Jestem przerażona.

- Zaraz mnie wystraszysz. Sądziłem, że ty nigdy nie wpadasz w panikę. Kto będzie mnie bronił?

Na te słowa zaśmiała się w końcu. Świetnie, pomyślał Jake, wszystko idzie dobrze. Weszli po schodach. Przed drzwiami mieszkania ojca Helen zerknęła nerwowo na wizjer, szukając w torbie klucza. W środku było ciemno.

- Po prostu zawsze uważałam to miejsce za bezpieczną przystań, kryjówkę, w której mogłam się schronić. Chyba nigdy już tak na to nie spojrzę.

Przekręciła klucz w zamku, ale nie otworzyła drzwi.

- Chcesz żebym, wszedł pierwszy?

Z wdzięcznością skinęła głową. Jake pchnął drzwi, czuł się jak bohater. Wyciągnął rękę do Helen.

- Chodź, w porządku, nikogo nie ma.

Przekroczyła próg, zamknęła drzwi i stanęła obok niego w ciemności. Ich twarze niemal się stykały. Jake uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Czuł, jak serce trzepocze mu w piersi. I wtedy ktoś zapalił światło.

## Rozdział 13

### Zoë

Jake i Helen stali jak sparaliżowani z otwartymi ustami, obejmując się kurczowo. Z drugiej strony przedpokoju chłodnym wzrokiem przyglądała im się wysoka, elegancka kobieta o ciemnorudych włosach.

- Ty musisz być Helen - rzekła. - A twój przyjaciel to...?

Głos miała miły, dość niski, bez szczególnego akcentu.

- Kim pani jest? - spytała ostro Helen, gwałtownie odzyskując swą *sang froid*. - I co pani robi w mieszkaniu mojego ojca?

- Mogłabym ci zadać to samo pytanie. Czy twój ojciec wie, że masz zwyczaj przyprawiać tu chłopców podczas jego nieobecności?

Jake wzdrygnął się ze zdumienia. Po raz pierwszy, odkąd znał Helen, wydawała się zmieszana.

- Ale kim pani jest? - powtórzyła. - Mój ojciec nigdy o pani nie wspominał.

- Nie widzę powodów, dla których miałby to robić - odparła kobieta. - To znaczy wspominać o mnie tobie - dodała, podkreślając ostatnie słowo.

- Zapewne jest pani kochanką mojego ojca - powiedziała wyniośle Helen.

Kobieta jedynie uśmiechnęła się i spojrzała na Jake'a.

- Wciąż nie znam twojego imienia - rzekła, jakby jego poznanie było najważniejszą rzeczą na całym świecie.

- Jake.

- Ja nazywam się Zoë. - Helen skrzywiła się z niesmakiem. - Teraz, gdy załatwiliśmy już formalności, może wejdziecie.

To rzekłszy, odwróciła się i skierowała z powrotem do salonu. Nie mieli wyjścia, musieli udać się za nią. Jake zerknął na Helen. Marszcząc brwi, pomaszzerowała naprzód. Wyglądała jak nadąsana uczennica. Kobieta stała przy kominku, rozluźniona, z kieliszkiem wina w dłoni. Miała na sobie prostą, świetnie skrojoną czarną sukienkę, znakomicie podkreślającą figurę.

- Może kieliszek frascati? - Słodko uśmiechnęła się do Helen. - Jest bardzo lekkie.

Nie? Może soku?

Helen posłała jej gniewne spojrzenie. Jake pokręcił głową. Miał wrażenie, że stoi między dwiema chmurami gradowymi, które zaraz zderzą się z hukiem.

- Przykro mi, zapewne jestem staroświecka, ale naprawdę nie mogę się zgodzić na to, abyście nocowali w tym samym pokoju. To byłoby nieodpowiedzialne.

Jake'a zafascynowała oglądana właśnie próba sił. Nigdy wcześniej nie widział, by ktoś tak sprawnie wymanewrował Helen. Wyraźnie wypróbowywała w myślach możliwe odpowiedzi i żadna z nich jej nie zadowalała. Wyglądała, jakby coś utkwilo jej w gardle.

- Nie zamierzasz chyba zostać tu dzisiaj? - rzekła w końcu słabo.

- Teraz chyba muszę. - Zoë uśmiechnęła się do niej.

Jake wzruszył ramionami. To dopiero ironiczna sytuacja, pomyślał. Oto ktoś chce nam przeszkodzić w czymś, czego w ogóle nie planowaliśmy. Zerknął na Helen, odwracając dłonie w bezradnym geście, i uniósł brwi. Co mamy robić? Odpowiedziała spojrzeniem, które mogłoby przepalić metal, a następnie wykorzystwała kobiece prawo do udania się do łazienki po przegranej kłótni. Jake usiadł na sofie, nagle poczuł się bardzo młody.

- Dziewczęta w tym wieku bywają takie uparte - zauważyła Zoë.

- Chyba tak.

- Ale ty, Jake, wyglądasz mi na kogoś bardziej rozważnego. Mam rację?

- No cóż, ja... nie lubię wplątywać się bez namysłu w różne sprawy, jeśli to miałaś na myśli.

- Właśnie to. Jesteś roztropny.

- Naprawdę? - Jake westchnął ze zdumieniem, po czym dodał: - No, chyba tak.

- To oczywiście naturalne, że Helen zwróciła się przeciw mnie.

Posłała mu znaczące spojrzenie. Jake jako człowiek roztropny...

- A tak, chodzi ci o jego ojca.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Jesteś też domyślny. Lubię to u mężczyzn.

Pochlebstwo to zostało wypowiedziane idealnym, lekko żartobliwym tonem, który sugerował, że żartuje, ale nie do końca.

- Zastanawiam się, Jake, czy zechciałbyś zostać moim przyjacielem.

Zawiesiła głos i pociągnęła łyk wina, patrząc na niego sponad kieliszka. Owa osobliwa, dość w sumie przedszkolna prośba zawisała w powietrzu.

- Takim jak przyjaciel w sądzie przemawiający w czyimś imieniu, coś w rodzaju adwokata.

- Adwokata? - powtórzył Jake, nie do końca rozumiejąc.

- Tak, obawiam się, że w tej chwili Helen obsadziła mnie już w roli złej macochy.

W istocie Helen w tej chwili myślała coś takiego. Przyglądała się szklanej półeczce w łazience, na której beczelna Zoë rozstawiła swoje kosmetyki. Do diabła, można by sądzić, że tu mieszka, pomyślała Helen i nagle uświadomiła sobie, iż może tak jest w istocie. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy zastanawiać się nad tym aspektem życia ojca, a on sam o niczym nie wspominał. Dziwne, jak często wydaje nam się, że poznaliśmy kogoś bardzo dobrze, po czym stopniowo odkrywamy, że wiemy coraz mniej i mniej. Pierwsza fala gniewu minęła. Helen przejrzała się w lustrze, jak zawsze beznamiętnie. Kim jest osoba, na którą patrzeć? Niemal bez zastanowienia sięgnęła po flakonik perfum - Shalimar firmy Guerlain, zauważyła kątem oka - i wyjęła korek.

Dziwne było dostrzec odbijający się na twarzy w lustrze wstrząs i pomyśleć: to przecież ja. Niemal oczekiwała, że za plecami pojawi się ktoś i zakryje jej usta długimi, chłodnymi palcami, naciskając z boku kark...

Nie było wątpliwości. Ten sam zapach poczuła w Silk House tuż przedtem, nim straciła przytomność.

Tymczasem w salonie Jake coraz swobodniej rozmawiał z Zoë. Umiała do niego przemówić, zupełnie jakby znała go od wieków. A potem zjawiała się Helen i temperatura natychmiast opadła o jakieś dwadzieścia stopni.

- Chodźmy coś zjeść - rzuciła z napięciem. - Zostaw torbę. Po powrocie będziemy się klócić, kto nocuje na kanapie.

Jake podniósł się ze znużeniem. Zdecydowanie wolałby zostać i zjeść z Zoë, lecz jedno spojrzenie na twarz Helen uświadomiło mu, że to kiepski pomysł. Skrzywił się przepraszająco, jakby chciał powiedzieć: Co mam zrobić? Zoë z rozbawieniem uniosła brwi.

- Nie musisz na nas czekać - dodała Helen. - Mam własny klucz. - Tamta uśmiechnęła się, a Helen trzasnęła drzwiami. Już na korytarzu Jake odkrył ze zdumieniem, że miała na ramieniu torbę. Uniosła palec do ust, powstrzymując go w pół słowa.

- Chodź - rzuciła, ciągnąc go za rękę.

Na zewnątrz, na chodniku, nieco rozbawiony Jake dał się pociągnąć obok tureckiej restauracji - dobiegające z niej zapachy sprawiły, że do ust napłynęła mu ślinka. Helen parla dalej. Zatrzymała się przy jezdni i machnęła ręką, zatrzymując przejeżdżającą czarną taksówkę.

- Dokąd jedziemy?

- Na dworzec Waterloo. No dalej, wsiadaj.

- Waterloo? Nie możemy zjeść gdzieś bliżej?
- Musimy złapać pociąg, wariacie. Uciekamy stąd.
- Po co ten pośpiech?

Opowiedziała o perfumach. Sceptycznie przyjął tę historię, mówiąc, że w Londynie zapewne można znaleźć więcej niż jedną kobietą używającą Guerlaina, i pospiesznie uzupełnił, dodając, że jego matka chyba też kupuje te perfumy.

- Jaki pociąg mamy złapać? - zainteresował się po kilku minutach lodowatego milczenia.

- Eurostar, do Paryża.
- Co takiego? A co z moją torbą?
- Wojna wymaga ofiar. Musieliśmy ją zostawić, żeby myślała, że wrócimy.
- Zauważyłem, że swoją zabrałaś.
- Ale w mojej są ważne rzeczy.

Rzecz jasna w odróżnieniu od mojej, pomyślał Jake.

- Na przykład? Czysta bielizna?
- Jeśli musisz wiedzieć, na przykład twój paszport.
- Mój paszport?

- Podwędziłam go z twojego pokoju - oznajmiła chłodno, rozkoszując się jego zdumieniem. - Nie wiedziałeś przecież, że jedziemy do Paryża, prawda?

- Naprawdę jesteś niesamowita, wiesz?

Reszta jazdy upłynęła im w nieprzyjemnej ciszy.

## Rozdział 14

### Paryż

Dopiero pod kasztanami Paryża w kafejce na bulwarze Saint-Michel zawarli niechętny rozejm. Gdy późnym wieczorem poprzedniego dnia zjawili się na progu domu kuzynki Helen, Agnes, zostali przyjęci z wyraźnym brakiem entuzjazmu. Helen musiała naprawdę się wysilić, by przedstawić wiarygodny powód, dla którego przyjechali. Wykorzystała w tym celu reputację nieodpowiedzialnego zapaleńca, jaką cieszył się jej ojciec. Mieli się z nim spotkać, ale pomylił coś z rozkładem pociągów i mają nadzieję, że znajdą go jutro w domu aukcyjnym. Czy mogą zatem zanocować?

Teraz, po porannych zakupach - Jake na koszt Helen musiał odzyskać swą garderobę - siedzieli w ciepłym słońcu, nerwowo sącząc kawę.

- No dobra - rzucił Jake. - A jeśli nie znajdziemy go w domu aukcyjnym?

Helen się skrzywiła, przez sekundę miała irracjonalną ochotę uderzyć Jake'a. Ale przecież zadał bardzo uzasadnione pytanie, tyle że akurat to, o którym wołała nie myśleć, Ojciec musiał być w jednym z domów aukcyjnych. Bo jeśli nie, to gdzie go znajdą? Oczywiście odpowiedź brzmiała: nie wiadomo. Lecz Helen od chwili, gdy ujrzała owego upiornego człowieczka, przycupniętego w drapieźnej pozie na schodach przed mieszkaniem, walczyła z obawą, że nigdy już nie zobaczy ojca.

- Co się stało? - spytał w końcu Jake zdumiony brakiem odpowiedzi.

Helen zawahała się i powstrzymała cisnące się na usta słowa.

- Hmm, nic - rzekła.

- Świetnie - odparł chłopak. - Nie mów mi.

Rozejrzał się rozdrażniony. Wokół nich Miasto Świateł kipiało życiem. Chór klaksonów poganiał niewielką furgonetkę, która dostarczała warzywa do sklepiku. Pełni zapału studenci spieszyli na zajęcia. Mniej pełni zapału spacerowali po bulwarze. Starsi panowie obdarzali promiennymi uśmiechami młode matki i ledwie chodzące dzieci, rozkoszując się wiosennym słońcem. Przy pozostałych stolikach siedziały pary takie jak oni. Lecz w odróżnieniu od nich najwyraźniej świetnie się bawiły i radowały własnym towarzystwem.

- No dobra - rzucił. - Jak daleko stąd do pierwszego domu aukcyjnego?

- Jeśli nie chcesz, nie musisz ze mną iść.

- Powiedziałem, że pójdę, więc to zrobię - odparował Jake.

Nagle uświadomił sobie, że nie ma wcale ochoty iść, ale nie chce też, by Helen się go pozbywała. Skoro nie chciała, by jej towarzyszył, nie trzeba było zawracać mu głowy. Pomaszerował za nią, zjeżony i wściekły.

Pierwszy adres, nieopodal muzeum Orsay, okazał się niewypałem. Nowoczesne, sterylne wnętrza, miękkie światło halogenów i akwaria, ludzie w kosztownych strojach dyskutujący szeptem na temat okazów, z których żaden nie wydawał się starszy niż dwa, trzy lata. Jake poczuł się zakłopotany, gdy Helen głośno oznajmiła, że to wszystko śmiecie. Bezpieczna sztuka dla bogatych snobów, nie w stylu jej ojca. Miał wrażenie, że zrobiła to specjalnie, by go wkurzyć. W istocie usilnie pragnęła zapomnieć o tym, że mają tylko jedną szansę na odszukanie jej ojca, nim ślad ostygnie: Mamoulian Freres, Arrondissement 9.

\*

Dom aukcyjny Mamoulian Freres zdecydowanie bardziej pasował do ojca Helen: cudownie przesadny przepych barokowego wnętrza, złożone gipsowe girlandy i równie barokowa klientela z czterech stron świata. Część wyglądała jak przybysze z marokańskich suków bądź pradawnych targowisk na Jedwabnym Szlaku czy w Samarkandzie. Oto typowy rosyjski emigrant w kołnierzu z karakułów, złotych pince-nez, z bródką. Tu upierścienieni Arabowie w tradycyjnych szatach, rozmawiający cicho między sobą. Tam para bliźniaczek w krótkich jedwabnych sukienkach - jedna w zielonej, druga w niebieskiej - wyglądające jak przybysze z lat dwudziestych ze swymi długimi cygarniczkami, apaszkami na głowach i sznurami pereł.

Gerald De Havilland stał pośrodku tego wszystkiego, chłonąc tutejszą atmosferę. Uwielbiał aukcje, zwłaszcza tego typu. Aukcje, na których szansa zdobycia tanio czegoś dziwnego, co okaże się bardzo wartościowe, była mniej więcej równa możliwości zakupu czegoś całkowicie bezsensownego. Wokół siebie widział najważniejsze eksponaty wystawione w szklanych gablotach na ozdobnych stojakach. Dla bezpieczeństwa mniejsze obiekty często zastępowano duplikatami. Sprawił to śmiały napad w latach dziewięćdziesiątych, gdy złodzieje wrzucili do środka granaty dymne i zdołali uciec z przenośnymi skarbami wartymi parę milionów. Dotyczyło to też przedmiotu, który interesował go najbardziej - kryształ wystawiony jako Kamień Smutku był szklaną kopią. Oryginał spoczywał w sejfie domu aukcyjnego.

Aukcja trwała już około czterdziestu minut i De Havilland rozważnie nabył parę



drobiazgów. Przyznawał, że częściowo uczynił to, bo uwielbiał napięcie towarzyszące licytacom. Głównie jednak chodziło mu o zamaskowanie prawdziwych zamiarów. Chciał sprawiać wrażenie bogatego kupca-dyletanta, który spędza na licytacji popołudnie, bo nie ma nic lepszego do roboty, i nie zamierza o nic walczyć. Zastanawiał się, ilu innych uczestników stosuje podobny fortel. Przypuszczał, że co najmniej połowa. Ale co najmniej jeden nie udawał. Wysoki mężczyzna w lnianym garniturze i jaskrawobłękitnej kamizelce nie odrywał niemal wzroku od Kamienia, który zdawał się przyciągać go z nieodpartą siłą. Raz znalazłszy się na orbicie wokół gabloty, nie potrafił z niej zejść. Od czasu do czasu postępował kilka kroków w bok, potem jednak zatrzymywał się gwałtownie na końcu niewidzialnej smyczy i spoglądał przez ramię i unosił do ust zwinięty w tubę katalog, próbując dostrzec, kto może z nim konkurować.

De Havilland dostrzegł co najmniej jeszcze jedną osobę - wysoką kobietę w czerni. Rozłożysty biały kapelusz skrywał jej twarz w cieniu. Zdawała się z cichym rozbawieniem obserwować mężczyznę w kamizelce. Stała w podobnej jak De Havilland odległości od gabloty, tyle że po drugiej stronie. Do tej pory nie uczestniczyła jeszcze w żadnej licytacji. De Havilland pochwycił jej spojrzenie i przyjaźnie się uśmiechnął.

Na znak prowadzącego asystent - odziany we wspaniałą czerwono-złotą osiemnastowieczną liberię, łącznie z białymi jedwabnymi pończochami, rękawiczkami i upudrowaną peruką - ruszył w stronę gabloty z kopią Kamienia, wskazując, że zbliża się chwila aukcji. De Havilland, z pozoru spokojny i zblazowany, poczuł, jak ścisną mu się gardło. Zacisnął palce na numerku.

Licytacja toczyła się leniwie. Od czasu do czasu ktoś w dumie zdradzał cień zainteresowania. Nikt jednak nie okazywał entuzjazmu. Ku zaskoczeniu De Havillanda mężczyzna w kamizelce nawet nie próbował wziąć w niej udziału. To go zdziwiło. W końcu domyślił się, że być może tamten ma nadzieję dokonać transakcji po aukcji. Przy niewielkim zainteresowaniu i sprzedaży za niską cenę mógłby później złożyć wyższą ofertę nabywcy. Często była to bezpieczniejsza metoda zdobycia przedmiotu, którego naprawdę się pragnęło, niż otwarte licytowanie, ono bowiem zwykle podnosiło także cenę. Sam De Havilland także się nad tym zastanawiał. Teraz jednak uznał, że lepiej od razu załatwić sprawę. Jeśli gość w garniturze chciał kupować, to od niego.

Licytator wykazywał wyraźne oznaki zniecierpliwienia powolnością aukcji. Starał się podkreślać zalety przedmiotu, wspominał o jego niezwyklej historii i tajemniczym pochodzeniu - eksperci nie potrafili nawet określić, co to za materiał, lecz potwierdzili, że twardością przewyższa diament. De Havilland uśmiechnął się, czując, że źle ocenił zebranych.

Stało się właśnie to, czego pragnął: uznali Kamień za zwykłą ciekawostkę, zbyt dużą i ciężką, by zrobić z niej ozdobę, i nienadającą się do pocięcia na mniejsze kamienie. Odczekawszy chwilę, włączył się do licytacji, leniwie machając numerkiem, jakby brakło mu energii do podniesienia lekkiej łopatki. Zapadła cisza, De Havilland starał się wyglądać na kompletnie niezainteresowanego wynikiem aukcji. Odwrócił się i zagadnął sąsiada, mówiąc, że dzisiejsza impreza jest wyjątkowo nudna.

Nikt go nie przelicytował.

Prowadzący przebiegł wzrokiem po sali, skonstatował w duchu, że próbuje poganiać martwego konia i opuścił młotek.

Po raz pierwszy...

De Havilland ziewnął demonstracyjnie i rozejrzał się z miną świadcząca o rozczarowaniu brakiem konkurencji.

Po raz drugi...

Obserwował mężczyznę w kamizelce, który manewrował tak, żeby znaleźć się jak najbliżej. Nie widział kobiety w białym kapeluszu. Nie, stała tam, patrząc nań z tym samym rozbawieniem. Ona też nie wzięła udziału. Czyżby chciała rozegrać to podobnie jak gość od kamizelki i załatwić sprawę w cztery oczy?

Po raz trzeci. Sprzedane!

Młotek opadł z trzaskiem. De Havilland ściągnął usta i wywrócił oczami jak ktoś, kto zrobił innym dowcip i odkrył, że potraktowali go serio. Mężczyzna w kamizelce zmierzał w jego stronę.

\*

Jake i Helen zjawili się na galerii tuż przed końcem licytacji. Helen wychyliła się mocno i przebiegała wzrokiem tłum. Jake także szukał, tyle że z większym opanowaniem.

- O, jest - rzuciła Helen i uniosła do ust dłoń w geście udanego zdumienia. - O nie!

- Co się stało? - spytał Jake, wciąż próbując dostrzec jej ojca.

- Ten mężczyzna obok niego, w jasnym garniturze, to mój zalotnik-dżentelmen!

- Super - mruknął Jake przez zaciśnięte zęby.

Czy musi tak bardzo się tym ekscytować, pomyślał z goryczą, nie zdając sobie sprawy z tego, że Helen cieszy się jedynie z widoku ojca. Spojrzał posępnie w dół i w końcu zdołał odszukać Geralda De Havillanda, który rozmawiał właśnie z wysokim mężczyzną zwróconym do nich plecami.

- Zejdź tam - rzekł Jake. - Ja zaczekam tutaj.

Helen spojrzała na niego dziwnie. Uśmiechała się promiennie.

- Nie chcesz go zgubić w tłumie - dodał Jake. - Jeśli odejdzie, poprowadzę cię z góry.

- Jasne. - Helen zbiegła po schodach.

Gdy znalazła się na dole, tłum zdążył się już przerzedzić. Natychmiast dostrzegła ojca. Odwróciła się do galerii, uniosła kciuki i pospieszyła w stronę dwóch mężczyzn.

- Helen!

- Cześć, tato.

Odwróciła się do mężczyzny w lnianym garniturze.

- Witam, panie Raeburn. Przyszedł pan poprosić ojca o moją rękę?

- To pani ojciec? - Raeburn spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Oczywiście. - Helen podała mu dłoń do ucałowania.

Raeburn albo wczuł się w rolę, albo też chciał zamaskować niewątpliwe zdumienie, bo pochylił się nisko, muskając wargami jej palce.

- Wy się znacie? - spytał zaskoczony ojciec.

- Poznaliśmy się - wyjaśniła Helen.

- Ale co ty tu w ogóle robisz, do licha?

- Przyjechałam z Jakiem.

Spojrzała na balkon, aby wezwać go do siebie, ale Jake zniknął.

## Rozdział 15

### Historia kryształu

Jake pozostał na galerii tylko do chwili, gdy Helen odezwała się do mężczyzny w lnianym garniturze, którego twarzy nadal nie dostrzegał. Na ten widok odwrócił się z niesmakiem i wściekły pomaszzerował po schodach, jakaś część jego podpowiadała, że wykorzystuje to, co ujrzał, by dać upust swojej złości. Mimo wszystko czuł się z tym zupełnie dobrze, a całkowita anonimowość rywala dodatkowo podsycala niechęć. Nie pozwolił sobie manipulować. Nie da się zaciągnąć aż tutaj, by w jednej chwili Helen porzuciła go dla bezimiennego nieznajomego. Wróci prosto do mieszkania jej kuzynki, zabierze paszport i ruszy do domu...

Gdy jednak znalazł się w foyer, uświadomił sobie, że ktoś idzie tuż obok niego. Odwróciwszy się, ujrzał wysoką kobietę w eleganckim czarnym stroju i wielkim białym kapeluszu, przekrzywionym tak, że nie dostrzegał jej twarzy. Nagle kobieta odwróciła się ku niemu.

- Witaj, Jake. Idziesz w moją stronę?

To była Zoë.

\*

Helen i jej ojciec siedzieli w kafejce obok domu aukcyjnego. Po drugiej stronie stołu zajęli miejsce Macintosh Raeburn, wyraźnie podniecony, ale też zdecydowanie zaskoczony.

- A zatem, panie De Havilland, zgadnie pan, po co tu jestem?

- Interesuje pana Kamień Smutku?

- Interesuje? - powtórzył Raeburn. Jego twarz miała dziwny wyraz: częściowo pogardliwy, częściowo bolesny. - Tak, chyba można tak to nazwać. Choć lepsze byłoby słowo „fascynuje”. Niektórzy (choćby moja była żona) mogliby nawet powiedzieć: nieodparcie przyciąga. O tak, niemal przez całe życie interesuję się pańskim Kamieniem Smutku, choć sam nazywam go inaczej.

- Czyżby? - De Havilland uniósł pytająco brwi.

- Wie pan cokolwiek o jego historii? - spytał ostro Raeburn.

- Odrobinę - odparł spokojnie De Havilland. - Zamierzałem ją zbadać.

- Może zaoszczędzić panu kłopotu? - przerwał mu Raeburn.

- Sam nie wiem, czybym chciał. - De Havilland uśmiechnął się błogo. - Według mnie połowa zabawy z takimi ciekawostkami polega na odkrywaniu, skąd się wzięły.

Helen spojrzała na Raeburna i uznała, że stanowi on idealny przykład kogoś szarpanego sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony odczuwał wyraźnie potężne emocje, namiętność, którą z trudem opanował. Z drugiej - myślał o czymś zupełnie innym, o czymś, czego nie potrafił zrozumieć, ale co musiało koncentrować się wokół jego osoby, sądząc po sposobie, w jaki zerkał na ojca Helen i szybko odwracał wzrok.

- W końcu jednak pańskie badania i tak doprowadzą pana do mnie. Nie ma nikogo innego, kto mógłby o nim opowiedzieć.

W jego głosie zabrzmiała osobliwa nuta, połączenie gniewu i błagania. De Havilland zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

- No dobrze. Nigdzie mi się nie spieszy.

Teraz, gdy Raeburn zapewnił już sobie ich uwagę, sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Kilka razy mówił coś i urywał, z irytacją kręcąc głową. Wreszcie ojciec Helen postanowił łagodnie interweniować.

- Czemu nie posłucha pan rady Czerwonego Króla, panie Raeburn? Proszę zacząć od początku i kontynuować do samego końca.

- Eee. co takiego? Cóż, to całkiem niezły pomysł. Ale jedna scena cały czas mi się narzuca, więc lepiej załatwię ją od razu. choć pochodzi ze środka historii. Proszę, byście zapamiętali ją, gdy będę wszystko opowiadał.

Helen uśmiechnęła się do ojca. Raeburn pochylił się naprzód z łokciami na stole, wyciągając ręce w ich stronę w błagalnym geście. Jego oczy lśniły z podniecenia.

- Jesteście na dworze księcia Mediolanu na początku szesnastego wieku. Dwór przywdział żałobę; minął niecały tydzień od dnia, gdy młoda szlachcianka - może siostrzenica księcia, czy nawet jego córka - spoczęła w podziemnej krypcie po śmierci w tajemniczych okolicznościach. Krążą mroczne pogłoski, powiada się, że sam książę kazał ją zabić po tym, jak poniosła klęskę w zleconej jej misji. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, książę jest w ponurym nastroju. Odprawia zatem niemal wszystkich dworzan i rozmawia o sprawach państwowych ze swym kuzynem kardynałem, arcybiskupem Mediolanu.

Nagle na korytarzu wybucha zamieszanie - nie w tym wiodącym do prywatnych komnat, lecz po drugiej stronie, w drodze do krypty. Na oczach kilku przerażonych osób do komnaty wdziera się groteskowa postać - jeden ze świadków opisał, iż „szła niczym marionetka, wykonując szarpane ruchy, wymachując rękami i nogami”. Inny zauważył, że

„zdawała się opleciona migoczącymi sznurami zielonego światła”. Wszyscy zaświadczyli, że był to trup dziewczyny, którą niedawno pochowali, ożywiony nieczystą magią. Dziewczyna bowiem bez wątpienia nie żyła, świadczył o tym wyraźnie stan ciała. Był środek lata i panowały okropne upały.

Helen poczuła, że ściska jej się gardło.

- Co się stało? - spytała.

- Trup próbował zaatakować księcia. Miał w dłoni nóż, lecz wysiłek okazał się zbyt wielki dla rozkładających się zwłok, które stanęły w płomieniach.

- Ble - rzuciła Helen, a jej ojciec skrzywił się sceptycznie.

- Wszystko to opisano dokładnie w dokumentach przechowywanych w Bibliotece Watykańskiej - oznajmił szybko Raeburn. - Choć, by je przeczytać, wymagane jest specjalne zezwolenie. Na szczęście znam paru kardynałów. Jak już mówiłem, dzieje się to w środku naszej historii. Wrócimy do tego.

- Nie mogę się doczekać. - Helen wykrzywiła się w komicznym grymasie.

Raeburn wyprostował się na krześle, spojrzał na nich szybko, sprawdzając, czy słuchają uważnie, i podjął przerwana opowieść.

- Co do początku historii, trzeba cofnąć się daleko w przeszłość, jakieś dwadzieścia siedem stuleci, a nawet wówczas nie był to prawdziwy początek, bo znaleźli go, gdy przybyli na miejsce - Bizys z Megary i towarzysząca mu grupa żądnych przygód kupców, żeglująca na północ w stronę Morza Czarnego, by założyć kolonię zgodnie z radą wyroczni delfickiej. „W krainie naprzeciw ziemi ślepców”, rzekła wyrocznia i gdy Bizys ujrzał wspaniałą naturalny port, który mieszkający po drugiej stronie Chalcedończycy jakimś cudem przeoczyli, uznał, że znalazł właściwe miejsce.

Zeszli zatem na ląd na półwyspie i odnaleźli tam niezwykle formację skalną, samotny kamień sterczący ku niebu. W trakcie uroczystości - założenie miasta wymagało odprawienia rozmaitych religijnych rytuałów, złożenia ofiar bogom, libacji wylanych na ziemię i tak dalej - w kamień ów trafił piorun padający z czystego, bezchmurnego nieba; tak przynajmniej głosi legenda. Gdy otrząsnęli się z oszołomienia, ujrzeli, iż kamień zniknął, odsłaniając coś, co musiało kryć się wewnątrz - posąg na kolumnie.

- Posąg? - wtrąciła Helen.

- Nazwali go Bazyliuszkiem z Brązu, choć z całą pewnością nie zrobiono go z brązu, bo metal ów nie śniedział. Zapewne nie przedstawiał też bazyliuszka, nazywamy tak bowiem węża w koronie. Ta istota natomiast wedle wszystkich relacji miała ogon węża, „nagie lotki” - co przypuszczalnie oznaczało pozbawione piór skrzydła jak u nietoperza - i ptasią głowę z

orlim dziobem, a na niej koronę. Z tyłu posągu sterczała dźwignia. Gdy ją odciągnięto, otworzyła się klapka, ukazując serce bazyliuszka.

- Jego serce? - spytała Helen.

- Opowiem o nim za moment. Gdy dźwignię pchnięto naprzód, z dzioba bazyliuszka wystrzelił promień światła, ukazując cuda.

Raeburn dramatycznie zawiesił głos, wodząc wzrokiem po ich twarzach.

- Ukazując cuda? - powtórzyła powoli Helen.

- Albo wspaniałości. Greckie słowo oznacza to i to: *thaumatophane*.

- Jakie cuda?

- Najwyraźniej wymykały się wszelkim opisom. Jak można sobie wyobrazić, przybysze uznali, że to coś niezwykłego i magicznego: ukazało się przecież ich oczom w chwili założenia miasta. Wzniesli zatem wokół specjalną świątynię i ustanowili kult religijny. Miasto, które założyli, to Bizancjum, później zwane Konstantynopolem, a obecnie Stambułem.

- Jego serce - przypomniała Helen. - Zapomniał pan o nim opowiedzieć.

Raeburn posłał im przeciągłe spojrzenie, wyraźnie ważąc słowa.

- W jego sercu spoczywał lśniący kryształ.

Ojciec Helen zacisnął usta i przekrzywił głowę.

- I sądzi pan, że ów kryształ to ten kryształ?

- Ja to wiem!

- Skąd ta pewność? - spytał De Havilland, patrząc na niego z powątpiewaniem. - Proszę nie mówić. Bo tak musi być?

Raeburn zarumienił się, jakby tamten z ust wyjął mu te słowa. Przez chwilę mamrotał coś niezrozumiałe.

- Nie do końca wiadomo, czemu przestano używać *thaumatophanu*. Tak się jednak stało. Niektórzy twierdzą, że się zepsuł. Inni szeptali o mroczniejszych, bardziej złożonych powodach, sugerując, że działanie maszyny - to, co pokazywała czy ujawniała - w jakiś sposób zależało od woli i charakteru operatora. Jeśli zatem człek ów był nieprawy, takie też stawały się wizje. Istnieje także wzmianka o „ludziach, którym nie wystarczyły już wizje i którzy zaczęli brać w nich udział”. Nie wiadomo, co to znaczy, lecz wkrótce kult albo zniszczono, albo też, co bardziej prawdopodobne, ograniczono do elitarnej, zamkniętej grupy, tak zwanych Strażników Kryształu. Świadczy to wyraźnie, że w owych czasach kryształ przechowywano już osobno.

W pewnym momencie - znów nie do końca wiadomo czemu - rozmontowano i

usunięto wewnętrzny mechanizm. Bazyliszek z Brązu pozostał jedynie skorupą. Przypuszczam, że ikonoklaści zniszczyli go ostatecznie w ósmym stuleciu. Lecz kryształ przetrwał. W trzynastym wieku wiedział o nim Michał Szkot i aktywnie poszukiwał go w chwili swej śmierci...

- Michał Szkot? - zainteresowała się Helen. - Ten z *Piekle* Dantego?

- Całkiem możliwe. Był słynnym średniowiecznym magiem. Pochodził ze Szkocji, zapewne z Balwearie w Fife. Studiował matematykę tu, w Paryżu, a także, jak twierdzą niektórzy, magię, po czym trafił na dwór cesarza Fryderyka na Sycylii, gdzie został nadwornym astrologiem. Uważano go za największego adepta magii wieków średnich. Zgłębił też tajniki języka arabskiego i zapewne tak właśnie dowiedział się o istnieniu thaumatophanu. To świat islamski pozwolił Europie odzyskać klasyczną naukę utraconą w mrokach średniowiecza, i znacznie więcej. Wiedzieliście, że w Bagdadzie w dziesiątym stuleciu było ponad sto sklepów z księgami? I wszystko to w czasach, gdy tylko garstka Europejczyków umiała czytać!

- Niezbyt chętnie przyznajemy - wtrącił ojciec Helen - że cywilizacja Zachodu wywodzi się z nauki islamu.

- Istotnie - przytaknęła Raeburn. - A jednak to prawda. W każdym razie Szkot szukał kryształu i rozproszonych części thaumatophanu. Nie dokończył jednak dzieła, te same bowiem poszukiwania zostały podjęte trzy wieki później przez maga Albanusa, podobnie jak Szkot uważanego za najwybitniejszego adepta tej sztuki. Przez jakiś czas służył na dworze księcia Mediolanu, co sprowadza nas do wcześniejszej historii.

Jedną z przysług Albanusa uczynionych księciu było dostarczenie mu emisariuszy - czy po prawdzie szpiegów - i to dość szczególnego rodzaju. Znacze może słowo metempsychoza?

- Transmigracja dusz - odparła Helen. - Platon wspomina o niej w *Państwie*. To coś w rodzaju reinkarnacji. Po śmierci dusza przenosi się w kogoś innego i odradza ponownie, tak że można przypomnieć sobie doświadczenia poprzedniego życia. Nazywał to anamnezją.

- No, no - pogratulował Raeburn. - Imponujące. Lecz metempsychoza Albanusa wyglądała zupełnie inaczej. Może lepsza byłaby tu nazwa projekcja duszy. Najwyraźniej potrafił wprowadzać się w głęboki trans, z którego sługom zabraniano go budzić, bo mogło się to okazać śmiertelnie groźne - i przesyłać większą część swej siły życiowej w ciało innej osoby, przejmując nad nią kontrolę.

- Chodzi panu o martwe ciało? - przerwała mu Helen.

- Zwykle nie, ale wróćmy do tego za moment. Chodziło właśnie o opanowanie ciała



poprzez żywego właściciela - by woźnica udał się tam, gdzie każe mu jego pan, jak to ujęto zgrabnie w archiwach watykańskich. Przypominało to nieco jazdę taksówką.

W tym momencie ojciec Helen pochylił się naprzód. Jego twarz zdradzała głębokie zainteresowanie.

- Oczywiście dostrzegacie zalety podobnego rozwiązania - ciągnął Raeburn. - Dzięki temu można posłać na dwór wrogów posłańca, który w istocie jest czymś w rodzaju urządzenia podsłuchowego, a nawet więcej. Słyszycie jego uszami, widzicie jego oczami, możecie natychmiast wydawać mu polecenia, podpowiadać, co ma mówić i robić.

Helen dostrzegła z niepokojem, że jej ojciec zbladł. Nie wyglądał najlepiej. Raeburn porwany nurtem opowieści kontynuował:

- Gdy Albanus odszedł ze służby księcia, ten natychmiast przeraził się, że wykorzysta te same moce przeciw niemu w służbie jednego z nieprzyjaciół. Zaaranżował zatem próbę zamachu. Wysłał kobietę - Albanus ponoć był bardzo podatny na niewieście wdzięki - w nadziei, że zdoła zbliżyć się na tyle, by go zabić. Albanus jednak odkrył ów plan, przejął władzę nad kobietą i posłał ją z powrotem, by zaatakowała księcia. Księżę, człowiek podejrzliwy, zorganizował zasadzkę i kazał ją zabić. Choć jak słyszeliście, nie wystarczyło to, by zniweczyć plany Albanusa.

- Ożywił trupa? - spytał ojciec Helen głosem niewiele mocniejszym od szeptu.

- Według relacji uczonych dominikanów, którzy prowadzili dochodzenie w imieniu Watykanu, trup nie pozostał do końca nieożywiony. Bo choć dusza młodej kobiety uciekła, gdy ją uduszono, pozostało w nim dość siły życiowej Albanusa, by utrzymać funkcje cielesne, chociaż niedokładnie - mnisi podkreślali to wyraźnie - i kosztem ogromnej energii.

Helen obserwowała ojca, lękając się, że zaraz zemdleje. Chciała uciszyć Raeburna i pomóc ojcu, lecz jednocześnie pragnęła wysłuchać historii do końca.

- Co to ma wspólnego z kryształem? - spytała desperacko z nadzieją, że może zmiana tematu uspokoi ojca.

- Właśnie do tego zmierzałem. Księżę oskarżył Albanusa o praktykowanie magii i wygnał go, zabraniając wracać pod karą śmierci. Mag musiał udać się do Francji, co zupełnie mu nie odpowiadało, bo zajmował się akurat jakimś projektem wymagającym rzemiosła dostępnego wówczas wyłącznie w Italii. Zatrudnił zatem agenta, pośrednika. Lecz agent ów go zdradził. Albanusa zwabiono do Ferrary, obiecując list żelazny od tamtejszego księcia. Okazało się jednak, iż księżę jest szwagrem księcia Mediolanu. Władca kazał pojmać Albanusa i spalić na stosie. W nagrodę zdrajca „poprosił księcia o coś, co należało do czarnoksiężnika, księżę chętnie mu to oddał”. Tym czymś był właśnie thaumatophaniczny

kryształ.

- Skąd pan to wie? - spytała Helen.

- Bo pojawia się na jedynym istniejącym portrecie owego zdrajcy, namalowanym niedługo po śmierci Albanusa. Portrecie, który jak wiem, dobrze pani zna, stanowił bowiem część zbiorów pani rodziny.

Uśmiechnął się, widząc zrozumienie na twarzy Helen.

- Tak, to obraz znaleziony w bagażniku mercedesa należącego do Aureliana Pounce'a, stojącego obok domu w Forcalquier, który jakże tajemniczo runął w gruzy zeszłego lata. O ile wiem, nosi tytuł *Sekret Alchemika*.

- Ruggiero da Montefeltro zdradził Albanusa? - szepnęła Helen.

Raeburn przytaknął z uśmiechem.

- W zamian za kryształ, który zakupił właśnie pani ojciec. Choć jest w tym coś, co nie do końca rozumiem. Myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli już pójdę. Historia ta wyraźnie zaszkodziła panu De Havillandowi. Oto moja wizytówka. Spodziewam się, że się pani odezwie.

Wstał i wciąż się uśmiechając, wyszedł.

## Rozdział 16

### Marmury Elgina

Jake bez dodatkowej zachęty podążył za Zoë do kawiarenki po drugiej stronie ulicy. Na pokrytych drewnianą boazerią ścianach wisiały stare lustra z malunkami przedstawiającymi wąsatych findesieclowych dżentelmenów w melonikach, odbierających absynt od podobnych boginiom kobiet w stylu *art nouveau*. Zajęli stolik w niewielkiej drewnianej kabinie. Zoë uśmiechnęła się do niego leniwie spod kapelusza.

- No, no, cóż za niespodzianka. - Jej ton sugerował zupełnie co innego.

- Dla mnie owszem - odparował Jake.

Kolejny uśmiech.

- Miałam nadzieję, że zechcesz oddać mi przysługę.

- Ta-a-a-k? - spytał Jake.

- Zechcesz przedstawić mnie Geraldowi De Havillandowi?

- Ale... myślałam, że... czy nie jesteś...?

- Cóż, jak widać nie, skoro nigdy go nie spotkałam, - Uśmiechnęła się.

- Ale przecież w Londynie, czy nie...?

- Poddałam się sugestii Helen. To użyteczna sztuczka, jeśli będziesz musiał kiedyś udawać kogoś innego. Po prostu wybierz tę tożsamość, którą podsuwają ci ludzie.

Zdjęła kapelusz i z tajemniczym uśmiechem położyła go na ławce obok.

- To, kim jesteś, w ogromnej mierze zależy od otoczenia. W Londynie, w mieszkaniu Geralda De Havillanda, byłam jego kochanką. Ale teraz, w Paryżu, *voilà*, stałam się kimś zupełnie innym.

Dramatycznym gestem zdjęła z głowy miedzianą perukę i położyła na stole między nimi, niczym egzotyczne morskie stworzenie wyrzucone na plażę. Jej prawdziwe włosy były ciemne, krótko ostrzyżone. Jak u aktorki, pomyślał Jake. Bez peruki wyglądała młodziej, niemal chłopięco.

- Ale jeśli nie jesteś, no wiesz... to co robiłaś w jego mieszkaniu?

- Prowadziłam śledztwo.

- Pracujesz w policji? - spytał Jake, nagle przejęty lękiem. Jego umysł błyskawicznie

skojarzył Silk House i mieszkanie ojca Helen.

- Nie w policji.

- Zatem jesteś zwykłą włamywaczką? - Aż zakręciło mu się w głowie z ulgi.

- W razie potrzeby owszem, to wszystko należy do mojej pracy - dodała z kolejnym uśmiechem.

- A co to za praca?

- Mógłbyś powiedzieć, że pracuję pod przykrywką.

- Jak w tajnych służbach?

Roześmiała się.

- Owszem, jak u nich, ale nie do końca. Pracuję w Departamencie Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Jake zdołał w ostatniej chwili zamaskować pełen niedowierzania śmiech głośnym kasznięciem.

- Kultury i Dziedzictwa Narodowego? Nie zajmujecie się starymi zamkami, muzeami i tak dalej?

- I co w tym zabawnego? - spytała z udanym oburzeniem. - Nigdy nie słyszałeś o marmurach Elgina?

Jake zastanawiał się chwilę. Wiedział, że słynne Elgin było miastem w pobliżu Inverness, ale nie słyszał, by wydobywano tam marmury. Zresztą wątpił, by Zoë właśnie o to chodziło. Pokręcił głową.

- Lord Elgin był brytyjskim ambasadorem w Grecji w czasach, gdy kraj ten pozostawał pod kontrolą turecką.

Zakupił wiele antyków: marmurowe posągi, fryzy i tak dalej, i wysłał je do Wielkiej Brytanii. Do dziś są wystawiane w Muzeum Brytyjskim. Ale Grecja odzyskała niepodległość i teraz domaga się ich zwrotu. To poważny problem polityczny.

Jake patrzył na nią kompletnie zagubiony.

- Nie do końca rozumiem.

- Chciałam przez to powiedzieć, że niektóre kraje - w dzisiejszych czasach niemal wszystkie - zazdrośnie strzegą swojej kultury i dziedzictwa narodowego. Musiałeś zauważyć, co się dzieje, gdy ktoś za granicą kupuje stary obraz albo rzeźbę i chce ją wywieźć z kraju. Większość państw wymaga obecnie licencji na eksport antyków i rzadko je przyznaje.

Obserwowała go z lekkim uśmiechem. W głowie Jake'a zakręciły się trybiki. Antyki. A zatem o to tu chodziło. Gdzieś w głębi duszy zawsze żywił pewne wątpliwości co do legalności postępków Stephena Langtona. Po prostu zabrał machinę alchemika. Zasada „kto

znajdzie, ten bierze", świetnie sprawdzała się w piaskownicach, ale niekoniecznie w dorosłym świecie. Miał wrażenie, że balansuje na krawędzi przepaści. Gdyby teraz powiedział coś niewłaściwego, mógłby wpędzić w kłopoty kilka osób, w tym również siebie.

Zoë przez jakiś czas obserwowała, jak dręczą go wątpliwości. W końcu postanowiła go uratować.

- W porządku, Jake. Jak mówiłam, nie jestem z policji. Nas interesuje odzyskiwanie zabytków, nie karanie sprawców. W istocie zwykle wyznaczamy nawet nagrody. Choć oczywiście nie możemy konkurować z bogatymi, pozbawionymi skrupułów kolekcjonerami - dodała, marszcząc czoło. - Pewni ludzie, jeśli naprawdę pragną coś zdobyć, gotowi są naprawdę wiele zapłacić i zrobić niemal wszystko.

Posłała mu znaczące spojrzenie. Niemal wszystko, na przykład zamordować innego kolekcjonera, pomyślał Jake. Teraz czuł się naprawdę rozdarty. Chciał pomóc Zoë, ale co mógł jej powiedzieć? Spóźniłaś się, pan Langton został zamordowany, a machina skradziona. To poprowadziłoby go w miejsca, których wolał nie odwiedzać. Z drugiej strony, czy mógł tak po prostu przedstawić ją ojcu Helen? A jeśli jednak pracuje dla policji?

- Czemu chcesz, żebym cię przedstawił? Dlaczego sama do niego nie podejdziesz?

- Trafne pytanie, Jake. Muszę się z nim spotkać na przyjacielskim gruncie, zyskać jego zaufanie. Gdybym podeszła sama, w ogóle by ze mną nie rozmawiał.

Brzmi rozsądnie, pomyślał Jake. Pewnie wciąż są w domu aukcyjnym, mógłbym ją tam zabrać. Ale najpierw chciał wiedzieć coś jeszcze. Przyglądając jej się uważnie, spytał:

- Byłaś w Silk House, prawda?

Przekrzywiła głowę, unosząc brwi i wysuwając dolną wargę. Natychmiast zorientował się, że trafił.

- Helen ci powiedziała?

- Rozpoznała twoje perfumy.

- Sprytna dziewczyna. Musisz na nią uważać, Jake. Nie dasz rady nic zrobić za jej plecami.

Jake uśmiechnął się na te słowa, był jednak dość przytomny, by dostrzec, że Zoë próbuje zmienić temat. Powrócił do niego szybko.

- To ty zabiłaś Stephena Langtona?

Jeśli nawet zaskoczyła ją jego brutalna otwartość, nie pokazała tego po sobie. Raz jeszcze zmierzyła go tym samym, lekko rozbawionym, szacującym spojrzeniem.

- No cóż, chyba mogłam - odparła. - Co zwykle bierze się pod uwagę? Możliwości, motyw i sposobność? Z całą pewnością miałam sposobność, czy raczej miałabym, gdybym

zjawiała się nieco wcześniej... I na pewno znalazłabym odpowiednie środki. A z tego, co powiedziałam, możesz wywnioskować, iż miałam również motyw. Jeśli jednak to zrobiłam, czemu wciąż tu jestem? Jeśli poszukuję maszyny alchemika, a masz rację - dodała, dostrzegając błysk w jego oku - o nią właśnie mi chodzi, nie uciekałabym się do czegoś tak drastycznego jak zabójstwo, gdyby nie był to jedyny sposób jej zdobycia, prawda? A gdybym już ją miała, jak mówię, po co wciąż bym tu była, próbując cię przekonać, żebyś przedstawił mnie Geraldowi De Havillandowi.

Jakiś czas Jake rozważał jej słowa, brzmiały całkiem logicznie. Szczerość Zoë działała rozbrajająco. Nawet nie próbowała zaprzeczać, że była tam i można ją podejrzewać o morderstwo. Czy wykazałaby równe opanowanie, gdyby faktycznie to zrobiła? Wciąż miał wątpliwości co do przedstawienia jej ojcu Helen. Z kolei jednak kusila go perspektywa pojawienia się z piękną kobietą. Zwłaszcza gdyby Helen wciąż zabawiała rozmową swego zalotnika-dżentelmena. Dopiero by jej pokazał!

- Kiedy chcesz się z nim spotkać? Pewnie wciąż są po drugiej stronie ulicy.

- O, aż tak mi się nie spieszy - odparła ku zdumieniu Jake'a. - Chciałam po prostu mieć pewność. Szczerze mówiąc, wolałabym nawet nieco to opóźnić. Będziesz tu jutro?

Nie zamierzałem, pomyślał Jake, ale to było, nim cię spotkałem. Skinął głową.

- Świetnie. A teraz przepraszam na chwilkę, muszę zadzwonić.

Wyciągnęła z torebki mały telefon komórkowy, wybrała numer i czekała na połączenie. Posłała Jake'owi porozumiewawczy uśmiech, jakby stanowił on ważną część tego, w jakiej sprawie dzwoniła. W końcu ktoś odpowiedział. Zoë zaczęła szybko mówić w języku, którego Jake nie rozpoznał - przypominał nieco włoski, ale znał wystarczająco włoski, by wiedzieć, że to nie to. Zakończywszy rozmowę, Zoë raz jeszcze uśmiechnęła się do Jake'a, tym razem przepaszająco.

- To biznes międzynarodowy.

- Mówiłaś, że czyj rząd reprezentujesz? - spytał nieśmiało Jake.

- Nie mówiłam - odparła z rozbrajającym uśmiechem.

- I nie powiesz?

- Założmy, że reprezentuję prawowitych właścicieli.

Kolejny uśmiech świadczący o zamknięciu tematu. Zoë zabrała perukę, wepchnęła ją do torebki, podniosła kapelusz.

- A teraz niestety muszę już zniknąć.

- Ale jak się z tobą skontaktuję?

- Nie martw się, ja cię znajdę.

Na pożegnanie spróbował raz jeszcze.

- Jeśli jednak ty go nie zabiłaś, to kto to zrobił?

Zoë uśmiechnęła się tajemniczo i uniosła ręce w geście świadczącym, że nic nie wie na ten temat. Lecz wyraz jej twarzy sugerował coś zupełnie innego.

- A jak sądzisz? - spytała.

To rzekłszy, odwróciła się na pięcie i nim Jake zdążył pozbierać myśli, zniknęła, pozostawiając po sobie lekką woń perfum.

## Rozdział 17

### Odkrycia

- Muszę ci coś powiedzieć, Helen.

Helen patrzyła na ojca stojącego po drugiej stronie pokoju. Wyglądał już teraz normalniej, tyle że sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Natychmiast poczuła, że musi go uprzedzić.

- Nim cokolwiek powiesz, tato, jest coś, co ja muszę powiedzieć tobie.

Jej słowa go zaskoczyły. Widziała, jak ojciec przebiega w myślach listę rzeczy, które mogłyby sprawić, by nastolatka odezwała się tak do ojca. Zanim doszedł do błędnych wniosków, szybko dodała:

- Stephen Langton nie żyje. Został zamordowany.

- Co takiego? Nie!

Helen z ulgą dostrzegła szok w jego oczach; nie miał o niczym pojęcia. Ukrył twarz w dłoniach.

- Boże, *to* moja wina - mruknął przez palce.

Jakiś czas siedział bez ruchu, pogrążony w myślach. W końcu uniósł wzrok.

- Ale wiadomość ta zmienia znacząco to, co mam ci do powiedzenia.

Odetchnął głęboko i spojrzał na nią spokojnie.

- Myślę, że zabiłem człowieka.

Na widok nagłego zwątpienia na jej twarzy szybko dodał:

- Nie, to nie był Stephen. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że właśnie ów człowiek go zamordował.

- Co... co się stało? - spytała Helen głosem niewiele do nioślejszym od szeptu.

- Szedłem właśnie na dworzec Waterloo, gdy mnie zaatakował. Tuż za mostem Westminsterkim jest takie miejsce pod przeszłami, praktycznie bezludne i kiepsko oświetlone. Zdawało mi się, że ktoś mnie śledzi, ale nikogo nie dostrzegłem. A potem wyskoczył z cienia tuż przede mną. Nie pytaj, jak się tam dostał. Sądziłem, że z łatwością go pokonam, był bardzo drobny, ale okazał się przerażająco silny. No i miał nóż. Z najwyższym trudem powstrzymałem napastnika przed wbiciem mi go w gardło. A potem stało się coś dziwnego.



Nagle odniosłem wrażenie, jakby stracił świadomość tego, co robi. Po prostu się przebudził, przestał próbować mnie dźgnąć. A że wciąż z całych sił stawiałem opór, nóż odskoczył wprost w jego gardło... - Ojciec patrzył przed siebie, jakby znów widział całą scenę. - Po prostu zawisł na nożu. Potem zabalgotał i zsunął się z ostrza między kubły na śmieci. Zostawiłem go tam, wróciłem na most i wrzuciłem nóż do rzeki. Musiałem złapać pociąg, więc zmusiłem się, by tam wrócić, choć trzymałem się drugiej strony drogi. Jestem prawie pewien, że go zabiłem.

Helen westchnęła.

Jakiś czas przyglądała mu się wstrząśnięta, świadoma, iż najbardziej dręczy ją nie to, że ojciec kogoś zabił, lecz czy go złapią. Z tego, co mówił, wynikało, iż nikt go nie widział, a nóż leżał na dnie Tamizy. Zastanawiała się, czy sprawa kogokolwiek zainteresuje. W Londynie, jak w wielu innych wielkich miastach, co dzień zdarzało się wiele zbrodni.

- Kto to był? - spytała po jakimś czasie.

- Rumun, przedstawił się jako doktor Sarden Negulescu.

- Czemu sądzisz, że to on zabił Stephena?

- Cóż - odparł ojciec po długiej chwili - to właśnie muszę ci opowiedzieć.

I przedstawił jej całą historię od początku, od chwili gdy drobny doktor omyłkowo wziął go za Stephena Langtona i gdy on sam uznał, że mądrzej będzie wyjechać do Londynu - „pomyślałem sprytnie, że doktor może wrócić i próbować ukraść maszynę. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że zastanie we dworze Stephena, a przecież tak właśnie musiało być... Przypuszczam, iż zakładałem, że jego nieobecność potrwa dłużej. Nie zwykłem informować nikogo o swych planach”. Gdy dotarł do relacji ze sprzedaży maszyny, Helen uświadomiła sobie zdumiona, jak blisko był ojciec, gdy doszło do owego przerażającego spotkania na schodach. Gdyby wiedziała, co by zrobiła? Teraz jednak nie było sensu się zastanawiać. To wszystko miało przynajmniej jeden plus: przeklęta maszyna zniknęła z ich życia. Gdy powiedziała to głośno, ojciec posłał jej osobliwe, pełne namysłu spojrzenie. W końcu rzekł:

- Cóż, mam nadzieję, że już z tym koniec.

- A myślisz, że jest inaczej? - Helen poczuła nagły, zimny dreszcz.

- Po prostu, kiedy Raeburn zaczął mówić o projekcji dusz i przejmowaniu innych ludzi, wykorzystywaniu jako posłańców... Cóż, jestem niemal pewien, że to właśnie spotkało Negulescu.

- Co takiego?!

- Widzisz, raz już zetknąłem się z czymś takim, gdy Aurelian Pounce chciał mnie dopaść z powodu obrazu. Tyle że tym razem to nie może być Pounce.

Helen rozejrzała się. Ze zdumieniem stwierdziła, że w pokoju nadal jest jasno i słonecznie. Miała wrażenie, iż wokół niej zaciska się obręcz cieni.

- Jak sądzisz, kto to?

- Nie wiem. Ale może ktoś będzie umiał nam powiedzieć.

Podniósł ze stołu wizytówkę Raeburna.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Gdy Helen zjawiła się w mieszkaniu, niemal oczekiwali kłótni. Lecz Jake był w tak ugodowym nastroju, iż natychmiast zaczęła podejrzewać, że coś knuje.

- Rozmawiałem z twoją kuzynką. Twierdzi, że w Centrum Pompidou otwarto świetną wystawę. Masz ochotę wybrać się tam jutro?

- Tak, jasne - odparła Helen lekko zaskoczona.

- No to o której? - Jake ziewnął. - Dziewiątej, dziesiątej?

Helen zawahała się.

- Wolałabym trochę później. Może o jedenastej? Muszę najpierw coś załatwić.

- Ach tak? - Jake spojrzał na nią pytająco.

- Nic ważnego, sprawy rodzinne.

Długą chwilę wpatrywali się sobie w oczy, próbując nawzajem przeniknąć, co ukrywa drugie. W końcu Helen uśmiechnęła się, przełamując napięcie.

- Jestem wykończona - oznajmiła. - Do zobaczenia rano.

Skierowała się do swej sypialni. Jake został w miejscu, odprowadzając ją wzrokiem. Jego twarz nic nie zdradzała.

## Rozdział 18

### *Stupor mundi*

Helen była pewna, że gdy tylko dotrze do łóżka, natychmiast zaśnie. Wątpiła nawet, czy zdąży się położyć. Zdjęcie ubrania i naciągnięcie na siebie koszuli nocnej wydawało się zadaniem ponad siły. Lecz gdy tylko to zrobiła, poczuła nagły napływ energii i dziwnego zdecydowania. Miała wrażenie, że musi, po prostu musi coś zrobić - ale co? Nie zdziwiła się nawet tak bardzo, gdy w jej umyśle sama pojawiła się odpowiedź: książka Sophie. Nie myślała o niej od owego wieczoru w Szwajcarii, gdy ją znalazła. Nie pamiętała nawet, czy ją spakowała. A jednak teraz, stojąc tu w paryskiej sypialni kuzynki (jakże ciepła jest noc! Naprawdę musi otworzyć okno), nie wątpiła, że znajdzie ją w torbie.

I rzeczywiście, książka tkwiła w zewnętrznej kieszeni. Jak zwykle miło się na nią patrzyło (i jej dotykało); gdy Helen podniosła książkę, poczuła wyraźne mrowienie w palcach. Zastanawiające, że zupełnie o niej zapomniała. Usadowiła się na łóżku, opierając się o poduszkę i otworzyła tomik w losowo wybranym miejscu.

Dziwne, przed otwarciem książki w ogóle nie pamiętała niczego z wcześniejszej lektury. Lecz gdy tylko dotknęła kartki (i znów poczuła ową dziwną frisson - lekkie, lecz wyczuwalne ukłucie), w jej pamięci pojawiła się seria obrazów, jakby tkwiła tam cały czas, niczym scena czekająca na podniesienie kurtyny. W ten sam sposób, bez cienia zdumienia, przypomniała sobie, jak działa książka, i zamiast patrzeć na kartkę, którą miała przed sobą, dotknęła jej palcami.

Natychmiast w duszy poczuła zapach czy raczej wrażenie atmosfery, równie nagłe i wyraźne jak zapach: był w nim upał, przygniatający ciężar i gorycz morza. A jednocześnie chłód, czystość, niczym smak wody czerpanej ze studni głębinowej. Oto miejsce pełne paradoksów, gdzie żar namiętności współistnieje z chłodnym rozumem, gdzie ludzkie ciepło i entuzjazm towarzyszą przebiegłemu umysłowi, oderwanemu i obojętnemu w swym okrucieństwie. Wyczuwała też zmienne prądy - na Północy coś budziło się z długiego snu, złąknione wiedzy. Od Wschodu do Zachodu coś w szczycie rozkwitu, wspaniała kultura i nauka. Na Północnym Wschodzie coś znacznie starszego, mądrość sięgająca aż do korzeni czasu. Tu właśnie spotykały się i łączyły - ale gdzie było owo tutaj?

W odpowiedzi dobiegł ją odgłos przypominający szept morza - Sycylia.

Nagle wonna, wielowarstwowa atmosfera ustąpiła miejsca wirowi barw: pomarańczowej, czerwonej, żółtej, brązowej, błękitnej i zielonej, z których po długiej chwili wyłoniła się twarz - niezwykle oblicze, niezbyt urodziwe, lecz pełne mocy, zwieńczone ognistymi włosami, grube brwi, długi prosty nos, zdecydowane usta i szeroko rozstawione, inteligentne oczy - oczy spoglądające z uderzającą wręcz śmiałością. Oto człowiek, który przywykł do wydawania rozkazów, który przez całe życie nikomu nie musiał ustępować. Myliłam się, pomyślała Helen, prądy nie tyle tu płyną, ile przyciąga je ten właśnie człowiek, niczym wir. Bo z pewnością to właśnie stupor mundi we własnej osobie, po dziwieniu świata, cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego, Fryderyk II, uczony, wojownik, architekt i poeta, władający sześcioma językami i słynący na całym świecie ze swego wspaniałego wykształcenia. Za nim z wielu kolorów wynurzył się słoneczny dziedziniec z fontanną, a wokół niego kolumny, niczym pnie palm należące do spowitego w chłodny cień klasztoru. Palermo - na początku XIII wieku magnes przyciągający do siebie największe umysły ze wszystkich stron świata, chrześcijan, muzułmanów i Żydów.

Nagle na dziedzińcu zaroilo się od ludzi, mężczyzn i kobiet o najróżniejszych sylwetkach, barwach skóry i strojach. Łączyło ich tylko znamię mądrości odcisnięte na twarzach, podobnie jak na obliczu samego cesarza. Lecz nawet w tym niezwykle tłumie jedna postać wyróżniała się wyraźnie: astrolog i alchemik cesarski, znawca arabskiego i genialny matematyk, Michał Szkot. Natychmiast go poznała, choć bardzo się zmienił od swych czasów paryskich. Wszelkie ślady młodości zniknęły, nadal jednak był zdumiewająco chudy, jakby płonąca w nim olbrzymia energia trawiła ciało, nie pozwalając mu pokryć kości. Niewiarygodnie jasne, diamentowe oczy pozostały równie przenikliwe jak wcześniej, ale teraz wydało jej się, że wpatrują się w każdą twarz na dziedzińcu, szukając czegoś - i nie znajdując.

Po chwili drobny, ciemnowłosy mężczyzna o długim nosie odciągnął na bok Szkota. Razem usiedli na ławie w klasztorze. Helen wiedziała, że to Leonardo z Pizy, zwany Fibonaeci, słynny matematyk i wielki podróżnik, doskonale znający świat arabski. Przywiózł swojemu przyjacielowi zbiór rękopisów, które niezmiernie go ucieszyły. Gdy Michał Szkot pochylał się nad nimi z uśmiechem, Leonardo powiódł wzrokiem po tłumie otaczającym cesarza. Nagle westchnął głośno i położył dłoń na ramieniu swego towarzysza.

Na dziedzińcu zjawiał się młodzieniec, liczący sobie najwyżej osiemnaście wiosen, bardzo wysoki i złotowłosy, o silnym, gibkim ciele i urodziwym obliczu. Poruszał się płynnie, z wdziękiem, wodząc dokoła ciekawym spojrzeniem. Lecz nawet w tym

znamienitym towarzystwie nie zdradzał oznak onieśmienia. On także zdawał się szukać czegoś we wszystkich twarzach, póki w końcu nie zwrócił wzroku ku ceniom klasztoru i nie spojrzał wprost w oczy Michała Szkota. Helen wydało się, że w owej chwili stała się jednocześnie Michałem Szkotem i młodzieńcem i wyczuła drzwi otwierające się między dwoma umysłami - więcej, między dwiema duszami. Wiedziała, iż tych dwóch na zawsze połączy całkowite zrozumienie.

Scena się zmieniła. Helen pojęła, iż oznacza to upływ czasu. Młodzieniec został uczniem Szkota, razem pracowali nad najróżniejszymi rzeczami. Wyczuwała jednak, iż tak naprawdę zależy im tylko na jednym. Miało to coś wspólnego z rękopisami przywiezionymi przez Leonarda - studiowali je i omawiali bez końca, często szukając wskazówek w wielkich księgach i na mapach. Wyglądało to tak, jakby czegoś szukali, czegoś, co kiedyś pozostawało w jednym miejscu, teraz jednak zostało rozmontowane i rozwieszono po świecie. Statki kupieckie wypływające z portu unosiły posłańców. Od czasu do czasu niektórzy z nich wracali, przywożąc wieści bądź też rzadziej niewielkie zawiniątka. Na ścianie komnaty, w której mężczyźni pracowali, zawisała mapa, poznaczona szpilkami z kolorowymi chwostami. Czasem, gdy posłaniec przywoził paczuszkę, usuwali szpilkę. Jeżeli zjawiał się z wieściami, notowali je w wielkiej, oprawnej w skórę księdze, przenosząc chwost w inne miejsce mapy.

Czas płynął. Młodzieniec stał się mężczyzną, jego mistrz wyglądał staro. Poszukiwania niestrudzenie kontynuowano, teraz jednak towarzyszyło im napięcie, którego wcześniej brakowało. Helen wyczuła, iż to wyścig, w którym Michał Szkot zaczyna przegrywać. W spojrzeniach, które wymieniali między sobą dwaj mężczyźni nad mapami i dokumentami, po raz pierwszy dostrzegła niezgodę: młodszy namawiał starszego do czegoś, na co tamten wyraźnie nie miał ochoty. Wyczuła w Szkocie znużenie, pragnienie odejścia, przed którym powstrzymywało go jedynie uczucie do ucznia i lęk przed rozstaniem.

Wyglądało na to, że w końcu uczeń zdołał przekonać mistrza. Poczynili przygotowania, po czym porzucili komnaty w pałacu i przenieśli, się do domku na wzgórzu. W katedrze w Palermo rozegrała się osobliwa scena: podczas konsekracji Szkot zdjął żelazną czapkę, którą ostatnio zwykł nakładać, i natychmiast runął na ziemię. Uczeń pochylony nad swym panem uniósł niewielki kamyk, który miał go trafić. Zebrani odstepili, zegnając się szybko, wymieniając załęcznione spojrzenia. Służba wyniosła pozbawione zmysłów ciało wielkiego uczonego. Tuż po tym pojawiły się obrazy żałoby i pogrzebu: Michał Szkot nie żył.

To podstęp, pomyślała Helen, pozwalający mu usunąć się ze sceny publicznej. I rzeczywiście, niemal natychmiast ujrzała Szkota, rysującego w pokoju w domku. Coś w tym pokoju przypominało jej inny pokój w Paryżu, w pierwszy dzień świąt dawno, dawno temu.

Czuła narastające napięcie i niepokój. Pojawił się młodszy mężczyzna, któremu towarzyszyła dziewczynka, licząca najwyżej dziesięć, dwanaście lat. Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. Oczy ucznia zdradzały determinację, we wzroku Szkota kryło się z wątpienie. Dziewczynka, świadoma napięcia, rozplakała się. Szkot przywołał ją, posadził na łóżku, położył jej dłoń na policzku. Była bardzo ładna, miała długie, ciemne, kręcone włosy i wielkie, ciemne oczy. Helen miała wrażenie, iż prócz tej sceny ogląda też inną: chudego chłopca na zielonej łące żegnającego się z podobną ciemnowłosą dziewczyną o poważnej twarzy. A zatem wyjeżdżasz, Michale. Do Paryża? Ujrzała, jak za plecami dziewczynki staje uczeń. Na ramię zarzucił ręcznik, w jednej dłoni trzymał srebrną miskę, w drugiej długi nóż o wąskiej klindze. Szkot patrzył w twarz dziewczynki, pogładził jej policzek z pełnym smutku uśmiechem. Potem spojrzał na ucznia i pokręcił głową. Tamten szykował się już do ciosu, toteż najpierw wydawał się nie rozumieć, a potem wpadł w złość. Próbował działać dalej wbrew zakazowi, lecz Szkot w nagłej furii wbił w niego spojrzenie. Helen wydawało się, że z jego lśniących oczu wystrzeliły błyskawice. Młodszy mężczyzna zachwiał się i osunął na kolana, nóż wypadł mu z dłoni, miska uderzyła z brzękiem o kamienną podłogę.

Teraz Szkot i młody mężczyzna odziani w białe szaty siedzieli naprzeciw siebie na dwóch wysokich krzesłach podobnych do tronów, niemal stykając się kolanami. Dziewczynka krzątała się wokół, przynosząc różne przedmioty, które ustawiała zgodnie z poleceniem Szkota: dwie świece w wysokich świecznikach, które zapaliła, wielką księgę umieszczoną na ambonie z boku. Helen ujrzała, iż oba krzesła i pozostałe elementy ustawiono wewnątrz podwójnego kręgu wyrysowanego na podłodze, między kręgami nakreślono szereg symboli. W końcu dziewczynka ustawiła naprzeciw księgi niewielki żarnik. Gdy go zapaliła, węgle rozjarzyły się niebieskim, zielonym i fioletowym blaskiem, wydzielając z siebie ciężką woń. Na końcu dziewczynka zamknęła wszystkie okiennice, po czym wyszła z pokoju.

Po chwili w pomieszczeniu rozległ się niski, głęboki jęk, przypominający najniższy dźwięk organów. Kamienna posadzka zaczęła wibrować, świece przez moment rozbłysły oślepiająco, po czym przygasły tak, że ich płomienie stały się jedynie słabymi, błękitnymi punkcikami w mroku. Żarnik natomiast płonął coraz jaśniej, zalewając obu mężczyzn falami stale zmieniającego się barwnego światła. Szkot i jego uczeń, przyciskając do siebie dłonie, patrzyli sobie w oczy. Na twarzy ucznia odbijał się coraz większy zachwyt i radość, oczy miał spragnione, szeroko otwarte. Oblicze Szkota stężało w potężnym skupieniu, pochylał się naprzód, jego oczy płonęły. Tymczasem niski dźwięk narastał, stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu zdawało się, iż cała komnata wibruje wraz z nim, że lada moment wszystko rozpadnie się i połączy z wszystkim innym. On jednak wciąż przybierał na sile, osiągając

nieznośne wyżyny...

A potem rozległ się ogłuszający huk. Gdy ostatnie echa wygasły, zapadła cisza.

Drzwi otwarły się, ktoś wszedł do środka i otworzył okiennice. Pokój zalało światło. Helen przekonała się, iż dziewczyna stojąca przy oknie jest już starsza, niemal jej rówieśniczka. Potem ujrzała, że pokój prócz części zamkniętej w kręgu jest pusty - łóżko, stół, najróżniejsze meble zniknęły bez śladu. Na podłodze została tylko gruba warstwa pyłu. Gdy dziewczyna otwarła okiennice, podmuch powietrza poderwał drobinki, które zatańczyły w promieniach światła. Promienie słoneczne oświetliły dokładnie środek komnaty. Tam wewnątrz kręgu wciąż jeszcze stały dwa krzesła, a na nich coś, co niegdyś było dwoma mężczyznami - niegdyś, bo Michał Szkot sprawiał wrażenie zaledwie powłoki, delikatnej i przejrzystej, której rysy wyblakły niczym stare zdjęcie. Na oczach Helen powłoka rozpadła się w obłok jasnego dymu i zniknęła, pozostawiając puste krzesło. Uczeń naprzeciwko sprawiał wrażenie niezmiennego, siedział sztywno jak posąg egipskiego faraona, oczy miał zamknięte, dłonie spoczywały na kolanach.

Dziewczyna podeszła do krzesła i z namysłem przyjrzała się mężczyźnie. Nieśmiało położyła palce na jego dłoni, potem dotknęła policzka. Nie zareagował. W końcu powoli, bardzo powoli, jego powieki się uniosły. Helen nagle odniosła wrażenie, że to ona jest dziewczyną stojącą tak blisko, obserwującą, jak unoszą się wolno. Nie wiedziała, czy to jej serce ścisnęło się nagle, czy też serce dziewczyny, gdy ujrzała, że patrzące na nią oczy - patrzące, lecz nie widzące niczego - to przejrzyste jak diamenty oczy Michała Szkota.

Ten sam pokój, ta sama postać na tym samym krześle, choć obecnie przesunięto je naprzeciw okna, toteż Helen widziała jedynie linię ramienia i rękę. Reszta pokoju bardzo się zmieniła - umeblowano ją, ozdobiono, widać było, iż żyją tu ludzie. Drzwi się otwarły, do środka weszło dziecko, kędzierzawy maluch, najwyżej trzy-, czteroletni. Przez chwilę krążył po komnacie, w końcu zatrzymał się przed siedzącą postacią i przyglądał się jej z uroczystą powagą dziecka. Patrzył na nią jak na coś, co znał całe życie, jak na część pokoju. Po chwili na młodej twarzy rozbłysła ciekawość. Dziecko wysunęło naprzód głowę, patrząc uważnie, spomiędzy warg wysunął się język. Nagle zaśmiało się i wybiegło z pokoju.

Wkrótce wróciło, ciągnąc za sobą kobietę, bez wątpienia matkę, o zatroskanej twarzy gospodyni, której przeszkadzono w pracy. Helen szukała w niej śladów podobieństwa do wcześniejszej dziewczynki, niczego jednak nie znalazła. Kobieta także uważnie obejrzała siedzącą postać, marszcząc brwi. Potem wydała polecenie dziecku, które wybiegło radośnie i powróciło w towarzystwie starej kobiety odzianej w czerń, przygarbionej i wspartej na lasce, babki albo raczej prababki. Staruszka powoli zbliżyła się do okna i wówczas na jej twarz

pierwszy raz padło światło, wygładzając zmarszczki. Helen uświadomiła sobie wstrząśnięta, że oto widzi dziewczynę, która jeszcze niedawno otwierała okiennice. Dziewczynę, która w odległych czasach dzieciństwa służyła Michałowi Szkotowi i jego towarzyszowi.

Staruszka wyciągnęła dłoń ku postaci, która poruszyła ręką i chwyciła ją. Następnie dźwignęła się z miejsca. Dziecko i jego matka patrzyli oszołomieni. Gdy mężczyzna zwrócił się do światła, Helen ujrzała, że poza gęstą, złocistą brodą praktycznie się nie zmienił. Był wysoki i piękny jak niegdyś. Teraz pochylił się nad wiekową prababcią, ujął jej dłonie i ucałował kobietę w policzek.

Ostatnia scena przedstawiała pożegnanie: uczeń ubrany w strój podróżny stał w drzwiach domku, a obok niego gromada ludzi w różnym wieku, sądząc z wyglądu należących do tej samej rodziny. Pomiędzy nimi na honorowym miejscu zasiadała staruszka patrząca z dumą, zachwytem i smutkiem, jak ów wysoki, piękny mężczyzna, którego ujrzała po raz pierwszy jako dziecko, zupełnie nieodmieniony, rusza białą, zakurzoną drogą z workiem na ramieniu, by podjąć przerwane poszukiwania.

Na zakręcie mężczyzna odwrócił się, aby po raz ostatni pożegnać się z rodziną. Wówczas stara kobieta wymówiła słowo, które zawisło między nimi w jasnym, rozświetlonym powietrzu, jego imię: Albanus.



## Rozdział 19

### Sekretne spotkanie

Następnego ranka Helen ocknęła się z nieodpartym wrażeniem, że śniła o czymś niezwykłym. Nie mogła sobie jednak przypomnieć o czym. Ze zdumieniem odkryła leżącą obok poduszki niebieską książkę. Czyżby czytała ją przed snem? Bez zastanowienia wsadziła ją z powrotem do kieszeni torby.

Jake wynurzył się ze swej sypialni w chwili, gdy była już gotowa do wyjścia. Lecz jego widok, gdy tak stał w drzwiach rozczochrany i zaspany, poruszył serce Helen, która ucałowała czubki palców i musnęła nimi wargi chłopaka.

- *A bientôt!* Do zobaczenia przed Centrum Pompidou. O której? Jedenastej?

Obdarzyła go błogosławieństwem swego uśmiechu i zniknęła. Jake odprowadził ją wzrokiem.

Gdy zjadł śniadanie i ubrał się, ogarnął go niepokój. Zaczął krążyć po mieszkaniu, próbował czytać i zrywał się po dwóch minutach, nucił pod nosem urywki piosenek, aż w końcu Agnes z desperacją uniosła ręce.

- *Mon Dieu*, posiedź chwilę cicho. Spójrz, mamy piękny dzień, może pójdziesz na spacer. Doprowadzasz mnie do szału.

Powiedziała to surowo, lecz nie mogła powstrzymać uśmiechu. Kręcąc głową, odprowadziła go wzrokiem, rozmyślając o szaleńczych porywach młodzieńczej miłości.

Helen maszerowała szybko, zadowolona z tego, iż zdecydowała się pójść samotnie: zamiast stanowić połówkę pary nastolatków, była teraz samotną młodą kobietą, wędrującą śmiało przez najbardziej romantyczne miasto świata. Wyobrażała sobie ludzi patrzących na nią, gdy ich mija, zastanawiających się, kim jest i dokąd zmierza. Wokół niej Paryż wylegał na słońce - chodniki parowały, właściciele kawiarenek, sprawdzwszy ostrożnie, czy chmury naprawdę się rozchodzą, rozstawiali markizy, krzesła i stoły. Piesi zmagali się z problemem, czy zostać w płaszczach przeciwdeszczowych i co zrobić ze zbędnymi już parasolkami. Helen porwana radosną atmosferą wielkiej metropolii poczuła, że serce bije jej żywiej. Paryż wiosną. A oto ona w drodze na sekretne spotkanie (no, przynajmniej utrzymywane w sekrecie przed Jakiem) z tajemniczym nieznanym!

Instrukcje ojca brzmiały prosto. Miała spróbować dowiedzieć się, kto mógł stać za Negulescu, lecz zdradzać jak najmniej. Helen przypuszczała, że przypomina to nieco grę w szachy. Świetnie grała w szachy.

Gdy się zjawiała, siedział już przy stoliku pod oknem i pomachał do niej przez szybę, przyjaźnie się uśmiechając. Wewnątrz kawiarnię urządzono w surowym stylu przemysłowym: mnóstwo metalowych powierzchni, lśniącej stali i zmatowanego aluminium. Podłoga miała dość obrzydliwy, jasnozielony kolor. Raeburn wstał szarmancko i podsunął jej krzesło, przeciskając się na drugą stronę stolika, by usiąść plecami do okna. Helen także usiadła, nieco zarumieniona po przechadzce. Odgarnęła na bok niesforny kosmyk, zastanawiając się, co pomyślą ludzie, widząc ich tu razem: z pewnością nie wezmą za ojca i córkę, był na to za młody. Może wuj i siostrzenica albo kochankowie? Uśmiechnęła się na tę myśl, jednocześnie absurdalną, lecz w oczach przechodnia całkiem możliwą.

- Mam nadzieję, że twój ojciec dobrze się czuje? - spytał uprzejmie Raeburn.

Kelner przyniósł kawę i czekoladowego croissanta.

- Doskonale, dzięki - wymamrotała Helen, nie zdążywszy przełknąć.

- Nie wyglądał najlepiej. Martwiłem się, że mogło poruszyć go coś, co wczoraj powiedziałem. Byłem dość podekscytowany.

Dziś wydawał się mniej podniecony, lecz mimo pozornej nonszalancji Helen wyczuwała w nim napięcie. Popiła *chocolatine* łykiem kawy.

- Szczerze mówiąc, istotnie coś, co powiedziałaś...

- O kryształach? - przerwał jej Raeburn.

Helen napiła się kawy i odparła pozornie lekkim tonem:

- Nie. - Czy jej się wydawało, czy też odpowiedź ta go rozczarowała. - Chodziło o metempsychozę, no wiesz, przesyłanie duszy, wykorzystywanie ludzi jako posłańców i tak dalej.

- Istotnie, to dość upiorna opowieść - przyznał.

- Nie sądzę, by w dzisiejszych czasach ktoś to potrafił - odparła Helen z nadzieją, że powiedziała to jak ktoś, kto bez większego zainteresowania kontynuuje rozmowę.

- Cóż, szczerze mówiąc - zaczął Raeburn - z całą pewnością umie to jeden człowiek. - Zawahał się przez moment, patrząc na nią, jakby nagle dotarło do niego ukryte znaczenie tego pytania. - Co najmniej jeden człowiek, który mógłby...

Helen strząsnęła z palców okruchy czekolady, starając się zachować lekko znudzoną minę. Nie spodobał jej się jednak wyraz twarzy Raeburna, który teraz przypominał ojca w chwilach, gdy ten udawał, że zwraca na nią uwagę, lecz tak naprawdę coś kombinował - Ten

człowiek - rzekła w nagłym natchnieniu - to przypadkiem nie Aurelian Pounce?

Bo, oczywiście, to nie mógł być on - może jednak zdoła oszukać Raeburna i sprawić, by ujawnił nazwisko, jednocześnie przekonując, że to z jej strony zwykła, płocha ciekawość.

- Aurelian Pounce? - powtórzył Raeburn. - Oczywiście znam to nazwisko, każdy, kogo interesuje się okultyzmem, słyszał o Aurelian Pounce. Jego śmierć wywołała spore poruszenie - domniemana śmierć, powinienem rzec, bo nigdy nie znaleziono ciała. Choć z pewnością ty wiesz o tym więcej niż ja, bo byłaś tam, na miejscu.

Posłał jej znaczące spojrzenie i Helen pomyślała, że może wspomnianie o Pounce nie było aż tak sprytnym posunięciem.

- Oczywiście - ciągnął Raeburn - tak naprawdę wszyscy zastanawiają się, czego Pounce szukał w willi Ruggiera da Monrefeltro. Wiedzieli, że musi to mieć coś wspólnego z obrazem, bo znaleziono go w bagażniku jego wozu. Ale co?

Z rozmarzoną miną zamieszał kawę, patrząc w dal.

- Przypuszczałem, że chodziło o kryształ - rzekł. - Ale po wczorajszym dniu...

Helen odniosła wrażenie, jakby czas zwolnił bieg. Była świadoma tego, że rozpaczliwie wpatruje się w twarz Raeburna, próbując wzrokiem powstrzymać tok jego myśli. Jednocześnie powtarzała w duchu: schrzaniłam sprawę, zrobiłam dokładnie to, czego nie chciał tato, i nie poznałam nawet nazwiska. Raeburn pochylił się ku niej z błogim uśmiechem, nakrywając jej dłonie swymi. Powoli skinął głową, widząc, jak wszystkie fragmenty układanki trafiają na miejsce.

- Naprawdę muszę ci podziękować, moja droga, za tę niezmiernie fascynującą rozmowę. Otworzyła przede mną całkiem nowe perspektywy. Ale coś za coś, ja także muszę ci coś dać. Może nazwisko, po które przysłał cię ojciec?

Spojrzał na Helen, zbyt nieszczęśliwą, by cokolwiek udawać. Z ponurą miną skinęła głową.

- Draganu, tak się nazywa. I powiedz swemu ojcu, że jest to najlepszy adept w Europie. W porównaniu z nim Aurelian Pounce był zwykłym dyletantem.

Helen zdołała się uśmiechnąć. Przynajmniej dostałam to po co przyszłam, pomyślała. Ale Bóg jeden wie, co ujawniłam. I gdy tak siedziała, wpatrując się uważnie w twarz Raeburna, próbując przeniknąć jego myśli, z dworu na stolik padł cień. Helen uniosła wzrok, cofając dłonie, ułamek sekundy przedtem, nim zrozumiała, że właśnie tego nie powinna robić.

Za oknem stał Jake, wpatrywał się w nich z otwartymi ustami.

Zamarł z twarzą wykrzywioną w bolesnym grymasie i przez chwilę Helen mogła jedynie wpatrywać się w niego. A potem odwrócił się na pięcie, ona zaś skoczyła na równe

nogi, odpychając krzesło, które z trzaskiem runęło na ziemię. Nim dotarła do drzwi, przebiegł już pół ulicy. Krzyknęła za nim, lecz jej głos zginął w gardłowym łoskocie silnika potężnego samochodu sportowego, który nadjeżdżał z tyłu. Czarne maserati minęło ją i zwolniło, docierając do Jake'a. Na oczach zdumionej Helen Jake uniósł wzrok, jak gdyby ktoś go zawołał. Drzwi od strony pasażera otwarły się szybko, chłopak zawahał się chwilę, a potem, nie patrząc za siebie, wskoczył do środka. Samochód odjechał, przyspieszając gwałtownie.

## Rozdział 20

### Żywy trup

- Mamusiu, co jest nie tak z twarzą tego pana? - pisnęło dziecko.

- Cii, skarbie - odparła matka.

Uśmiechnęła się przepaszająco do pozostałych pasażerów, którzy, ponieważ była śliczna (podobnie jak dziecko), odpowiedzieli pobłażliwymi uśmiechami i ukryli twarze za pismami i gazetami. Bo oczywiście dziecko miało rację. Coś było bardzo nie tak z twarzą owego mężczyzny.

Jego skóra miała barwę i fakturę szarej plasteliny. Wyglądała wyjątkowo nienaturalnie, tak iż można było podejrzewać, że to maska lub twarz podmyta jakąś dziwną farbą. Oczy wychodziły z orbit, jakby coś napierało na nie z głębi czaszki, co sugerowało wielki wysiłek. Wargi poruszały się nieustannie niczym u przeżuwiającej krowy, z jednego kącika spływała wąska strużka śliny. Lewa ręka tej samej ołowianej barwy zwisała bezwładnie z rękawa, wstrząsały nią skurcze. Prawą dłoń mężczyzna wsunął do kieszeni, przez przedramię przewiesił prochowiec. Ubranie miał wymięte, możliwe, że w nim spał. Dyżurujący w poczekalni pracownik kolei, czując na sobie wzrok pasażerów, postąpił krok w stronę tego człowieka. Potem jednak zawahał się i zachwiał niepewnie na piętach. Szary mężczyzna, kołysząc się, ruszył ciężko w stronę wolnego miejsca, opadł bezwładnie na fotel, rzucając płaszcz na stolik przed sobą. Ten wysiłek najwyraźniej go wyczerpał. Jakiś czas siedział bez ruchu z dłońmi zwróconymi do góry i drżącymi palcami. Pracownik kolei odprężył się i zajął innymi sprawami, które nagle uznał za nadzwyczaj pilne.

- Mamusiu, ten pan dymi - oznajmiło głośno dziecko.

Matka uciszyła je ponownie. Tym razem jednak, ponieważ wszędzie wokół rozwieszono wyraźne zakazy palenia w trzech językach, posłała mężczyźnie pełne dezaprobaty spojrzenie, oburzona naruszeniem etykiety. Jednak to, co ujrzała, sprawiło, że wzdrygnęła się gwałtownie i natychmiast pochyliła, by zasłonić oczy dziecka.

Mężczyzna nie palił, lecz faktycznie dymił: z jego brzucha wypływały kłęby tłustego dymu. Patrzył w dół, jakby próbował zrozumieć, co się z nim dzieje. Na oczach przerażonego pracownika stacji rozległo się ciche *luuuf!* i z brzucha mężczyzny wystrzelił jęzor

zielonobłękitnego płomienia. Brzuch otworzył się niczym dziura wypalona w papierze. Przez chwilę mężczyzna wciąż patrzył oszołomiony, a potem zgiął się gwałtownie jak marionetka, której przecięto sznurki. Jego głowa z łoskotem uderzyła o stół. Ktoś krzyknął. Pracownik stacji, który w końcu ruszył naprzód, zdjął kurtkę i nakrył skręcone ciało.

\*

- Widywałem już niejedno, trupy i trupy - oznajmił rosty, rudobrody sanitariusz. - A ten tu to trup jak się patrzy.

Po tych żartobliwych słowach zajął się przenoszeniem skręconego szarego ciała z fotela w poczekalni na nosze.

- Co z płaszczem? - spytał kierownik stacji. - Miał go ze sobą, gdy tu przyszedł. Prawda, George?

Doglądający poczekalni George z ponurą miną skinął głową. Odzyskał już kurtkę, wahał się jednak, czy ją włożyć. Zamiast tego oglądał z daleka, jakby jej nie ufał.

- Lepiej więc go weźmy - rzekł drugi pielęgniarz.

Stanowił przeciwieństwo swego kolegi: drobny, cichy, o łagodnej, melancholijnej twarzy. Podniósł płaszcz i ruszył za wózkiem, na którym spoczywały okryte prześcieradłem zwłoki, do czekającego samochodu.

Karetka włączyła się w londyński ruch bez pomocy koguta bądź syreny. Nie spieszyło im się, stan pacjenta nie mógł się już raczej pogorszyć.

- Ten koleś - oznajmił rudobrody, kierujący także związkiem zawodowym - to klient dla kostnicy.

- Czemu? - spytał drugi, udając zainteresowanie.

- Bo taki jest układ. Sztywni to robota kostnicy. Zgodnie z przepisami w ogóle nie powinniśmy ich zabierać, mają do tego własny wóz. Nieboszczyk zmarły w drodze to inna sprawa. Jeśli żyje, gdy go zabieramy, traktujemy go jak żywego, dopóki doktor nie stwierdzi zgonu. Natomiast trupy, jak mówiłem, to sprawa kostnicy. I tak robimy im przysługę, przywożąc go, sami muszą zająć się tylko wyładunkiem.

- Brzmi uczciwie - przyznał jego towarzysz.

Jechali w ślimaczym tempie, co chwila zatrzymywali się w korku, po czym pelzli wolno sto metrów naprzód.

- W tym tempie dojedziemy akurat na przerwę - oznajmił rudobrody.

Zza pleców dobiegał ich chór klaksonów i błyskających świateł.

- Niektórzy ludzie - powiedział filozoficznie rudobrody - nie potrafią cierpliwie czekać. - Opuścił szybę, wychylił się i wykrzyczał całemu światu: - Niektórzy nie potrafią

cierpliwie czekać!

- Zabawne - wtrącił jego kolega. - Naszemu klientowi nie brak cierpliwości.

Tamten patrzył na niego nic niepojmującym wzrokiem.

- Nieważne.

Spokojny mężczyzna odwrócił się do okna. Chwilę później zaskoczył go głośny wybuch śmiechu.

- Nie, to dobre! Z początku nie rozumiałem. Jest martwy, więc może czekać. Świetne!

Samochody nieco przyspieszyły. Wkrótce znaleźli się w pobliżu szpitala. Rudobrody przez radio wezwał pracownika kostnicy. Widzieli go przy drzwiach, z ponurą miną opartego o wózek.

- To po co mnie tu ściągaliście? - spytał, gdy tylko ujrzał załogę karetki. - Mam teraz przerwę.

- My też, bracie - odparł rudobrody. - Ale ten nie umarł w drodze, to prawdziwy sztywniak. Umarł wcześniej, twój klient, nie nasz. No dalej, Cyril.

- Prawdę mówiąc, nazywam się Dave - wyznał jego towarzysz pracownikowi kostnicy, wspólczyjając wzruszając ramionami.

Obaj sanitariusze dotarli właśnie do wyjścia, gdy usłyszeli gniewny okrzyk. Odwrócili się i ujrzeli pracownika kostnicy maszerującego ku nim. Popychał przed sobą worek i kłął na czym świat stoi.

- Co to ma niby być? Pieprzony prima aprilis? Myślicie, że mam czas na pieprzone dowcipy?

- Uspokój się, człowieku - wtrącił niższy z mężczyzn. - Co się stało?

- Co się stało? Co się, kurczę, stało? Powiem wam, co się, kurczę, stało!

Wyprostował się, by wygłosić porażającą ripostę, nie zdołał jednak znaleźć właściwych słów i po kilku próbach, zupełnie jakby chciał zebrać je z powietrza, poddał się.

- Eech, idźcie i zobaczcie sami, ja i tak zmarnowałem już dość czasu.

Odszedł, z całej siły otwierając wahadłowe drzwi pchnięciem wózka. Dwaj sanitariusze wymienili spojrzenia i wrócili do stojącej otworem karetki.

Tylny przedział był pusty. Na podłodze pozostało tylko coś szarego.

- Poszedł sobie i nie zabrał płaszcza - zauważył niższy z mężczyzn.

\*

Sprzedawczyni w drogerii była zirytowana. Gdyby miała do czynienia z uczniakiem, cóż, po uczniaku mogła spodziewać się czegoś podobnego. Ale to przecież dorosły mężczyzna i to wcale nie najmłodszy. Stał zwrócony do niej plecami; od razu zauważyła, że

ubranie wyglądało, jakby w nim spał, a woń - no nie, nie przypominała smrodu bezdomnych, była zupełnie inna, ale równie nieprzyjemna - słodkawy zapach trochę jak... wołała o tym nie myśleć. A potem się odwrócił. Ta twarz! Boże, zupełnie jakby pokryto ją szarą farbą. A oczy? Przekrwione i opuchnięte. To musiał być makijaż sceniczny. Po co komu jednak charakterystyka tak wcześnie rano? Bóg jeden wie. Przypuszczała, że to pewnie jakiś dowcip, ale zupełnie jej nie śmieszył. I sposób, w jaki ów człowiek grzebał na półkach, jakby nie do końca panował nad swymi ruchami. Stracił na podłogę mnóstwo rzeczy, i wówczas krzyknęła na niego, ale została za ladą. Czy coś zabrał? Pewnie tak, trudno orzec przy tym chaosie na podłodze - pudry, szminki, podkłady. Z całą pewnością nie zamierzała gonić za nim, by sprawdzić. Ucieszyła się, kiedy wyszedł chwiejnym krokiem. Można by pomyśleć, że jest pijany, dopiero za trzecią próbą udało mu się przejść przez drzwi. Po namyśle uznała, że był umysłowo chory.

\*

- Czy on był umalowany? - spytała dziewczyna w kasie biletowej, zwracając się do koleżanki.

Mężczyzna o pomarańczowo-różowej twarzy i soczystości czerwonych wargach oddalał się chwiejnie w stronę peronów.

- Mam nadzieję, że o ten bilet mu chodziło. Trudno stwierdzić, gdy ktoś nie mówi. Popatrz tylko.

Podala jej wymięty skrawek papieru, który wcisnął jej mężczyzna. Napisano na nim ołówkiem tylko jedno słowo: Paryż.

\*

W Paryżu wcześniej spadł deszcz, teraz jednak świeciło słońce, w ciepłych promieniach chodniki parowały. Dziecko pociągnęło niecierpliwie matkę za rękę.

- Spójrz, mamusiu, spójrz na to! - Lecz mamusia była zbyt zajęta pogawędką z przyjaciółką, toteż ciągnięta naprzód dziewczynka sama obejrzała się w tył.

Ponownie spojrzała na dziwną figurę. To musiał być pomnik, choć miał na sobie zwyczajne ubranie i stał pod drzewem, a zwykle nie stawia się tam pomników - Ale w ogóle się nie ruszał, a twarze prawdziwych ludzi nie tak wyglądają, nie są pasiaste, jakby spływała z nich farba. Wciąż obserwowała go uważnie, gdy wraz z matką dotarły na skraj parku. Nagle sapnęła głośno, bo figura wyszła spod gałęzi i odmaszerowała sztywno w dal, jakby deszcz usztywnił jej stawy.

- Mamusiu, mamusiu, pomnik się ruszył!

- Naprawdę, kochanie? To miłe.



Jej matka uśmiechnęła się do przyjaciółki, nie patrząc za siebie. W tym wieku dzieci mają strasznie bujną wyobraźnię!

## Rozdział 21

### Napad w hotelu Continental

- Rozchmurz się - rzucił Gerald De Havilland - przynajmniej podał ci nazwisko.

- Tylko dlatego, że mnie pożałował. - Helen zgarbiła się na krześle.

Czuła się beznadziejnie. Kompletnie schrzaniła sprawę z Jakiem, nie udało jej się też spełnić prośby ojca, choć on sam uważał inaczej - na swój sposób ucieszył się, słysząc nazwisko, które podał jej Raeburn jako nagrodę pocieszenia, gdy tak stała zapłakana w kafejce: Draganu. Dziwne nazwisko, pewnie rumuńskie. Nie zdołała natomiast przekazać ojcu swej pewności, że Raeburn w jej słowach odnalazł coś, czego od dawna szukał, że niechcący dostarczyła mu ostatni brakujący element układanki. Świadczył o tym wyraz jego twarzy - ledwie skrywana radość, i triumf kogoś, na kogo spłynęło objawienie.

Połowę pokoju zalewały promienie słońca, druga połowa pograżyła się w cieniu rzucanym przez pomarańczową zasłonę, przesłaniającą w połowie drzwi balkonowe. Zasłona kołysała się lekko w powiewach wiatru. Na łóżku walały się ubrania i najróżniejsze drobiazgi.

- Co to jest, u licha?

Wskazała ręką dziwną figurkę przypominającą dziecięcą rzeźbę, przedstawiającą ptaka o niemal kolistym ciele i absurdalnie małej główce odstającej od tułowia niczym dzióbek imbryka. Posążek pomalowano na jaskrawożółty kolor, nakrapiany czarno. Był wyraźnie ręcznej roboty.

- To moja perlica - oznajmił z dumą ojciec. - Sztuka prymitywna z Afryki. Podoba ci się?

- Niespecjalnie - przyznała Helen.

Podniosła figurkę, która okazała się niezwykle ciężka. Z bliska było widać, że musiał ją spotkać poważny wypadek - całe ciało pokrywały cieniutkie pęknięcia, jakby posążek stłuczono i pracowicie sklejono z powrotem.

- Ostrożnie - rzucił ojciec - jest bardzo delikatna. Daj mi ją.

Nagle Helen zrozumiała, że ojciec się pakuje. Na podłodze leżała otwarta walizka, inna, już zamknięta, stała z boku przykryta płaszczem.

- Wyjeżdżasz dokąd?

Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz słowa uwięzły jej w gardle, bo w tym momencie ojciec zabrał płaszcz, odsłaniając ową walizkę.

Widziała ją już wcześniej: lśniący metal o pokrytej symetrycznymi wgnieceniami powierzchni; w takich fotograficy noszą sprzęt.

Ojciec dostrzegł wstrząs malujący się na jej twarzy i podążył za wzrokiem córki. Potem spojrzeli sobie w oczy, przez długą chwilę milczeli skrępowani. Przerwał im głos dobiegający z drzwi.

- Ja to wezmę, jeśli można.

To był Macintosh Raeburn, zarumieniony i podekscytowany. W dłoni trzymał mały, czarny pistolet i wpatrywał się w lśniąca walizkę.

- Połóż ją na łóżku i otwórz. Chcę mieć pewność, że biorę, co trzeba. I żadnych sztuczek.

De Havilland posłał mu wściekle spojrzenie i dźwignął walizkę na łóżko. Szybko przesunął zatrzaski i uniósł wieko.

Wnętrze wyściełała szara pianka, w której wycięto dwa zagłębienia. W większym, po prawej stronie, spoczywała kolekcja ciemnych, metalowych części, przypominających jednocześnie wnętrzości zegara i szkielet zwierzęcia. W drugim połyskiwał kryształ wielkości małego kurzego jaja.

- Przykro mi, stary druhu - powiedział Raeburn z udaną serdecznością - ale nie możesz się skarżyć. Sam też nie zdobyłeś tego w sposób legalny.

Machnął pistoletem, nakazując De Havillandowi i Helen, by odeszli od łóżka. Gdy ruszył naprzód, wzrok Helen przyciągnął nagły ruch za plecami ojca. Pomarańczowa zasłona, która wcześniej kołysała się w powiewach wiatru, odsunęła się gwałtownie i do pokoju wtargnęła dziwaczna postać. Jej twarz pokrywał pomarańczowo-różowy podkład, który częściowo spłynął, odsłaniając ołowianoszarą skórę, usta wysmarowano szminką. Całość przypominała sztywną maskę, poza oczami, upiornie żywymi i złowrogimi. W prawej dłoni intruz trzymał długi nóż o cienkim ostrzu. Dopiero po sekundzie Helen pojęła, że to ten sam człowiek, który tak bardzo przeraził ją na schodach przed mieszkaniem ojca.

Przez sekundę nikt się nie poruszył. Potem Raeburn skoczył ku walizce i chwycił ją, zatrzaskując po drodze. De Havilland, który obrócił się w stronę intruza, próbował powstrzymać Raeburna. W tym momencie postać pod oknem zamachnęła się na niego nożem. Klinga utkwiała w fałdach płaszcza na ramieniu. Helen z krzykiem skoczyła naprzód, widząc, jak ojciec osuwa się na ziemię. Za plecami usłyszała trzaśnięcie drzwi, Raeburn zniknął; pozostała sam na sam z człowiekiem, którego jej ojciec już raz zabił.

\*

Gdy mężczyzna wyszedł z hotelu, Jake trwał pogrążony niemal w półśnie. Przez całe wieki - tak przynajmniej to odczuwał - krążyli ulicami wokół hotelu Continental w czarnym maserati. Ciepłe promienie słońca przenikały przez szyby. Spięta Zoë w milczeniu kręciła kierownicą, czekając na jakiś sygnał. A potem zadzwonił jej telefon. Przez chwilę słuchała, po czym zatrzymała się przy krawężniku nieopodal hotelu, lecz nie zgasiła silnika. Minutę czy dwie później z drzwi wyłonił się mężczyzna. Odwrócił się od nich i ruszył naprzód szybkim, urywanym krokiem kogoś, kto udaje, że mu się nie spieszy. W dłoni niósł błyszczącą stalową walizkę. Jake natychmiast rozpoznał go od tyłu - był to ten sam człowiek, którego widział na aukcji, ten sam, który rano rozmawiał z Helen w kafejce - wzdrygnął się na to wspomnienie: jej tak zwany zalotnik-dżentelmen.

W chwili gdy Zoë ruszała spod krawężnika, Jake odkrył, że zastanawia się przelotnie, czy dane mu będzie kiedyś ujrzeć twarz rywala. A może nie ma twarzy? - pomyślał wciąż jeszcze trochę senny. Nagle ów człowiek, zamiast iść dalej naprzód, zanurkował w alejkę z boku hotelu. Zoë przyspieszyła i z głośnym piskiem opon skręciła za nim. Jake, czując nagłe szarpnięcie, musiał przytrzymać się drzwi i deski rozdzielczej.

Alejką była krótka i dość szeroka, najwyraźniej przeznaczona dla śmieciarzy opróżniających rzędy stalowych kubłów ustawionych po jednej stronie. Nad nimi schody przeciwpożarowe opadały z wyższych pięter hotelu zygzakowatą serią stopni i podestów. Dalej sterczała ślepa ściana. Przez moment Jake sądził, iż tamten znalazł się w pułapce. Potem jednak ujrzał wąskie przejście z boku, dostępne wyłącznie dla pieszych.

I wówczas zdarzyło się coś, co nieodparcie kojarzyło się ze snem. W chwili gdy mężczyzna przechodził pod schodami przeciwpożarowymi, coś dużego runęło nań z góry. Dopiero po paru sekundach Jake zrozumiał, że to inny mężczyzna. Ten z walizką zachwiał się i padł na ziemię, drugi przywarł do niego. Jake ujrzał błysk wzniesionego noża, który opadł gwałtownie z brutalną siłą. Zoë jeszcze przyspieszyła, zupełnie jakby zamierzała przejechać ich obu. Zamiast tego jednak w ostatniej chwili skręciła fachowo, zatrzymując się w poślizgu, i otworzyła drzwi. Przez sekundę Jake ujrzał przed sobą nieruchomą scenę przedstawiającą dwóch walczących mężczyzn, obramowaną niczym obraz otworem drzwi. Obaj unieśli głowy i patrzyli na nich zaskoczeni.

Człowiek z góry wyglądał dziwnie, jego twarz pokrywała jakby farba, pomarańczowe smugi na zmianę z szarymi. Jednak uwagę Jake'a przyciągnął drugi z walczących - w końcu ujrzał twarz swego rywala i okazało się, że zna ją doskonale i że należy ona do osoby, której zupełnie nie spodziewał się ujrzeć w paryskiej alejce. Wydał cichy

okrzyk. Zoë wyciągnęła rękę, chwyciła walizkę i wciągnęła do samochodu, rzucając mu ją na kolana. Ostra krawędź wbiła się w udo Jake'a. Potem Zoë szybko zatrzasnęła drzwi i zreżnie zawróciła w stronę wylotu alejki. Ale w chwili gdy kończyła manewr, usłyszeli ciężki łoskot z tyłu. Jake odwrócił się i ujrzał groteskową, pasiastą twarz, przyciśniętą do tylnej szyby. Zoë wymamrotała coś pod nosem, gwałtownie nacisnęła pedał gazu. Maserati skoczyło naprzód i w tym momencie zahamowało tak ostro, że niemal stanęło na dwóch kołach. Niezgrabna postać przeleciała nad dachem, przez moment mignęła im przed oczami, odbijając się od maski, i poleciała na bok. Zoë ponownie przyspieszyła.

Dopiero gdy z powrotem znaleźli się na ulicy, Jake zdołał otrząsnąć się z pierwszego wstrząsu.

- Ten człowiek... to był...

- Nie teraz, Jake - przerwała mu uspokajającym tonem Zoë.

Pochyliła się w stronę Jake'a, obejmując go ramieniem, jej twarz znalazła się bardzo blisko, jakby chciała go pocieszyć. Potem poczuł silny ucisk palców na szyi i stracił przytomność.

## Rozdział 22

### Zawartość stalowej walizki

Jake ocknął się gwałtownie. Siedział w dużym skórzanym - fotelu w ciemnym pokoju. Okna przesłaniały rolety. Dopiero po chwili zorientował się, że nie jest sam. Naprzeciwko niego siedziała Zoë i obserwowała go uważnie.

- Cześć, Jake, przepraszam, że cię uśpiłam. Uznałam, że w tych okolicznościach to najlepsze rozwiązanie. Wyglądałeś, jakbyś przeżył straszny wstrząs.

Jake szarpnął się gwałtownie. Przed oczami stanęły mu oderwane sceny, zniekształcona, rozmyta twarz przyciśnięta do tylnej szyby samochodu, ciało odbijające się od maski - czy kogoś przejechali? Nie, ciało leciało, spadało ze schodów przeciwpożarowych wprost na mężczyznę ze stalową walizką. Mężczyznę, którego śledzili. Teraz sobie przypominał. Dwaj mężczyźni walczący na ziemi, widoczni przez drzwi samochodu, patrzący na niego...

- Ten człowiek w alejce, ten z walizką...

Zoë obserwowała go uważnie, zachęcając wzrokiem, by mówił dalej, aż doszedł do zupełnie nieprawdopodobnego wniosku.

- Ja go znam albo przynajmniej tak mi się wydaje. Tyle że to niemożliwe...

Spojrzał na nią, prosząc wzrokiem o wsparcie. Zachęcająco kiwnęła głową. Odetchnął głęboko, po czym rzekł zaskoczony swoim opanowaniem:

To był pan Macintosh, mój nauczyciel angielskiego. Zoë patrzyła beznamiętnie, podpierając dłońią podbródek.

- Ale to przecież nie ma sensu - dodał Jake.

Jeszcze chwilę czuł na sobie jej wzrok, w końcu zdawało się, że podjęła decyzję.

- Może zdołam ci to wyjaśnić - oznajmiła.

Wstała i wyszła z pokoju. Jake rozejrzał się. Pomieszczenie było duże, z oknami wychodzącymi na trzy strony, przesłoniętymi roletami. Przez trochę przejrzysty materiał dostrzegął, że na zewnątrz wciąż świeci słońce. Jego promienie przenikające przez tkaninę nabierały brązowawej barwy zmierzchu. Poza fotelami w pokoju stał jedynie stół, na którym leżała otwarta stalowa walizka. Jake zawahał się i podszedł do niej. We wnętrzu wyściełanym

szarą gąbką ujrzał znajomy kształt maszyny alchemika oraz duży kryształ.

Przyglądał się jej przez chwilę z niepokojem połączonym z nagłą ulgą. Mimo zawodu, jaki sprawiła mu machina - zaśmiał się, przypominając sobie, jak kiedyś sądził, że zrobi na niej majątek - w jej obecności nie potrafił uwolnić się od złowrogiego lęku. Być może morderstwo Stephena Langtona podsycało jeszcze to uczucie. Stąd ulga na myśl, że teraz w końcu machina na dobre zniknie z jego życia, wróci do swego prawowitego właściciela, kimkolwiek był. Przypuszczał, że ostatecznie wyląduje gdzieś w muzeum. Może pewnego dnia uda się tam i przypadkiem ujrzy niezwyklej eksponat, który przywoła wspomnienie tej chwili w mrocznym pokoju.

Czy naprawdę o to w tym wszystkim chodziło? O odzyskanie eksponatu muzealnego? Ponownie przypomniał sobie Zoë w maserati. To, jak fachowo skręciła i zatrzymała się w poślizgu, spokój i precyzję, z jaką chwyciła walizkę - szybko i bezlitośnie. Czy w ogóle przejęła się faktem, że tuż przed jej oczami jeden człowiek mordował drugiego? Gdy w kawiarni opowiadała o tym, jak poważnie niektóre kraje traktują swą kulturę i dziedzictwo, chodziło o umowy, ugody, naginanie prawa, odzyskiwanie cennych przedmiotów, nie o dramatyczne kradzieże wykonywane z ściągniętą wojskową precyzją. I to, co później zrobiła z jego szyć, to, jak uśpiła go błyskawicznie. Helen wspominała, że spotkała ją to samo. Powoli zaczął podejrzewać, że Zoë musi być kimś więcej niż zwykłą agentką Departamentu Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

I gdzie się w ogóle podziewała? Wrócił do fotela, ale nie usiadł. Z pokoju wychodziło dwoje drzwi, po lewej te, za którymi zniknęła Zoë, i drugie, po prawej. Zastanawiał się właśnie, czy warto je obejrzeć, gdy otwarły się i w promieniach słońca ujrzał ciemną sylwetkę, która natychmiast z kimś mu się skojarzyła. Sekundę później, kiedy usłyszał znajomy, zmysłowy głos, wiedział już z kim.

- No no, witaj, Jake.

Ze zdumieniem wpatrywał się w ciemną postać, kaskadę kruczoczarnych włosów opadających na ramiona.

- Panna Wilbright! - wykrztusił z niedowierzaniem.

A potem kobieta weszła do pokoju, szybkim ruchem ręki zdjęła perukę. I znów ujrzał Zoë.

- Ty, ale co... jak...?

Na widok jego konsternacji zaśmiała się przyjaźnie.

- Prawdę mówiąc, dziwię się, że nie zauważyłeś tego wcześniej. Choć dowodzi to tylko prawdziwości moich słów co do przebrania w połączeniu z otoczeniem. W londyńskim

mieszkanu Geralda De Havillanda spodziewasz się ujrzeć jego kochankę. Nie oczekujesz, że w Paryżu za kierownicą maserati ujrzysz nauczycielkę sztuki. Podobnie jak nie przypuszczasz, że w alejce za hotelem Continental ktoś zaatakuje twojego nauczyciela angielskiego - dodała z powagą.

- Nic nie rozumiem. - Jake pokręcił głową.

- Macintosh Raeburn, czy też pan Macintosh, bo pod takim nazwiskiem go znałeś, to ktoś, na kogo od dawna mieliśmy oko.

Jake zauważył użytą liczbę mnogą, przywodzącą na myśl dodającą otuchy wizję potężnej organizacji.

- Tak wiele pracy wywiadowczej - Zoë zauważyła reakcję Jake'a na to słowo i obdarzyła go lekkim uśmiechem - opiera się na obserwacji właściwych ludzi. Tych, których zachowanie może stać się sygnałem ostrzegawczym. Wielkie wydarzenia zawsze poprzedzają miliony małych wskazówek, nagłych zmian rutynowych zachowań u ludzi, którzy wiedzą, co się zbliża. Problem w tym, by szukać we właściwych miejscach. W tej sprawie - skinieniem głowy wskazała stalową walizkę - wiedzieliśmy, że musimy pilnować Macintosha Raeburna. To pisarz mający obsesję na punkcie thaumatofanu - to właściwa nazwa urządzenia, które nazywasz machiną alchemika Ruggiera. Z czasem Raeburn stał się jednym z największych na świecie specjalistów w tej materii. Gdyby działo się cokolwiek z nią związanego, z pewnością wiedziałby o tym pierwszy. Kiedy zatem w tajemniczych okolicznościach zawalił się dom Ruggiera, a w pobliżu odnaleziono obraz znany ze swego znaczenia dla okultystów - *Sekret Alchemika* - byliśmy bardzo zainteresowani reakcją naszego przyjaciela. Dlatego gdy usłyszeliśmy, że zatrudnił się w twojej szkole, bardzo nas to zaniepokoiło.

- Prawdę mówiąc - wtrącił Jake - najpierw próbował coś zdziałać u Helen, ale mu się nie udało.

- Naprawdę? Oczywiście tylko wasze nazwiska pojawiły się w gazetach. I przypuszczam, że do Helen miał bliżej, bo w rzeczywistości mieszka w Toskanii. Wyprawy do Szwajcarii nie uznaliśmy za nic nadzwyczajnego, ale przenosiny do Glasgow i udawanie nauczyciela... to już zauważyliśmy.

- I pojechałaś za nim?

Uśmiechnęła się.

- Chcieliśmy wiedzieć, dokąd nas doprowadzi. Nie był wielką rybą, ale mógł stać się przynętą pozwalającą ją schwytać.

- To ten piątek, prawda? - Jake wreszcie zrozumiał. - Pytał mnie o Stephena Langtona



i wtedy wkroczyłaś. Co ze mną zrobiłaś?

- Przepraszam za to, ale musiałam wiedzieć, co dokładnie powiedział. To standardowa technika, rodzaj hipnozy.

- Zatem w ten sposób dowiedziałaś się, jak trafić do Silk House. Ja ci powiedziałem.

Znów się uśmiechnęła.

- Zdołałam wyprzedzić Macintosha Raeburna dzięki temu, że w ów piątek trochę go - hm, spowolniłam.

Tym razem jej uśmiech miał w sobie sporo złości i Jake przypomniał sobie pogłoski łączące tę dwójkę.

- Niestety przyjechałam za późno. Jak już mówiłam, Stephen Langton nie żył.

Jake zebrał siły i powtórzył pytanie, które zadał jej już w kawiarni. Jeśli nie była to Zoë, a przyjechała przed Macintoshem...

- Kto w takim razie zabił Stephena Langtona?

- W tej chwili jestem niemal pewna, iż uczynił to mężczyzna, którego widziałeś dziś w alejce, ten, który zaatakował Raeburna. Nazywa się Negulescu, to sługus człowieka nazwiskiem Draganu, mojej wielkiej ryby.

- Tu nie chodzi o starożytne zabytki, prawda? - Już w chwili gdy wymawiał te słowa, poczuł się absurdalnie.

Zoë jednak nie zaśmiała się, zamiast tego spojrzała na niego z namysłem.

- Chodzi o jeden szczególny zabytek: thaumatophan.

- Co to takiego?

Zaśmiała się dziwnie.

- W tej kwestii nikt nie ma pewności. Może nikt nigdy nie był pewien.

- Ale przecież ten, kto go zrobił...?

- Nie wiemy, kto go zrobił ani w jakim celu. A i to, do czego był zdolny, odkrywano jedynie stopniowo. Z początku było to coś zupełnie niewinnego, tak głośną wszelkie relacje. Może dlatego, że ci, którzy go używali, także byli niewinni. Po jakimś jednak czasie spowił go cień. Najwyraźniej między wolą użytkownika i działaniem urządzenia powstawała niezwykła więź. Wszystko to jest bardzo niejasne i zagmatwane. Wydaje się jednak, iż mamy tu klasyczny przykład władzy korumpującej tych, którzy się nią posługują. Niektórzy spekulowali nawet, że chodzi o coś w rodzaju lasera, tyle że skupiającego nie światło, lecz w jakiś sposób energię ludzkiej woli. Przerażająca wizja.

- Zatem to broń?

Zoë wzruszyła ramionami.

- Jak już mówiłam, nikt do końca nie wie. Ale czy istnieje coś, czego nie można użyć jako broni? Niestety w tej dziedzinie ludzka pomysłowość nie zna granic. Z całą pewnością nie chcielibyśmy, by urządzenie trafiło w nieodpowiednie ręce.

- Na przykład tego Draganu?

Przytaknęła.

- Draganu to ostatni człowiek na świecie, który powinien posłużyć się thaumatophanem.

- Kto to?

- Co do tego pytania... - Uśmiechnęła się ponuro, jakby opis owego człowieka przekraczał jej możliwości. - W dzisiejszych czasach udaje emerytowanego biznesmena i kolekcjonera sztuki. Bardzo wspierał dawny rumuński reżim, lecz dysponuje pieniędzmi, za które można kupić ogólną amnezję, toteż obecnie nikt o tym nie wspomina. W przeszłości odgrywał różne role, naprawdę jednak zasłynął jako adept czarnej magii. Znaczący uważają go za najpotężniejszego maga w Europie. To człowiek z rodzaju tych, którzy zawsze krążą na orbicie władzy. Może zdziwiłbyś się, słysząc, jak wielu przywódców - nie tylko tępych dyktatorów - fascynuje się okultyzmem. Przyciąga ich obietnica pewności, pragnienie kontrolowania wszystkiego. Draganu bywał blisko wielu ważnych ludzi, polityków i biznesmenów. To niezwykle niebezpieczny człowiek.

Jake zerknął na stalową walizeczkę, czując jeszcze większą ulgę, że jej zawartość zniknie w końcu z jego życia.

- Pewnie więc ucieszyłaś się, że zdobyłaś to pierwsza. - Wskazał głową walizkę.

Zoë zaśmiała się smutno.

- Owszem, cieszyłam się, póki nie odkryłam swojej pomyłki.

Jake przyglądał jej się bez słowa.

- Machina to kopia, fałszywka zrobiona z plastiku, kamień to szklany duplikat z domu aukcyjnego.

- Ale... kto...?

- Najwyraźniej człowiek, który miał je od początku. Ojciec twojej dziewczyny, Gerald De Havilland.

Jake poczuł się jak ktoś, kto właśnie wygramolił się z bagna i nagle czuje, jak ziemia ustępuje pod nim, powoli, bezlitośnie wciągając go z powrotem.

- Dlatego właśnie chciałabym zapewnić sobie twoją współpracę jeszcze przez jakiś czas, Jake. Chciałabym, byś zadziałał w moim imieniu. Musimy powstrzymać Geralda De Havillanda przed popełnieniem największego błędu: sprzedażą maszyny Draganu.

Oczyrna duszy Jake ujrzał samego siebie wraz z Zoë przybywającego na spotkanie gdzieś w Paryżu. Byłby tam ojciec Helen i sama Helen, zastanawiająca się, jaką on odgrywa w tym rolę, ze zdumieniem słuchająca prawdziwej historii maszyny z jego ust.

- Tak, oczywiście - rzekł.

- Jest jednak pewna komplikacja.

Podprowadziła go do okna i dramatycznym gestem uniosła roletę. Na środku rozległego, skąpanego w promieniach słońca trawnika stał niewielki samolot, przypominający lśniącą, nowoczesną rzeźbę, bardzo piękny i dość niezwykły. Miał parę małych skrzydeł po obu stronach dzioba, a główne skrzydła cofnięte niemal pod ogon. Z początku Jake pomyślał, że to odrzutowiec, potem jednak dostrzegł silniki zamocowane tył naprzód, ze śmigłami z tyłu.

- De Havilland i jego córka odlatają właśnie z lotniska Orły do Stambułu. Jeśli mamy ich dogonić, też musimy polecieć.

- Super! - rzucił Jake.

\*

Gdy wystartowali, Jake miał ochotę się uszczypnąć. Wszystko to przypominało film sensacyjny: odepchnięty przez dziewczynę bohater ściga ją prywatnym samolotem pilotowanym przez piękną kobietę. Z najwyższym trudem zwalczył chęć uśmiechnięcia się od ucha do ucha. Trzeba uczciwie przyznać, że Helen zostawiła u swej kuzynki Agnes informację, dokąd się wybiera, a także pieniądze na bilet lotniczy. Jake jednak z ogromną przyjemnością oznajmił przez telefon, że nic nie szkodzi, sam sobie poradzi. A potem skupił się na oglądaniu francuskich wsi widocznych w dole niczym na wielkiej, barwnej mapie. Gdy jednak wznieśli się wyżej, po jakimś czasie nieziemskie piękno skąpanych w promieniach słońca chmur zaczęło go nudzić i zasnął.

Kiedy znów się ocknął, powitała go niewiarygodna scena widoczna za oknem kokpitu. W chmurach otworzyła się przypominająca wir okrągła dziura, ziejąca wprost przed nimi. Ściana chmur była ciemna i groźna, lecz na jej skraju promienie zachodzącego słońca załamywały się, malując poszarpane krawędzie ognistą czerwienią. Zupełnie jak brama piekieł, pomyślał Jake, gdy samolot pochylił się, zmierzając wprost w stronę wiru.

Nagle runęli w dół i tylko pas Jake'a utrzymał go w fotelu. Obok siebie widział Zoë mocno ciągnącą manetkę. Bardziej poczuł, niż usłyszał reakcję silników. Oczy miał szeroko otwarte, usta także, tak mocno, że bolała go szczęka. Zdawało mu się, że krzyczy, ale nie słyszał własnego głosu.

I nagle wszystko ustało - trwało zaledwie parę sekund, choć wydawało się

wiecznością. Samolot wyrównał lot. Zoë zerknęła na Jake'a, bladego i wstrząśniętego, siedzącego obok z dłońmi zaciśniętymi na poręczach.

- Przepraszam, dziura powietrzna. Nic ci nie jest?

Jake zszokowany, niezdolny wydusić słowa, pokręcił głową, choć w istocie czuł się bardzo źle, bo gdy samolot runął, przed oczami zamiast całego życia stanęła mu tylko wizja, jedna myśl, niczym pierwszy sygnał zwiastujący katastrofę:

Macintosh zaczął pracę w Listopadzie.

A po niej następna.

Panna Wilbright zjawiała się w szkole po październikowych feriach.

Wynikał z tego jeden nieunikniony wniosek: nie mogła przyjechać za Macintoshem, była na miejscu przed nim.

Od początku chodziło jej właśnie o Jake'a.

## Rozdział 23

### Helen w Bizancjum

Helen przeciągnęła się na hotelowym łóżku. Gdyby usiadła, przez zwiewne firanki ujrzałaby wody Bosforu, po których krążyło mnóstwo statków żeglujących po Morzu Czarnym i dobijających do portu w Stambule. Świadomie odłożyła przyjemność zwiedzania do rana, wiedząc, że jest zbyt zmęczona, by cokolwiek docenić. Ojca wyraźnie ucieszyła jej decyzja, miał parę własnych spraw do załatwienia. Nie było go teraz, składał wizytę tajemniczemu panu Palaeologu. Nie określił dokładnie, kiedy wróci. Zapewne chodziło o klienta, któremu miał nadzieję sprzedać maszynę. Chętnie zaczęłaby na niego całą noc, gdyby oznaczało to, że w końcu pozbyli się owego przeklętego znaleziska. Tymczasem nie wiedziała, co ze sobą począć, nie miała ochoty wstawać, lecz jednocześnie nie była jeszcze śpiąca. Może coś poczyta.

Myśl ta przyniosła ze sobą wspomnienie książki Sophie i dziwne uczucie. Helen była pewna, że już ją oglądała, może nawet więcej niż raz. Niczego więcej sobie jednak nie przypominała. Lecz nie wątpiła, że gdy tylko otworzy tomik, wszystko do niej wróci. Dziwne mrowienie, niczym lekki wstrząs elektryczny, które poczuła w palcach, gdy tylko dotknęła książki, wydało jej się znajome. Tak, czuła to już wcześniej. A co dalej? W języku, w którym napisano tę książkę, było coś niezwykłego, nie pamiętała dokładnie co. Otworzyła ją w losowo wybranym miejscu i bez patrzenia przesunęła palcami po stronie.

Była gdzieś wysoko, patrzyła w górę. Z ciemnoszarego nieba opadały płatki śniegu. Czuła chłód, lecz gdzieś z dołu promieniowało ciepło. Ostra woń wypełniła jej nozdrza, zadrapała w gardle. Czy to mgła, czy może dym? Była ciasno związana, nie mogła poruszyć ręką, nogą ani ciałem - jedynie głową. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że znajduje się na platformie z jednej strony placu zamkniętego z trzech pozostałych rzędami wysokich budynków. Cały plac wypełniali ludzie, tłumy ludzi większe niż na balkonach, z których w mroźnym powietrzu zwisały smętnie długie proporce.

Miała wrażenie, że czeka na decydującą chwilę - okres spokoju przed nagłym śmiertcionym ruchem, gwałtownym i groźnym niczym pchnięcie miecza.

Spojrzała w dół i ujrzała go: wysokiego młodzieńca w jaskrawoblękitnym kapeluszu.

Patrzył na nią z fascynacją i przerażeniem. Wszystko inne wyblakło, zszarzało, pozostał tylko młodzieniec, bezradny, zafascynowany. Helen miała wrażenie, że coś wywleka ją z miejsca, w którym przebywa, że przenosi się w sposób, którego nie umiała zrozumieć. Zamieniła się w skoncentrowaną wiązkę energii płynącą wprost ku oczom młodego mężczyzny. Jednocześnie dostrzegała wszystko, co ją otaczało: platformę za sobą (teraz widziała, że wokół wzniesiono dymiący stos), wielki tłum przelewający się na placu, budynki z proporcami, ołowianoszare niebo. Widziała to wszystko jednocześnie, nie z jednego miejsca, lecz idealnie wyraźnie. Czas zwolnił bieg, jedna krótka chwila - ujrzała mężczyznę w tłumie, który właśnie kichał, jego oczy powoli otwierały się szerzej, usta odchyłały bezwładnie, niewiarygodnie wolno - trwała całe wieki. Odnosiła wrażenie, jakby znalazła się w odrębnym czasie, może w ogóle nie w czasie, i mogła spokojnie przyjrzeć się wszystkiemu.

Ogarnęło ją ogromne poczucie wyzwolenia, jedności ze wszechświatem, jak gdyby mogła w ułamku sekundy dotrzeć na sam koniec uniwersum. A potem pojawił się gwałtowny wstrząs, niczym zderzenie z murem, moment ślepoty i zamętu, i odkryła, że patrzy na płonący w górze stos. Widziała mężczyznę, przywiązanego do słupa, bezwładną nieruchomą postać wiszącą bez życia w chmurze dymu. Przez moment obraz ten rysował się jasno przed jej oczami, a potem rozpląnął w roziskrzoną mgiełkę.

Siedziała w ogrodzie, w cieniu drzewa. Było gorąco. Czowała, że minął czas, wiele czasu, lecz nic się nie działo. Miała wrażenie odcięcia od świata, widziała go, lecz nie docierał do niej żaden dźwięk, żaden zapach. Zupełnie jakby tkwiła uwięziona w komorze z grubego, czystego szkła. Zjawiała się służąca z tacą, stara kobieta odziana w czerń, z dzieckiem trzymającym się spódnic. Ustawiła tacę na stole. Na tacy stał srebrny kubek, butelka czerwonego wina, bochenek chleba i kawał sera. Ze znużeniem kobieta napełniła kubek i zaczęła łamać chleb na niewielkie kawałki. Dziecko obserwowało wszystko zafascynowane. Następnie kobieta ukroiła wąski klin sera, owinęła chlebem i umieściła kęs w spoczywającej na stole dłoni.

Helen obserwowała dłoń z obojętną ciekawością, jakby zauważyła ją po raz pierwszy. I nagle uświadomiła sobie, że dłoń ta należy do niej, czy też do osoby, której oczami spoglądała na świat. Kobieta zagięła ręce wokół chleba i sera i ostrożnie uniosła dłoń. Gdy raz zaczęła, ręka podążyła dalej, sięgając do ust, które przyjęły jedzenie i zaczęły je przesuwac. Helen wyczuwała jedzenie jedynie jako ruch mięśni, nie odbierała żadnego smaku. Po kilku kolejnych kęsach do ust powędrował kubek z winem. Helen poczuła w ustach i gardle płyn, nic poza tym. Wszystko to wyglądało na rutynową, wielokrotnie powtarzaną czynność. Ogarnęło ją ogromne znużenie i frustracja.

Siedziała pod tym samym drzewem, w tym samym ogrodzie, w wiecznym upale. Lecz teraz tę samą tacę i kubek podało jej dziecko, z którego wyrosła dojrzała kobieta. Służąca traktowała siedzącą osobę niczym posąg - niekończące się powtarzanie tych samych czynności zniszczyło jakiekolwiek poczucie ludzkiej wspólnoty. Po dokonaniu rytuału Helen oczekiwała, że kobieta zabierze tacę i odejdzie. Zamiast tego tamta usiadła, obserwując ją ciemnymi, pełnymi namysłu oczami. Jej twarz miała wyraz jak u kogoś, kto szykuje się do podjęcia niezwykle ważnej decyzji. Po jakimś czasie wstała z krzesła i zaczęła krążyć wokół. W końcu odeszła nie w stronę domu, lecz ku niewielkim drzwiom prowadzącym do wysokiego, otaczającego ogród muru. Uniosła rygiel i otworzyła drzwi, w których natychmiast stanęli trzej mężczyźni.

Wyglądali na marynarzy, a na dodatek mieli w sobie coś niebezpiecznego, coś, co natychmiast kojarzyło się z korsarzami. Jeden z nich wręczył służącej sakiewkę pełną monet. Pozostali dwaj ruszyli w stronę drzewa. Helen dostrzegła, że obaj mają marynarskie kordy, a jeden dodatkowo zwój liny. Poczula, że chwytają ją za łokcie i podnoszą. Jeden z mężczyzn pochylił się ku niej i przemówił, widziała jednak tylko ruchy jego ust, nie słyszała żadnych dźwięków. Ostrze kordu skaleczyło ją w gardło. Za jej plecami drugi mężczyzna majstrował przy linie. Kobieta gawędząca przy bramie z człowiekiem, który dał jej pieniądze, oglądała się nerwowo przez ramię w stronę domu i ruchem ręki zachęciła ich do pospiechu.

Teraz płynęła łodzią, była noc. Leżała wyciągnięta na plecach w płytkim zagłębieniu, patrząc w górę. Na aksamitnym niebie migotały gwiazdy. I gdy tak patrzyła, poczuła, jak coś porusza się gdzieś w jej wnętrzu. Jakby coś od dawna uspiętego powoli się budziło. Poczucie bezgranicznego zmęczenia ustąpiło miejsca czujności. Była świadoma ogromnego wysiłku woli, kolosalnej energii od dawna skrzepowanej i uwolnionej w końcu w jednym konkretnym celu. Lękała się, iż kruche ciało nie będzie miało dość sił, by ją utrzymać. Drżało i dygotało jak drażnione prądem elektrycznym. Nagle usiadła.

Słyszała morze.

W sali wyciosanej w ogromnej nadmorskiej jaskini, na pysznym barbarzyńskim tronie z kości słoniowej i malowanego drewna, wysadzonym niewprawnie szlifowanymi klejnotami zasiadał mężczyzna. Tron był olbrzymi, lecz mężczyzna ów wypełniał go bez reszty. Sam sprawiał wrażenie giganta, szeroki w barach, o potężnej piersi, ogromnej głowie obramowanej długimi, kruczoczarnymi lokami i rozłożystą, kędzierzawą brodą. Wielki, mięsisty nos przypominał zakrzywiony dziób drapieżnego ptaka, szeroko rozstawione oczy były ciemne i okrutne. Wyglądał na człowieka o ogromnym apetycie, nie był jednak tępym osiłkiem. W jego mrocznych oczach kryła się przebiegła mądrość. Wyraźnie ucieszył go

widok więźnia.

Po chwili mężczyzna wstał i zaczął krążyć tam i z powrotem, gładząc długą brodę i od czasu do czasu zerkając na bok w nadziei, że dostrzeże jakąś reakcję. Po jakimś czasie zaczął mówić przyjaznym, konfidencjonalnym tonem.

- Ci durnie z Ferrary spalili jedynie pustą powłokę. Nie widzieli uciekającej duszy i nie zgadli, dokąd trafiła. Ale ja widziałem i zgadłem, choć z początku nie wierzyłem, że to możliwe. Byłem wówczas chłopcem, przypadkowym przybyszem z zagranicy, drepczącym śladem ojca, uczącym się zawodu kupca. Jakież przypadek poprowadził mnie na ów plac? Coś mnie tam przyciągało. Albanus - największy mag tamtych czasów, tak powiadali. W nim ożył duch wielkiego Michała Szkota. Wówczas były to dla mnie tylko nic nieznaczące imiona. Zastanawiałem się jednak, pragnąłem dowiedzieć się więcej. Od tego dnia aż do dziś upłynęło pięćdziesiąt lat. Pięćdziesiąt lat, które poświęciłem na poszukiwania ciebie i przygotowania do tej chwili. Nauka nie odpowiada mi, jestem człowiekiem czynu. Bardzo wczesnie przekonałem się, że piraci stosują lepsze metody prowadzenia interesów niż kupcy tacy jak mój ojciec. Po co płacić za coś, jeśli można to wziąć siłą i przewagą woli. Obecnie moje imię znane jest na całym Morzu Śródziemnym. Lecz przez cały ten czas prowadziłem podwójne życie, bogactwa me wydaję na księgi, poznaję wielu uczonych. Jakże zadrzeliby mędrcy z Bolonii i Salamanki, gdyby wiedzieli, z kim mieli do czynienia. - Zaśmiał się gromko, a jego śmiech odbił się echem od sklepienia jaskini. Mężczyzna przyspieszył kroku, wymachując rękami. - Ale teraz, teraz przechodzimy do rzeczy. Teraz w końcu drzewo zrodzi owoce. - Przystanął nagle i przysunął do niej swą twarz. - Nie sądz, że jestem głupcem. Znam swoje ograniczenia. Nie mogę liczyć na to, że cię pokonam mimo mej siły woli. Jeśli się złączymy, to wyłącznie za twoją zgodą, wybór należy do ciebie. Przez pięćdziesiąt lat tkwiłeś uwięziony w ciele, z którym nic nie możesz zrobić, ciele o umyśle nieodwracalnie zniszczonym. Ja proponuję ci wolność w zamian za współpracę. Czy przyjmiesz ofertę?

Helen poczuła głęboki brak zgody wewnątrz siebie, dysonans, niczym współbrzmienie dwóch niepasujących do siebie nut.

- Nie!

- Tak!

Przez chwilę dwie potężne siły zmagaly się w idealnej równowadze. Po jednej stronie wielka nieufność i podejrzliwość, niechęć przekazania choćby odrobiny kontroli. A pod nią głęboka studnia smutku, jak u kogoś, kto, nieustannie żałuje błędu popełnionego dawno, dawno temu. Ujrzała przed sobą skąpaną w słonecznych promieniach górską łąkę, wyblakłą niczym stary obraz. *A zatem ty wyjeżdżasz, Michale. Do Paryża?* Druga strona zgodziła się z



podejrzliwością i nieufnością, lecz wkrótce pojawiła się ogromna fala tęsknoty za działaniem, życiem. Więzień musi czuć coś takiego, gdy po długim wyroku przez moment doświadczy wolności. Musimy skorzystać z tej szansy, nieważne, co się stanie. Kolejna się nie nadarzy.

Przez jakiś czas obie siły zmagaly się i żadna nie przeważała. Potem powoli, jakże powoli, smutek ustąpił miejsca żądzy życia.

\*

Helen wzdrygnęła się i obudziła gwałtownie, wiedząc, że jeszcze przed momentem musiała drzemać. Gdzie właściwie była? Rozejrzała się zaskoczona, chłonąc wzrokiem nieznane otoczenie. Oczywiście to pokój hotelowy nad Morzem Czarnym. Przyjechali do Stambułu.

Wstała i przeciągnęła się. Po raz pierwszy dostrzegła, że za oknem dzień chylił się ku końcowi. Czuła zamęt w głowie. Jak długo spała? Otworzyła drzwi balkonowe, wpuszczając do środka powiew rzeńskiego wiatru. Miło byłoby przed snem przejść się nad morzem.

Na zewnątrz zapanowała czarodziejska noc. Gwiazdy nad głową wydawały się większe i jaśniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Znad brzegu dochodziła woń smażonych ryb.

„Wiesz, czasami w pracy marzyłam o czymś takim” - oznajmił z australijskim akcentem wyraźny kobiecy głos.

Na morzu kołysały się boje nawigacyjne, rubinowa i szmaragdowa, znakujące wejście do kanału. Helen odetchnęła głęboko i westchnęła z zadowoleniem. Mimo późnej pory na ulicy wciąż dostrzegła kilka osób siedzących w drzwiach bądź prowadzących z ożywieniem długie rozmowy. Nieopodal wejścia do hotelu, przy krawężniku stał wielki, stary samochód, niezwykle wysoki z małym tylnym okienkiem, jak w powozie. Szyby jednak miał przyciemniane, a długie okna części pasażerskiej przesłaniały rolety.

Wyglądał zupełnie jak samochody, z których niegdyś korzystała brytyjska rodzina królewska. Helen wyobraziła sobie, jak taki wóz przejeżdża przez bramę pałacu Buckingham. Przeszła obok, podziwiając łuki i linie proste, długi stopień, a nad nim krąg koła zapasowego, wysklepiony reflektor, płaska, żebrowana osłona chłodnicy. Uderzył ją brak jasnych elementów. Nawet części, które zwykle bywały chromowane bądź mosiężne, zrobiono z ciemnego, wypolerowanego metalu. Wszystko to sprawiało, że samochód wyglądał dość złowieszczo. Wrażenie to podkreślał jeszcze klakson: długa, węzowo skręcona tuba zakończona lśniąca czarna trąbką w kształcie głowy węża z szeroko rozwartą paszczą. Przesunęła palcem po chłodnym, gładkim metalu. Spodobałby się Jake'owi, pomyślała z ukłuciem smutku, i nagle zapragnęła gorąco, by przyjechał i znów wszystko było jak kiedyś

we Florencji. Tylko ich dwoje, chłopak i dziewczyna, bawiący się świetnie we wspaniałym mieście. Bez dodatkowych, skomplikowanych uczuć i problemów, które towarzyszyły im w Paryżu.

Gdy tak szła obok samochodu, nagle odniosła wrażenie, że wokół niej pojawiło się więcej ludzi. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą nie było nikogo, teraz zebrał się tłumek. Wszyscy zdawali się kłócić i przekrzykiwać, debata z każdą chwilą stawała się coraz gorętsza. Helen słyszała podniesione głosy. Idący z boku ludzie zatrzymywali się, blokując chodnik, zagradzając jej drogę, ci z tyłu napierali na nią. Uwięziona w ścisku usłyszała za sobą dziwne mechaniczne kasznięcie, a następnie serię krótkich, rytmicznych syknięć. Zastanawiając się, co to, odwróciła głowę i ujrzała wielki czarny samochód. Jechał wprost ku niej, bardzo blisko krawężnika. A gdy się zbliżył, tylne drzwi otwarły się szeroko niczym wielka ręka sięgająca ku niej. Jednocześnie poczuła, jak ludzie napierają na nią, unoszą na stopień i wpychają w ciemność. Drzwi zatrzasnęły się i samochód odjechał.

## Rozdział 24

### Opowieść Zoë

Od chwili lądowania Jake szukał tylko okazji do ucieczki. Uznał, że w samolocie zdołał ją nabrać, że wzięła jego zdenerwowanie za skutek zetknięcia z dziurą powietrzną. Później nie przeszkadzało jej specjalnie jego milczenie - może po prostu była zbyt zajęta pilotowaniem. Gdy znaleźli się nad Stambułem i Jake ujrzał w dole fantastyczne sylwetki minaretów i kopuł na tle ciemnoniebieskiego wieczornego nieba, poczuł się jak ktoś przeniesiony w jedną z baśni z tysiąca i jednej nocy. Nawet na ziemi w bardziej nowoczesnym i prozaicznym otoczeniu budynków lotniska, szeregu czekających taksówek i nieustannie trąbiących samochodów wciąż wyczuwał lekko złowieszczą, magiczną atmosferę miasta. To było naprawdę obce miejsce, nie jak Paryż - tam bez wahania przy najbliższej sposobności rzuciłby się do ucieczki, zniknął w tłumie, skręcił w boczną uliczkę, zaryzykował pewien, że wkrótce zdoła nawiązać kontakt ze światem, który doskonale rozumie, w którym czuje się bezpieczny. Tu jednak, w labiryncie ulic i wąskich alejek, czuł, że tuż pod nowoczesną powierzchnią czai się zupełnie inne, starożytne miasto. Ostatecznie to właśnie był niegdysiejszy Konstantynopol, ostatni bastion imperium rzymskiego, a wcześniej starożytne, tajemnicze Bizancjum. W tym mieście, sięgającym korzeniami dwadzieścia siedem stuleci w przeszłość, można wejść w zwykłe drzwi i zniknąć w mroku dziejów.

Co gorsza, teraz Zoë zwracała na niego znacznie większą uwagę i najwyraźniej zorientowała się, że coś go gnębi.

Jake starał się zachować pogodną minę, ale nie szło mu to zbyt dobrze. A ona zerkała na niego i odwracała wzrok. Jej twarz miała zamyślony wyraz. Próbował rozerwać się, wyglądając przez okno. Stambuł wieczorem tętnił życiem. W kawiarenkach na chodnikach roiło się od klientów, ulicami przelewały się fale samochodów (nieustannie trąbiących). I wszędzie połyskiwały neony: zielone, niebieskie, czerwone i białe. Taksówka wlokła się w korku. Zoë raz jeszcze rozejrzała się wokół i najwyraźniej podjęła decyzję - powiedziała coś do kierowcy, który nieco dalej zatrzymał się przy kawiarni.

- Chyba musimy porozmawiać - oznajmiła, prowadząc Jake'a do stolika. Szybko złożyła zamówienie.

Jake powiódł wzrokiem po ulicy pełnej sklepów, barów i kawiarni pękających w szwach od ludzi. Gdyby ukrył się w sklepie, czy zdołałby się porozumieć? Mnóstwo z tych ludzi wyglądało na turystów, niektórzy musieli znać przecież angielski. Nie po raz pierwszy pozazdrościł Helen talentu językowego. Po przeciwnej stronie dostrzegł duże skrzyżowanie, dobre miejsce do zgubienia pościgu. Gdyby tylko zdołał zdobyć plan miasta...

- Planujesz ucieczkę? - spytała Zoë, siadając naprzeciwko.

- E? Nie, wcale nie - odparł niezręcznie Jake. - Niby po co?

- Bo zorientowałeś się, że przybyłam do twojej szkoły przed Macintoshem, zatem nie mogłam go śledzić? - spytała z uśmiechem.

Jake gapił się na nią z otwartymi ustami, niezdolny ukryć swych uczuć czy nawet przemówić.

- Pamiętasz Londyn? Helen założyła, że jestem kochanką jej ojca. Jak ci mówiłam, najłatwiej przyjąć tożsamość, która narzuca się innym. Wówczas odpowiadała ci wersja, że śledzę Macintosha, toteż się jej trzymałam.

- A teraz? - wykrztusił w końcu Jake.

- A teraz będę musiała powiedzieć ci coś innego - Zoë roześmiała się lekko - bo tamto nie trzyma się już kupy.

Jej lekki ton nieprzyjemnie uraził Jake'a. Nie tego się spodziewał. Zoë pociągnęła łyk kawy, patrząc na niego z miną matki próbującej rozbawić nadąsanego synka.

- Nie traktuj tego tak poważnie, Jake. Nie jesteśmy przecież kochankami. Jeśli cię to pocieszy, wszystko to należy do moich obowiązków służbowych.

- To kim jesteś teraz? - spytał gorzko Jake. - Byłaś nauczycielką sztuki, potem czyjaś kochanką, potem kimś z Departamentu Kultury i Dziedzictwa Narodowego, potem tajną agentką.

Ponownie wybuchnęła śmiechem.

- Niezła lista, co? Choć muszę ci powiedzieć, że to jeszcze nic w porównaniu z innymi moimi kłamstwami - oznajmiła błogo. - Krótko mówiąc, pracuję w wywiadzie, zbieram informacje.

- O czym? - wtrącił Jake.

- Problemem nie jest „o czym”, Jake, tylko „jak”. Aby zdobyć informacje, najcenniejsze informacje, trzeba zbliżyć się do ludzi i to bardzo, tak by sami wyznali ci swe sekrety nie wiedząc, z kim mają do czynienia. Pracuję pod przykrywką, Jake. Wiesz, co to oznacza? Nie chodzi tu o przebieranki i kostiumy, choć także ich używam. To oznacza życie w kłamstwie. Dosłowne życie, bo ludzie, do których próbujesz się zbliżyć, zabiliby cię, gdyby

wiedzieli, kim jesteś naprawdę. Oto czym się zajmuje, Jake.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Jake odpowiedział kamiennym spojrzeniem, nie był jeszcze gotów znów jej zaufać.

- Do kogo zatem próbujesz się zbliżyć? - spytał ostro.

Przez chwilę obserwowała go zamyślona. Czy tym razem zamierzała powiedzieć prawdę, czy po prostu przygotowywała kolejne kłamstwo?

- Zapewne nie możesz mi powiedzieć - prychnął - bo w ten sposób byś się zdradziła.

- Uwierzyłybyś mi, gdybym powiedziała?

- Sprawdźmy.

Na moment przygryzła dolną wargę, niezdecydowana.

- No dobrze - rzekła. - Draganu. - Zawiesiła głos. - I nie próbuję się do niego zbliżyć, już jestem blisko. Szczerze mówiąc, jestem jednym z jego najbardziej zaufanych pomocników.

- Co takiego?

- To ja powiadomiłam go o wydarzeniach w Forcalquier zeszłego lata: niewyjaśnionym zniszczeniu domu Ruggiera, odnalezieniu obrazu *Sekret Alchemika* i oczywiście zniknięciu Aureliana Pounce'a, znanego okultysty. To ja podsunęłam mu myśl, że być może znaleziono thaumatophan i że właśnie od ciebie można by się dowiedzieć czegoś więcej.

Jake wpatrywał się w nią oniemiały.

- Ale... ale czemu? - wykrztusił w końcu.

- Żeby to mnie powierzył zadanie odszukania go.

Jake dalej nic nie rozumiał.

- Draganu jest stary, znacznie starszy, niż ktokolwiek podejrzewa, i bliski śmierci. Ale to mag i ma... - zawahała się, jej twarz wykrzywił grymas bólu - ma plan awaryjny, sposób pozwalający oszukać śmierć. Niemal jedyną rzeczą, która mogłaby go zachęcić do opóźnienia działania, jest perspektywa zdobycia thaumatophanu. Dla niego czekałby - czeka - wiele miesięcy.

Patrząc na nią, Jake nie wątpił, że tym razem Zoë mówi prawdę. W jej oczach dostrzegł głęboki przejmujący smutek.

- Widzisz piękno całego planu i niebezpieczeństwo? Skusić go jedyną rzeczą, której nie wolno mu dać. Jedyną rzeczą, dla której zaryzykuje wszystko, nawet własne życie, a potem zwlekać, zwlekać, aż...

Jej dłonie poruszyły się w nagłym geście, klaśnięciu oznaczającym ostateczny koniec,

Jake'a przeraził wyraz twarzy Zoë - wyraz złowrogiego triumfu.

- Ty go naprawdę nienawidzisz? - spytał wstrząśnięty.

Spojrzała na niego, nie umiał odczytać, co kryją jej oczy. Gniew, ból, żal? Potem odparła z prostotą:

- Odpowiada za śmierć mojej matki.

Długą chwilę Jake milczał, przetrawiając to, co usłyszał.

- I dlatego zgłosiłaś się na ochotnika?

Spojrzała na niego pytająco, a potem jakby wróciła z dalekiej podróży.

- Zgłosiłaś się - powtórzył Jake - do tego zadania.

- A tak - odparła lekko - oczywiście, dlatego to zrobiłam. I wszystko szło świetnie, póki Macintosh Raeburn nie wydedukował tego samego co ja i nie podążył tym samym tropem.

Nagle Jake'owi przyszła do głowy straszna myśl.

- Ale skoro pracujesz dla Draganu, a Draganu kazał zabić Stephena Langtona, czy nie jesteś...

- Odpowiedzialna za jego śmierć? Tak, w pewnym sensie jestem, choć nie wiedziałam nic o Negulescu, póki nie dotarłam do Silk House. Myślę, że mój brak postępów zaczął irytować Draganu.

- On cię podejrzewa? - wtrącił Jake z niepokojem.

- Nie przypuszczam, przynajmniej jeszcze nie. Bo widzisz, dopisało mi szczęście. De Havilland musiał już wcześniej zabrać mechanizm thaumatophanu i Negulescu go nie znalazł. A ja mogłam w Paryżu poinformować Draganu, że właśnie po niego idę. Pamiętasz ten telefon z kawiarni? A potem... no wiesz, co się stało potem.

- A co byś zrobiła, gdybyś... gdybyś zdobyła prawdziwą maszynę?

- Przypuszczam, że zwlekałabym z jej dostarczeniem. On i tak żyje już pożyczonym czasem. Przy odrobinie szczęścia połączenie podniecenia i zwłoki mogłoby okazać się śmiertelne.

- A co zrobisz teraz?

- Ach. - Jej mina sprawiła, że Jake poczuł niepokój. - Tu właśnie liczyłam na twoją pomoc. Gdybyśmy zdołali ponownie zamienić kryształy, toby wystarczyło - thaumatophan bez Kamienia jest bezużyteczny. Musimy mieć nadzieję, że Gerald De Havilland jeszcze go nie dostarczył, choć nie wiem, jakim cudem mógłby zdążyć. Przybyli na miejsce z niewielkim wyprzedzeniem, a dobiecie targu wymaga czasu.

Jake odetchnął głęboko, starał się zachować trzeźwość umysłu. Czy naprawdę mógł

jej zaufać? Historia zabrzmiała przekonująco. Zoë otwarcie przyznała, że go oszukała i dlaczego, a to, co mówiła, brzmiało bardzo prawdopodobnie. Przy okazji wyjaśniła mu kilka rzeczy.

- Czego ode mnie chcesz? - spytał. - Mamy adres hotelu, mogłabyś mnie tam podrzucić, a ja zobaczyłbym, co się da zrobić.

Zoë ściągnęła wargi i przekrzywiła głowę, rozważając jego słowa. W końcu podjęła decyzję.

- Nie - oznajmiła stanowczo - to zbyt ryzykowne, musimy zachować ostrożność. Najpierw rekonesans, oczywiście jeśli zechcesz.

Dla jej spojrzenia był gotów zgodzić się na wszystko.

## Rozdział 25

### Audiencja

Pomruk ucichł i Helen ocknęła się, dziwnie niezainteresowana tym, gdzie jest i jak się tam znalazła. Myślała tylko, że jest coś, co koniecznie musi zrobić. Usiadła.

Znajdowała się w pokoju, nie do końca ciemnym, lecz oświetlonym wyłącznie jasnym blaskiem księżyca za oknem. Leżała w łóżku, ubrana w obcą koszulę nocną z ciężkiego jedwabiu. Spuściła nogi i poczuła pod stopami dywan z koziej skóry. Podeszła do okna; resztę podłogi wyłożono zimnymi płytkami. Przekonała się, iż pokój znajduje się na najwyższym piętrze. W dole widziała skąpany w srebrnym blasku skos dachu, a dalej wierzchołki wysokich drzew.

Podbiegła do drzwi, otworzyła je i bez wahania skręciła w lewo. Znów nawiedziło ją znajome, przejmujące uczucie, że śniła o czymś, choć nie mogła sobie przypomnieć żadnych szczegółów. Tym razem wrażenie było nieco inne - tym razem czuła, iż sen wiązał się z tym, co robi teraz, z tym, dokąd idzie. Co więcej, była pewna, iż wszystkie jej ostatnie sny dotyczyły tego samego. Jeśli będzie szła dalej, odkryje, o co chodzi.

Droga, którą wędrowała, okazała się skomplikowana i kręta. Helen pokonywała korytarze pogrążone w księżycowym blasku i głębokich cieniach. Po bokach pod ścianami dostrzegała niewyraźne zarysy dziwnych mebli, skrzyń, komód i rzeźbionych kredensów. Na ścianie wisiały masywne zwierzęce głowy, sterczące dumnie pomiędzy kotarami i obrazami w ciężkich ramach. Czasami schodziła, częściej jednak wspinała się po kolejnych schodach. Ani razu nie zawahała się, choćby przez moment. Wygląda na to, że idę na sam szczyt domu, pomyślała. Czuła się dziwnie obojętna, oderwana, jakby obserwowała inną dziewczynę i czuła lekką ciekawość, dokąd tamta zmierza.

W końcu znalazła się w stromym, wiodącym w górę korytarzu. Na podłogę padały na przemian pasma światła i cienia. Wyrzawszy przez okno, Helen przekonała się, że znalazła się ponad poziomem dachu, najwyraźniej w łączniku między budynkami. Po drugiej stronie korytarz zamykały wysokie, dwuskrzydłowe drzwi, w których wyrzeźbiono osobliwe symbole. Jedno skrzydło było lekko uchylone. Przystanęła. Drzwi miały w sobie coś uroczego, głęboką powagę, jak gdyby za nimi kryło się rozwiązanie wielkiej tajemnicy.



Czuła, że przyciągają ją, jednocześnie jednak bała się pójść dalej. Wcale nie zdziwiłoby ją, gdyby nagle usłyszała muzykę - może fragment *Czarodziejskiego fletu*...

Zamiast tego jej uszu dobiegły głosy. Za drzwiami ktoś szeptał cicho. Szept ów brzmiał dziwnie bezcieleśnie, wydawał się wisieć w powietrzu, nie dobiegać z ludzkich ust.

Ustał niemal natychmiast, gdy go usłyszała. Stała jednak bez ruchu jeszcze chwilę, nastawiając uszu. Wokół jednak panowała przejmująca cisza. W końcu Helen ostrożnie ruszyła do drzwi. Były tak uchylone, że akurat mogła wcisnąć się do środka.

Po drugiej stronie odkryła ze zdumieniem, że znalazła się na otwartym powietrzu. Stała na skraju płaskiego dachu, a przed nią wznosiła się niezwykła konstrukcja: płytki kopuła przypominająca odwrócony spodek, podtrzymywana po bokach przez serię otwartych luków. Wewnątrz ujrzała gęsty las smukłych filarów, spowitych lśniąca mgiełką. Dopiero po sekundzie Helen zorientowała się, że w istocie są to warstwy przezrystej tkaniny, kołyszące się w ciepłym nocnym powietrzu, chwytające i rozpraszające promienie księżyca. Pośrodku budowli płonęło jądro miękkiego światła, łagodny, złocisty blask niczym niewielki, uwięziony w sieci księżyc.

Helen przekradła się pod łukiem i między migoczącymi woalami. Niemal natychmiast znów usłyszała ów szept. Wydawał się dobiegać z powietrza nad jej głową, ze wszystkich stron jednocześnie, nie z jednego źródła. Posadzka pod jej stopami była przyjemnie zimna. Helen spojrzała w dół i przekonała się, iż zdobią ją bogate wzory, choć w blasku księżyca barwy zdawały się przytłumione i wyblakłe. Pośrodku kopuły otwierała się kolistą przestrzeń pozbawiona zasłon i kolumn. W jej sercu ustawiono niezwykle łoże z baldachimem, przypominające skomplikowany namiot zrobiony z wielu warstw tego samego zwiewnego materiału. Skupienie cieni pośrodku sugerowało czyjąś obecność - przygarbionej, przysadzistej sylwetki podobnej do wielkiego ula. W powietrzu wisiała woń kadzidła.

Na stoliku przed namiotem ustawiono staroświecką lampę oliwną, zamkniętą w kuli z matowego szkła. Lampa rzucała krąg światła wokół stołu. Wyglądało to niczym barwny fragment jednokolorowej ryciny. Obok na blacie spoczywała wielka księga w zielonej oprawie oraz coś w rodzaju rysunku. Przed stolikiem, na podłodze (teraz Helen widziała kolory - głęboką zieleń, czerwień i błękit) ułożono grubą, złotą poduszkę. Wydało jej się najnaturalniejszą rzeczą na świecie, że powinna podejść i usiąść na niej. Szept umilkł, jej głowę wypełniła przenikliwa cisza. Woń kadzidła stała się jakby mocniejsza.

- *Witaj* - przemówił głos.

Był naprawdę niezwykły, melodyjny i miły dla ucha, lecz jego tembr... zupełnie jakby spleciono w nim dwa głosy, nie jeden. Podobnie jak szept zdawał się dochodzić z powietrza,

choć nie zewsząd wokół - z przodu i góry, jakby ktoś stał nad nią po drugiej stronie stołu.

- *Spójrz na obrazek* - polecił.

To był szkic na pergaminie, nakreślony rdzawobrązowym tuszem, niewiarygodnie wprawną ręką. Przedstawiał bajeczne stworzenie, coś w rodzaju smoka o nietoperzych skrzydłach, węzowym ogonie i orlej przedniej części ciała. Zakrzywiony dziób otwierał się szeroko, na głowie spoczywała wysoka, zębata korona. Stwór stał na szczycie smukłej kolumny, ściskając w szponach jej zwieńczenie.

- *Narysował go Leonardo Da Vinci. Nosi tytuł Szkic fantastycznego stworu, w istocie jednak przedstawia posąg. Takie szczegóły są ważne.*

Głos umilkł, pozwalając Helen ochłonąć.

- *Książka na stole* - otwórz ją.

Pochyliła się nad stolikiem i otworzyła księgę, nie ruszając jej z miejsca, była na to zbyt ciężka. Kartki pokrywało dziwne pismo; domyśliła się, że to arabski.

- *Frontysepis.*

Helen przewróciła strony. To była fotografia, staroświeckie szare zdjęcie pozbawione tła. Przedstawiało tę samą kolumnę z tym samym dziwnym stworzeniem na szczycie.

- *Czytasz po turecka?*

- Nie takie pismo - odparła, miała jednak wrażenie, że przez jej usta przemawia ktoś inny.

- *Tytuł tej książki brzmi Tajemnica podziemnego pałacu. To rzadkie dzieło opublikowane w Stambule w dziewiętnastym wieku i niemal natychmiast zniszczone. Jego autor został skazany na śmierć. Yerebatan Sarayi - podziemny pałac - to w istocie olbrzymi zbiornik zbudowany tysiąc pięćset lat temu, czerpano z niego wodę do pałaców Bizancjum. Lecz samo miejsce jest znacznie starsze, niegdyś mieściła się tam świątynia. Zbiornik wybudowano nie tylko po to, by gromadzić wodę, ale by móc zatopić świątynię. Ale ludzie wkrótce o tym zapomnieli. W istocie przez jakieś sto lat nie pamiętali nawet o istnieniu samego zbiornika. Potem odkryto go ponownie i z czasem zaczął budzić coraz większe zainteresowanie, aż w końcu zbyt wścibski autor tej książki posunął się nieco za daleko w swych rozważaniach. Natychmiast zabroniono wejścia do wnętrza zbiornika, a gdy w końcu otwarto go ponownie, ponad jedna czwarta została zamurowana i pozostaje taka po dziś dzień.*

Helen przyglądała się rysunkowi i zdjęciu, starając się połączyć je z wydarzeniami, które ją tu doprowadziły.

- Co to jest? - spytała w końcu.

- *Co to jest?* - powtórzył głos niczym echo. - *Istotnie, co to?*

Miała wrażenie, że naradza się sam ze sobą.

- *To coś, co było już stare w czasach młodości tych, których dziś nazywamy starożytnymi. Było stare, nim jeszcze Mojżesz wyruszył z Egiptu. To pierwsza rzecz i ostatnia. Pierwsze i największe dzieło znane naszej rasie. Ostatni i kto wie, może najmniej ważny istniejący ślad po wielkiej rasie, która żyła tu przed nami. Może najmniej ważny.*

Z cienia dobiegł ją dziwny, cichy śmiech.

- *Pomysł o tym, Helen.* - Zauważyła, że wypowiedział jej imię. Miała wrażenie, że powinno ją to zaskoczyć. - *Może ów cud, którego szukałem przez całe wieki, jest w porównaniu z tym, co mogło przetrwać, niczym więcej niż zegarkiem kieszonkowym, a za dziesięć tysięcy lat jakiś członek nowej, prymitywnej rasy znajdzie go na pustyni, która niegdyś była Europą. Co wówczas pomyśli? Jak umysł prymitywnego człowieka zinterpretuje zwykły zegarek kieszonkowy, który uważamy za coś oczywistego, stary mechanizm, który popadł w nieład wyparty przez kryształy kwarcu i baterie elektryczne? Czyż nie poczuje nabożnego podziwu, znajdując coś niewątpliwie będącego wytworem ludzkich rąk, lecz jednocześnie tak bardzo przekraczające wszystko, co widział dotąd? Może uzna to za dzieło bogów, świętość, której należy oddawać cześć, i pomyśli, iż próby zrozumienia go to grzech. Coś tak cudownego nigdy nie mogło służyć celom zrozumiałym dla zwykłych śmiertelników.*

I gdy tak mówił, Helen ujrzała w umyśle tę scenę - obszarpaną postać na piaskach, które pogrzebały Florencję, Paryż, Londyn. W chudych, brązowych palcach połyskiwał przepiękny zegarek.

Kiedy głos znów się odezwał, nie mówił już jednak o wyobrażonej przyszłości i zegarku, lecz prawdziwej przeszłości i przedmiocie, który już w czasach pierwszych faraonów wydawał się niewiarygodnie stary.

- *Gdy Byzys przybył z Megary i założył nową kolonię, tak jak to poleciła wyrocznia delficka, to już na niego czekało, zamknięte w kamiennej kolumnie. W trakcie uczy uderzył piorun; kamień pękł, odslaniając posąg. Platon oglądał go i podziwiał jego starość, twierdząc, iż wcześniejszy jest od Troi. Arystoteles stwierdził, że metal, z którego go zrobiono, nie zdradza żadnych oznak wieku bądź zniszczenia. Aleksander, uczeń Arystotelesa, odbył specjalną pielgrzymkę, by go zobaczyć, i jedynie z wielkim trudem przekonano go, żeby nie zabrał posągu. W późniejszych czasach jego sekret zaginął, brutalne dłonie wyrwały kryształowe serce. Niejaki Licyniusz bez pozwolenia rozmontował mechanizm i sporządził szczegółowe rysunki wszystkich części. Za bezczelność tę zapłacił życiem. Nie było to najmądrzejszym posunięciem ze strony władz, które dopiero po fakcie odkryły, że nie mają*

*nikogo, kto potrafiłby z powrotem złożyć mechanizm. Sądzone, iż rysunki zostały zniszczone dawno temu, tak się jednak nie stało. Jakiś partacz, którego nazwisko nie przetrwało, z powrotem nieudolnie złożył mechanizm. Lecz na długo przed wojnami ikonoklastów, gdy z pewnością by ją zniszczono, świątynia została zatopiona i zapomniana w głębinie Yerebatan Sarayı.*

Słuchając głosu, Helen widziała przed oczami kolejne sceny. Gdy umilkł, jakiś czas siedziała w milczeniu, zadziwiona. W końcu spytała cicho:

- Kim jesteś?

- *Wiesz już, kim jestem.*

Tym razem przemówił inny głos i natychmiast przypomniała sobie starca, jednocześnie łagodnego i przebiegłego, w pokoju na poddaszu Paryża, wiele wieków temu.

- *Myślałem, że ja jestem mistrzem, a on uczniem* - rzekł ze smutkiem.

Potem odezwał się inny głos.

- *Patrzyłem na niego z litością!*

Jednocześnie na moment przed jej oczami stanął ulotny obraz młodego mężczyzny, niewiele więcej niż chłopca, o pociągłej, wrażliwej twarzy pod jaskrawobłękitnym kapeluszem. Potem wydało jej się, że jedna z części pierwotnego, podwójnego głosu odłączyła się i przemówiła sama.

- *Wiem, jak to jest być młodym i samotnym z powodu własnej mądrości.*

Ujrzała chłopca pobierającego nauki przy stole, pochylonego nad księgami. Chłopca o jasnych oczach.

- *I wiem, jak to jest odrzucić zwyczaj ludzi.*

Na skraju trawiastej doliny dziewczyna z powagą żegnała się z chudym młodzieńcem. *A zatem wyjeżdżasz, Michale. Do Paryża?* Helen miała wrażenie, że widziała już kiedyś to wszystko. Ale gdzie? Podwójny głos znów się odezwał.

- *Moja książka przemawia tylko do bratnich umysłów.*

Niebieska książka, oczywiście - zobaczyła ją tak wyraźnie, jakby trzymała ją w dłoni. Ale skąd ją wzięła? Nie mogła sobie przypomnieć. Poruszona - przyciągana? - nagłą ciekawością wstała i podeszła do przejrzystych zasłon. Z bliska woń kadzidła wydawała się mocniejsza, nie do końca jednak przesłaniała inny, słodkawy zapach. Helen widziała wewnątrz ciemną sylwetkę, przygarbioną, potężną. Jej dłoń zadrżała. Zmusiła się, by chwycić tkaninę i odciągnąć na bok.

Wśród góry jedwabiu ujrzała wielką głowę, zupełnie jakby ktoś odciął ją i złożył w tym miejscu. Ciemne, twarde, kędzierzawe włosy okalały twarz o skórze przejrzystej niczym

wosk i zamkniętych oczach. Grube, mięsiste wargi miały dziwnie trupa barwę. Wielki, haczykowany nos sterczał dumnie. Wszystko to było tak groteskowe, tak bardzo przypominało woskową figurę, iż przyglądała się postaci bez lęku. Poza tym twarz wyglądała znajomo. Dopiero po chwili rozpoznała stwardniałe od starości rysy. Widziała przed sobą głowę przywódcy piratów z morskiej jaskini, który zawarł układ z Albanusem i uwolnił go z więzienia ciała.

A potem powieki zadrżały lekko, podniosły się i Helen ujrzała oczy.

Były to najniezwyklejsze oczy, jakie dotąd widziała - niewiarygodnie wielkie, rozszerzone w półmroku źrenice sprawiały wrażenie bezdennej głębi. Tęczówki były niemal pozbawione barwy, niczym czysta woda bądź diament. Promieniowała z nich potężna wola i żywotność, ostro kontrastujące z martwą twarzą. Helen nigdy wcześniej nie czuła tak wyraźnie, że istnieje duch oderwany od ciała. Przez długą chwilę nie mogła oderwać wzroku, jakby spojrzenie tych oczu przyciągało ją. W końcu powieki opadły i wrażenie minęło.

Przez sekundę twarz pozostała w bezruchu. Potem wstrząsnął nią skurcz, nozdrza zadrżały, wargi się poruszyły. Helen usłyszała świst wciąganego powietrza, cofnęła się, wypuszczając zasłonę. Nim jednak ta opadła, powieki znów się uniosły, jakby po długim śnie, ukazując ciemne, złośliwe, przepelnione wrogością oczy. Odwróciła się i uciekła, o mało nie wywracając się o stół i lampę, ścigana upiornym potokiem słów, ochrypłych, wilgotnych, wstrętnych słów w języku, którego na szczęście nie rozumiała. Nim jednak dotarła do drzwi, pojęła, że nikt jej nie ściga. W gniewnym głosie dźwięczała bezradna wściekłość starca przeganiającego z ogrodu dzieci. Gdy tak biegła boso korytarzem i skąpanymi w blasku księżycy przejściami, nie czuła lęku, jedynie niezwykle podniecenie.

*Moja książka przemawia tylko do bratnich umysłów. Wiem, jak to jest - być młodym i samotnym z powodu własnej mądrości.*

Helen siedziała na łóżku w ciemnym pokoju, wciąż podekscytowana. Zapomniała o upiornym widoku budzącej się głowy. Pamiętała tylko moc promieniującą z owych diamentowych oczu, fascynację, jaką niósł ze sobą głos, trafiający do miejsc w jej duszy, do których nie dotarł nikt inny, nadający kształt tęsknotom, które, jak sądziła, czuła tylko ona.

*Wiem, jak to jest odrzucić zwyczaj ludzi.*

Czyż nie pragnęła właśnie tego? Odrzucić rolę Helen De Havilland, dziedziczki fortuny skazanej na nudne, konwencjonalne życie. Odrzucić samą siebie, równie łatwo jak wyrzuciła z pociągu szkolny mundurek. Wyobraziła sobie ciotki zebrane w jej pokoju i patrzące z niemym zdumieniem na pustą, zgniecioną powłokę, leżącą na łóżku niczym wylinka węża.

Ujrzała samą siebie z zupełnie odmiennej perspektywy. Widziała swoje ciało tak, jak widziałyby je one, zwykłą powłokę, tymczasowe schronienie, niczym samochód, którym podróżujemy przez jakiś czas. Jej tożsamość także stanowiła czysty przypadek, efekt zasiedlenia akurat tego ciała w tym akurat czasie. Poczucie wolności było niczym haust zimnego, rześkiego powietrza. Wszystko, co uważała za najtrwalsze, najbardziej krępujące i niezdnośne, rozplynęło się niczym dym. Czy raczej to, co ją krępowało, nie stanowiło już części jej samej, oderwała się od tego wszystkiego, pozostawiła siebie niczym łódź bezpiecznie przycumowaną do brzegu, by zanurzyć się w odmętach morza.

Przez moment ujrzała siebie wśród bezkresu oceanu, lecz nie samą - przed nią tańczyły postaci z czystego światła, ciągnące za sobą ogony oślepiająco jasnych iskier, łączące się i rozdzielające - gromada wyzwolonych duchów, wolnych, nieśmiertelnych, wiecznych!

Rzuciła się na łóżko z szeroko rozłożonymi rękami, w pozycji całkowitego oddania. Czuła się jak kiedyś, gdy była jeszcze małą dziewczynką (zdawało się, że od tego czasu minęło tak wiele lat), gdy pozwolono jej wypić całkiem sporo świetnego szampana. Myśli przyjemnie wirowały jej w głowie, miała wrażenie, że może wzlecieć pod sufit i tańczyć po pokoju.

Długi czas leżała tak z zamkniętymi oczami, blokując zmysły, zagubiona w fantazjach o świecie, w którym wszystko jest możliwe. Byłaby niczym zewnętrzna część rosyjskiej babuszki, w której środku tkwili Albanus, Michał Szkot i stary mistrz Michała Szkota z Paryża - i kto wie ilu jeszcze, jak daleko w przeszłość sięgała owa linia. Wspomnienia, do których zyska dostęp, wiedza, którą pozna, niewiarygodna biblioteka przepelniona mądrością wieków!

Pogrążona w marzeniach powoli sobie uświadomiła, że coś czuje. Czyjaś ręka szarpała ją za kostkę, coraz mocniej potrząsała nogą.

- Wstawaj, wstawaj!

Głos brzmiał znajomo. Otoczenie - ciemna sypialnia - i zamęt panujący w głowie sprawiły, że przez moment zastanawiała się, czy z powrotem nie znalazła się w szkole i wszystko, co przeżyła, nie było jedynie cudownym snem. Bo oto przed nią stała jej współlokatorka Sophie. Helen natychmiast rozpoznała rudawe, kędzierzawe włosy i skórę niczym cukier trzcinowy, a także różnobarwne oczy. To Sophie Petrescu stała u stóp łóżka i potrząsała jej nogą. Helen usiadła, zbierając rozbiegane myśli.

- Sophie? Gdzie ja jestem? Skąd ty się,,,

- Wstawaj! Nie możesz tu zostać, musisz iść - syknęła Sophie.

- Ale co... to znaczy jak? Co ty tu robisz? - spytała w końcu Helen, zdoławszy poukładać słowa w odpowiednim porządku.

- Ja tu mieszkam.

- Mieszkasz? Ale jak...

- To dom mojego ojca.

- Twojego ojca? Pana Petrescu?

- Petrescu to nazwisko matki. On nazywa się Draganu.

Dragonu? W umyśle Helen rozbłysło światło tak jasne iż nie widziała, co właściwie ukazuje.

- Słyszałaś, co powiedziałam. Wstawaj, nie chcę cię tutaj nie chce, żebyś mnie zastąpiła. Słyszałam, o czym rozmawialiście. Najpierw ta suka narobiła mi kłopotów, a teraz ty!

- O czym ty mówisz?

- Włóż to.

Wepchnęła w dłonie Helen zwinięte ubranie.

- Nie mogłam znaleźć twoich butów, będziesz musiała wziąć te. Należą do mojej siostry.

- Nie wiedziałam, że masz siostrę.

- Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

- Nigdy o niej nie wspominałaś.

- To siostra przyrodnia.

Nie przestając mówić, zaczęła wpychać stopy Helen w pożyczone buty, poganiając ją, by ubrała się jak najszybciej. Nagle umilkła, jakby nie potrafiła dłużej powstrzymać tłumionej wściekłości.

- Ta suka kazała mi zbudzić ojca z transu. Zadzwoiła, taka słodka i niewinna, powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Jej twarz zmieniła się, wykrzywił ją dziwny grymas. Sophie zakołysała się, obejmując kolana, zawodząc jak dziecko:

- Ja nie chciałam, nie chciałam! Powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Powiedziała!

Helen wstrząśnięta tym nagłym załamaniem wyciągnęła rękę, by ją pocieszyć. Sophie wzdrygnęła się, jakby ją uderzyła.

- Nie dotykaj mnie! Jesteś taka sama jak ona. Próbujesz napytać mi biedy, zastąpić mnie. Przez nią nie odzywa się do mnie od kilku dni, przez to, co kazała mi zrobić. Powiedział, że to mogło go zabić. Wcześniej zawsze byłam jego ulubienicą, teraz nawet mnie

nie widuje. A potem sprowadza ciebie!

- Nie prosiłam o to.

- To dobrze. Możesz już odejść. Chodź za mną.

Wstrząs towarzyszący pojawieniu się Sophie i jej nagłe słowa i zachowanie całkowicie wyparły myśli o niedawnych wydarzeniach z umysłu Helen. Wróciła do rzeczywistości i znów stała się porwaną uczennicą, przed którą otwiera się niespodziewana szansa ucieczki. Podążyła za Sophie wąskim korytarzem - niezgrabnie szurając nogami w za dużych butach. Razem pokonały wiele drzwi; niektóre z nich Sophie musiała otwierać kluczem.

- Twoja siostra przyrodnia musi mieć wielkie stopy - mruknęła do pleców towarzyszki. Ta jednak jedynie uciszyła ją gniewnym gestem.

W domu panowała grobowa cisza. I gdy tak skradały się korytarzami, Helen pomyślała, że łatwiej uwierzyć, iż to sen, niż przyjąć, że rzeczywiście wszystko dzieje się naprawdę. Wędrowały okrężną drogą, w górę i w dół kolejnych schodów, zapewne po to, by uniknąć zamieszkaną częśći domu. Mimo wszystkich zakrętów Sophie nie zawahała się ani razu i Helen nagle zrozumiała, iż dzieciństwo towarzyszki musiało przypominać jej własne: samotne dziecko krążące po olbrzymim labiryncie siedziby rodowej. Obserwując smukłe plecy Sophie, poczuła gwałtowną falę współczucia. Przypomniała sobie, jak natychmiast się zaprzyjaźniły, od pierwszego spotkania. Czy Sophie też to czuła? Skradały się przez pogrążony w mroku dom niczym dzieci bawiące się w nocy. W końcu dotarły do niewielkich drzwi wiodących do ogrodu. Lecz atmosfera sennej nierzeczywistości nie znikła: nocne powietrze było ciepłe i pachnące - cieplejsze niż sam dom - a wielki księżyc w pełni, w którego promieniach kamienne ściany połyskiwały srebrem, a bluszcz na tle białych jak kość marmurowych tarasów wydawał się atramentowoczarny sprawiając, że cała scena przypominała starą rycinę.

Odwróciły się i zostawiły za sobą starannie wypielęgnowane ogrody. Wąską, krętą ścieżką przebiegły przez gęsty zagajnik - rosa z mokrej trawy przemoczyła nogi Helen. W końcu znalazły się na polanie pod wysokim murem. Stały tu staroświeckie narzędzia ogrodnicze, od dawna porzucone, oparte o rozpadające się taczki i niemal zarośnięte trawą. W cieniu muru przycupnęły pozostałości opuszczonej, zapomnianej szklarni.

- Możesz się wdrapać po szklarni. Rama jest metalowa, mocniejsza, niż się wydaje. Na górze mur wyłożono tłuczonym szkłem, ale jeżeli nakryjesz go kurtką, nic ci się nie stanie. Z drugiej strony jest dość wysoko, ale miękko, poradzisz sobie. Idź drogą w lewo, a trafisz do miasta.



Przez chwilę Helen stała w blasku księżyca, patrząc na niemal kruchą postać dziewczyny, którą niegdyś nazywała przyjaciółką. Poczula nagły przypływ tliwości i pochyliła się, by ją objąć, lecz Sophie stawiała opór i odepchnęła ją.

- Idź już.

Stały tak jeszcze chwilę, Helen wpatrywała się w pogrążoną w cieniu twarz, łaknąc reakcji, oznaki współczucia i sympatii, które z pewnością musiały gdzieś tam tkwić. Sophie stała z opuszczonymi rękami i milczała. W końcu Helen odwróciła się i wdrapała po szkielecie szklarni. Na górze przystanęła, ściągnęła krótką kurtkę i zgodnie z radą Sophie zarzuciła ją na mur. Gdy dosiadła go okraciem, raz jeszcze spojrzała w dół, ale nikogo nie ujrzała.

Helen opuściła się i zawisła na wyciągniętych rękach. Potem zeskoczyła na ziemię. Pamiętała, by nie wypuszczać z palców kurtki; teraz pociągnęła ją za sobą, w kilku miejscach rozdarta na szkle. W promieniach księżyca droga wydawała się szara. Ciekawe, która godzina, pomyślała Helen, druga, trzecia w nocy? A potem, zarzuciwszy na ramię poszarpaną kurtkę - noc była zbyt ciepła, by ją wkładać - i szurając nogami, ruszyła w stronę miasta w za dużych, pożyczonych butach.

Spacer oczyścił jej umysł, a poczucie oderwania - Helen uznała, że musiał to być efekt uboczny działania środka, którym ją odurzili - wkrótce zniknęło. Zastąpił je coraz ostrzejszy ból stóp. Z uporem parła naprzód, napawając się bólem, traktując go jako pokutę. Teraz bowiem widziała, że niesłusznie oskarżała Jake'a: to nie on zdradził nazwisko Stephena Langtona, uczyniła to sama w swym dzienniku, który Sophie ukradła, w rozmowach w cztery oczy. Biedny Jake, pomyślała, i biedna Sophie - nie potrafiła się na nią gniewać. Sophie sprawiła, że Helen ujrzała własne życie z nowej perspektywy. Co takiego powiedziała o swej siostrze przyrodniej i wyrwaniu ojca z transu?

Skojarzyła te słowa z tym, co mówił Raeburn o projekcji duszy i relacji ojca z walki z Negulescu - *nagle odniosłem wrażenie, jakby stracił świadomość tego, co robi. Po prostu się przebudził*. Może powinna za to podziękować Sophie. To ona wyrwała Draganu z transu, narażając się na jego gniew. A teraz mogła jej też podziękować za swą wolność - z pewnością przecież (mimo wcześniejszych dziwacznych myśli) lepiej być tutaj i maszerować drogą mimo bolących stóp, niż leżeć tam i czekać. Ale na co? Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć.

Gdy tylko nawiedziła ją ta myśl, Helen usłyszała za sobą dźwięk, który napełnił ją przerażeniem - powtarzający się, rytmiczny syk. Bez sekundy namysłu gwałtownie skręciła z drogi i ukryła się w, jak sądziła, wysokiej trawie. Okazało się, że wylądowała w rowie. Usiadła w lepkiej, zimnej wodzie i zaczęła wyglądać na drogę spoza kępy trawy. Syk nie

milkł, droga jednak pozostawała pusta. Helen siedziała z ponurą miną, nasiąkając wodą. A potem w jednej chwili obok niej przejechał czarny, olbrzymi samochód; jego wielkie reflektory wysyłały przed siebie jasne promienie światła. Helen odprowadziła wzrokiem tylne światło, lśniące niczym samotne czerwone oko, póki nie zniknęło w ciemności. Długi czas siedziała bez ruchu, nie zważając na niewygodę. W końcu ze znużeniem wygramoliła się z rowu i ociekając wodą, stanęła na drodze.

Niezwykłym wysiłkiem woli zmusiła się, by postawić jedną stopę przed drugą i znów ruszyć przed siebie.

## Rozdział 26

### Dziedziniec Bazyliszka

Podążając za Zoë labiryntem wąskich uliczek, Jake ponownie przypomniał sobie wcześniejsze wrażenie, że w miarę oddalania się od głównych ulic cofają się w czasie. Otaczające go budynki wydawały się bardzo stare. Miały wąskie, krzywe drzwi i głębokie okna, najczęściej zakryte okiennicami. Po wielu zakrętach i marszu przez wąskie alejki i niewielkie podwórka dotarli w końcu do szpary między dwoma wysokimi, połączonymi łukiem budowlami. W słabym świetle Jake dostrzegł, że łuk był kiedyś rzeźbiony, ale po setkach lat rzeźby wytarły się i kamień znów był niemal gładki. Jedyne wzór cieni sugerował niegdysiejszą ozdobę w kształcie dziobatej głowy (ozdobionej czymś w rodzaju korony) i krętego węzowego ciała. Wyglądało to dość upiornie. Jake zatrzymał się i Zoë musiała pociągnąć go za rękę, by przeszedł pod łukiem.

Uliczkę, na której się znalazł, wyłożono dużymi kamiennymi płytami, wytartymi i miejscami spękany tak mocno, że często potykał się w półmroku. Szli dalej i nagle zorientował się, że trzyma się środka drogi. Ciemne otwory drzwi i okien po obu stronach budziły w nim lęk. Zbyt łatwo było wyobrazić sobie, że w mroku czają się dziwni, podstępni ludzie obserwujący każdy jego ruch lub że co gorsza nagle z którychś drzwi może wyłonić się ręka i go pochwycić. Gdy obejrzał się za siebie, łukowate przejście zdawało się bardzo odległe. W połowie drogi zaczęły się schody. Uliczka opadała gwałtownie w ciemność, ściany po obu stronach zbliżały się do siebie. Jake zaczął macać w poszukiwaniu poręczy; lecz jego dłoń natrafiła jedynie na wilgotny, śliski kamień. Przed sobą dostrzegał jaśniejszą plamę: widmowo szary kostium lotniczy Zoë. Od czasu do czasu pojawiał się nad nim biały punkt: twarz, gdy oglądała się, sprawdzając, czy wciąż idzie za nią.

Po jakimś czasie schody się skończyły i znaleźli się w niskim kamiennym korytarzu. Jake musiał się schylić, bo dotykał głową sklepienia. Miał wrażenie, iż ściany i dach zaciskają się wokół niego, tak jak w koszmarnych snach z dzieciństwa, w których tkwił uwięziony w stale zwężającym się tunelu, aż w końcu mógł już tylko pełznąć i nie potrafił zawrócić. Jak daleko zaszli? Ciemność zakłóciła jego poczucie czasu, toteż nie miał pojęcia, czy od wyjścia z kawiarni upłynęły minuty, czy też godziny. W pewnym momencie ogarnęła go panika, bo

ściana obok zniknęła nagle spod palców. Potknął się i poleciał na bok, uderzając udem o kamienną półkę. Natychmiast zdrętwiała mu noga. Czuł, że otacza go otwarta przestrzeń, i domyślił się, że wyszli na zewnątrz. Z daleka z dołu dobiegał szum płynącej wody.

A potem korytarz znów się zamknął. Po jakimś czasie dotarli do kolejnych schodów, tym razem wiodących ciasną spiralą w górę. Wspinali się zatem niestrudzenie, aż w końcu pod Jakiem zaczęły uginać się nogi, odmawiając dalszej współpracy. Lecz w chwili gdy to pomyślał, wyszli na niewielki, skąpany w promieniach księżyca dziedziniec otoczony wysokimi murami. Po drugiej stronie wznosił się budynek, prymitywny prosty kamienny prostopadłościan z dwoma kwadratowymi oknami i umieszczonymi w środku przysadzistymi drzwiami. Zarówno drzwi, jak i okna osadzono głęboko w ścianach i nieprzyjemnie kojarzyły się z wielką twarzą. Kamień był zielonkawy, zapewne od mchu lub porostów. Wokół panowała atmosfera niewiarygodnej starości. Zoë pochyliła się i wystukała na drzwiach skomplikowany rytm. Stojący tuż za nią Jake ujrzał, że kamienną framugę ozdobiono rzeźbą podobną do tej na łukowym wejściu w uliczkę: zakończoną dziobem głową w koronie i z węzowym ciałem.

Drzwi się otwarły, na kamienny dziedziniec padł jęzor światła. Mroczna postać unosiła przed sobą staroświecką latarnię. Zoë i cień rozpoczęli dyskusję w języku, który Jake wziął za turecki. Odniósł wrażenie, że cień się waha, czy ich wpuścić. Głosy wznosiły się i opadały, czasem ostro, czasem łagodnie. Wreszcie Zoë najwyraźniej zwyciężyła. Cień odwrócił się i niosąc przed sobą lampę, poprowadził ich do środka. Z tego, co widział Jake, wewnątrz od podłogi po dach wypełniały stare rupiecie; przypominało to magazyn sklepowy. Przeciskali się wąskim przejściem pomiędzy stosami śmieci, aż w końcu znaleźli się w zupełnie innym pomieszczeniu.

Tam też piętrzyły się stosy, ale nie bezwartościowych przedmiotów. Wszędzie wokół Jake w miękkim, złocistym świetle widział istne skarby: zdobione, rzeźbione skrzynie z ciemnego drewna wykładane macicą perłową, wspaniałe dzbany pokryte barwną emalią, cudowne dywany, mieniące się misternymi wzorami w czerwieni, błękicie, zieleni i fiolecie, szklane naczynia zamknięte w pajęczej płataninie mosiądzu bądź srebra, z zakrzywionymi ustnikami (odgadł, że to fajki wodne). Wśród tego wszystkiego stało wielkie lustro, odchylone do tyłu tak, że jego tafla nie ukazywała odbicia, lecz jedynie tajemniczą, falującą zieleń, niczym zbiornik wody.

To jaskinia Aladyna, pomyślał Jake.

Zoë i człowiek-cień znów się kłócili, tym razem najwyraźniej chodziło o lustro. Człowiek-cień odstawił lampę, by móc swobodnie gestykulować, i podkreślał gwałtownymi

ruchami każde swe słowo. Dzięki temu, mimo iż Jake nie znał języka, zorientował się mniej więcej, co tamten chce przekazać. Najwyraźniej powoływał się na wyższą władzę, odmawiając spełnienia prośby Zoë. Jego zachowanie sugerowało, że choć Zoë stoi wyżej w hierarchii (wyraźnie zdradzała to jej postawa), żąda więcej, niż ma prawo, i on nie może się zgodzić bez niezbędnego zezwolenia. Kilka razy obracał się w stronę wyjścia, by je zdobyć, lecz Zoë natychmiast ściągała go z powrotem, najpierw prośbami i łagodnymi słówkami, potem z coraz większym gniewem, gdy tamten upierał się niezłomie.

Wreszcie wydało się, że Zoë ustępuje i zmienia taktykę. Spytała o coś związanego z ławą stojącą za mężczyzną. Jake'owi skojarzyła się ze stołem laboratoryjnym: na blacie ustawiono moździerz z tłuczkiem oraz marmurową płytę, a na niej delikatną wagę. Z tyłu dostrzegł szafkę wyposażoną w mnóstwo małych, starannie opisanych szufladek. Zoë najwyraźniej prosiła mężczyznę, by pozwolił jej coś zmieszać. Wskazywała ręką szufladki, później moździerz, później samą siebie. Tamten jednak odchylił głowę, wykrzywając wargi w grymasie. Jedną rękę uniósł dłonią do góry, drugą klepnął się w pierś, jakby mówiąc, że tylko on ma prawo przyrządzać jakiegokolwiek mikstury. Przez chwilę patrzyli na siebie wyzywająco. W końcu Zoë ustąpiła - pokornie wzruszyła ramionami, zachęcając tamtego, by wziął się do pracy.

Mężczyzna odwrócił się, podwijając rękawy. Przez moment przyglądał się szufladkom, jego ręce zawisły w powietrzu, gdy dokonywał wyboru - i wtedy jednym, płynnym ruchem Zoë pokonała dzielącą ich odległość, zakryła dłonią usta tamtego i dobytek noża o szerokiej klindze, który wbiła mu w plecy aż po rękojeść. Ręce mężczyzny, wciąż uniesione z przodu, drgnęły konwulsyjnie, potem pochwyciły krawędź stołu, gdy nogi ugięły się pod nim i runął na ziemię.

Jake patrzył sparaliżowany ze zgrozy, jak Zoë, stojąc nad ciałem, sprawdza szybko szufladki, otwiera dwie i zaczyna odważać ich zawartość. Pracowała szybko i sprawnie. Jedną ręką wsypała proszek z szalki do moździerza, drugą przeszukiwała szuflady i wybrała coś innego, co także zważyła, wsypała i zaczęła ucierać. Gdy skończyła, z jeszcze innej szufladki wyjęła woreczek i ostrożnie przesyłała do niego zawartość moździerza, odwracając twarz, by nie wciągnąć w płuca choćby drobiny proszku. Zaciągnęła sznurki sakiewki i odwróciła się do Jake'a, wciąż wpatzonego w trupa.

- Nie lituj się nad nim - rzekła. - Wierz mi, on nie okazałby ci żadnej litości. Musimy się spieszyć, Draganu podjął już kroki, by odzyskać thaumatophan.

Chwyciła Jake'a za ramię i poprowadziła w kierunku lustra. Stanęli przed nim oboje.

- A teraz potrzymaj. - Wcisnęła mu do ręki szklaną fiolkę. - Chcę, żebyś odetchnął

głęboko i wstrzymał oddech, póki nie skończy.

Rozwiązała sznurki sakiewki i ostrożnie wsypała część proszku do fiołki. W powietrze wzbił się niewielki obłoczek drobniutkiego pyłu. Zdawało się, że trwa to całe wieki; Jake czuł bicie swojego serca. W końcu zatkała fiołkę korkiem i Jake z ulgą wypuścił powietrze - lecz w chwili, gdy zaczerpnął go ponownie, Zoë lekko poruszyła ręką, posyłając z sakiewki chmurę pyłu wprost w jego twarz. Nie miał wyjścia, musiał wciągnąć go w płuca.

Odniosł wrażenie, że kilka rzeczy dzieje się jednocześnie. Postrzegał je w dziwny, oderwany sposób, niczym odbicia w fasetkach brylantu. Przed sobą ujrzał lustro, powoli obracające się w górę. Czuł za sobą obecność Zoë, która przesunęła dłonie z jego ramion na głowę, naciskając palcami skronie. Z boku kątem oka dostrzegł coś absurdalnego: wielki ozdobny zegar na kredensie akurat w tej chwili oszalał, jego wskazówki zaczęły nagle pędzić po tarczy z niewiarygodną prędkością. W głowie Jake'a zawisły słowa: oszukała mnie. Jednocześnie wyczuwał drapieżną obecność Zoë w swym umyśle. Ogarnęło go przemożne pragnienie ucieczki. Widział samego siebie niczym małą myszkę, śmigającą za zasłonę po to, by umknąć tropiącemu ją kotu. Jeśli tylko zwinę się w kłębek i nie będę ruszał, może mnie nie zauważy.

Lustro przed nim stało pionowo. Przez moment ujrzał samego siebie z ustami szeroko otwartymi ze zdumienia. Zoë stała nad nim, przyciskając dłonie do jego skroni niczym kapłanka. A potem tafla rozplynęła się w czerń głęboką jak kosmos.

W swej głowie Jake ponownie ujrzał siebie jako mysz wykradającą się zza zasłony. Wyczuwał, że niebezpieczna jak kot Zoë wciąż kryje się w okolicy, ale zajęło ją coś innego... Podszedł bliżej.

Ujrzał postać w ciemnym pokoju, poruszającą się lekko, ukradkiem. To ja, pomyślał ze zdumieniem. To coś, co widzisz w lustrze, odpowiedziała maleńka cząstka jego umysłu, która pozostała w jego władaniu. Postać metodycznie krążyła po pokoju, szukając czegoś. Pomieszczenie wyglądało na hotelową sypialnię: stało tam wielkie, starannie posłane łóżko i leżała walizka na podłodze. Na stoliku rozłożono mapy, obok spoczywał kawałek papieru z adresem i poobijane, czerwone metalowe pudełko. Jake dostrzegł to ponad ramieniem postaci, lecz jednocześnie był pewien, że ta postać to on sam. To musi być jakaś próba, pomyślał, pokazująca mi, co mam zrobić. Był też pewien, że nie powinien jej oglądać i myśl ta przyniosła ze sobą iskierkę nadziei. Ona mnie programuje, ale nie wie, że wciąż jestem przytomny.

Postać otworzyła pudełko. Wewnątrz pośród czarnego aksamitu spoczywał kryształ. Postać szybko wyciągnęła identyczny kryształ i zamieniła je, wsuwając oryginał do kieszeni.

Potem zatrzasnęła pudełko. Dokładnie w tym momencie wzdrygnęła się, jakby dobiegł ją niespodziewany dźwięk. Ruszyła pospiesznie w stronę drzwi łącznikowych, które nagle otwarły się i do środka weszła Helen.

Na jej widok Jake'a zalała fala radości zmieszanej z bólem. Helen miała na sobie białą koszulę nocną i sprawiała wrażenie wyrwanej ze snu. Ręką potarła oczy. Postać przy drzwiach odkorkowała fiolkę, wysypała odrobinę proszku na dłoń i dmuchnęła lekko w twarz Helen, właśnie w chwili gdy ta obróciła się, zaskoczona i ucieszona. Już miała coś powiedzieć, nagle jednak wywróciła oczami i pokornie pozwoliła zaprowadzić się z powrotem do sypialni. Jake poczuł w głowie ogromny wysiłek i nagle jego punkt widzenia się zmienił. Nie przebywał już za postacią, lecz zlał się z nią. Przez cienki materiał wyczuwał miękką skórę ramion Helen, gdy prowadził ją przez pokój.

Kiedy dotarli do łóżka, odrzucił kołdrę i lekko nacisnął łokieć Helen, która posłusznie weszła do środka, niczym lunatykujące dziecko. Jej twarz miała dziwnie senny wyraz, na wargach tańczył zaskoczony uśmiešek. Przez cały ten czas czuł tę samą bolesną radość, paradoksalne wrażenie, że obudził się w samym środku pięknego snu, dostrzegając wszystkie cudowne szczegóły, lecz jednocześnie wiedząc, że to tylko sen. W rozpaczy wyciągnął rękę do Helen, pragnąc ją ocucić, i w tym momencie zrozumiał, że Zoë to dostrzegła. Stracił władzę nad własną ręką, która opadła na stolik, chwytając coś i zgarniając - jeden z kolczyków Helen.

A potem znów znalazł się poza swym ciałem. Widział, jak postać opada na kolana i ciężko wstaje. Cała scena zaczęła się rozplýwać, kolory zlewać w szarość, przechodzącą w czerń. A później ocknął się nagle, patrząc na własne odbicie w lustrze.

## Rozdział 27

### Spotkanie z panem Susłem

Helen obudziła się, czując na twarzy promienie słońca. W jej głowie znów pojawiło się jakże znajome wrażenie, że nie wie, gdzie się znajduje. Czuła się wypoczęta jak po głębokim śnie, powoli powróciły wspomnienia: przebywała w Turcji, w hotelu nad Morzem Czarnym, i miała niesamowity sen. Była w nim Sophie i czarny samochód, ona sama wędrowała pieszo, bolały ją stopy. Szczerze mówiąc, wciąż czuła ten ból. Spuściła nogi i obejrzała stopy. Istotnie były otarte, a w kilku miejscach na skórze wystąpiły pęcherze. Zatem to nie był sen. Przywołała w pamięci inne szczegóły. Została porwana, uciekła, ledwie uniknęła ponownego schwytania i wróciła do hotelu, obolała i wyczerpana, by ze zdumieniem odkryć, że niedawno minęła północ. Na szczęście miała przy sobie kartę do drzwi, bo ojca nie było. Zastanawiała się, gdzie się podziewa.

Ostrożnie podeszła do sąsiednich drzwi i zapukała lekko. Nikt nie odpowiedział. Weszła do środka. Pokój był pusty, w łóżku nikt nie spał - a może już je zasłano. Która godzina? Nie mogła znaleźć zegarka. Na stoliku leżały rzeczy, które pamiętała z poprzedniego wieczoru, między innymi plan miasta i kartka z nazwiskiem i adresem Michaela Palaeologlu, kolekcjonera, który chciał kupić machinę i, jak się zdawało, przyjaciela Stephena Langtona. Ojciec poszedł do niego, może tam zanocewał. Helen roześmiała się. Czy to możliwe, że nikt nie zauważył jej niezwyklej przygody? Na to wyglądało. To jeszcze wzmocniło atmosferę nierzeczywistości otaczającą wydarzenia zeszłego wieczoru. Z wielkim trudem przyszło jej uwierzyć, że naprawdę porwano ją z ulicy przed hotelem. Czy zatem wciąż grozi jej niebezpieczeństwo?

Podeszła do okna i przebiegła wzrokiem ulicę. Ani śladu złowieszczych czarnych samochodów zaparkowanych przy krawężniku, kręcących się podejrzanych ludzi ani dziwnych grup, jedynie kilku turystów spacerujących parami oraz zamiatacz popychający przed sobą kosz osadzony na kołach rowerowych. Ulicą co chwila przejeżdżały samochody, w dali Morze Czarne połyskiwało w palących promieniach słońca. Jeszcze dalej wśród mgiełki widziała sylwetki kilku wielkich statków - Trudno było powiązać tę scenę z fantastycznymi wydarzeniami poprzedniego wieczoru i przekonać samą siebie, że wciąż coś



jej grozi. Czowała się cudownie rozleniwiona i odprężona. No, poza stopami, pomyślała, przestępując z nogi na nogę. Stanowczo przyda mi się gorąca kąpiel. Potem pomyślę, co dalej.

Trzy kwadranse później wyszła z łazienki w obłoku piany, czując wielką ulgę i palący głód. Zamówiła śniadanie i zastanowiła się, co teraz. Jeśli ojciec nie zjawi się wkrótce, zostawi mu wiadomość i pójdzie do pana Palaeologu. Zachowa czujność, uważając na możliwe zagrożenia, choć nie wierzyła, by coś jej groziło podczas krótkiego spaceru nabrzeżem.

Spokojnie zjadła śniadanie i ubrała się, rada z faktu, że zabrała ze sobą parę sandałków tak skąpych, iż nie mogły urazić obolałych stóp. Wychodząc z hotelu, rozejrzała się po ulicy, mierząc wzrokiem wszystkich przechodniów. Czowała się nieco śmiesznie, jak dziecko udające tajnego agenta. Uznawszy w końcu, że w pobliżu nie ma nic dziwnego, przeszła na drugą stronę i powędrowała rozświetlonym chodnikiem, spoglądając na migotliwe morze.

Cóż to za fascynujący kawałek świata. Ludzie mieszkali tu od niepamiętnych czasów, jego dzieje sięgały w przeszłość przez wiele imperiów w czasy mitów i legend. Przed imperium osmańskim tu właśnie mieściła się stolica cesarstwa wschodniorzymskiego, które przetrwało niemal tysiąc lat po upadku Rzymu. Tutejsi ludzie nie zaznali mroków średniowiecza. Grecy i Persowie walczyli o te terytoria. Cyrus Wielki czynił wyrzuty morzu za to, że zniszczyło most ze statków, którym połączył brzegi Hellespontu. Nieco dalej na południe, na drugim brzegu, jej imienniczka Helena sprowadziła wojnę do Troi. Po wodach tego samego morza Jazon i Argonauci żeglowali w poszukiwaniu złotego runa.

Nagle odkryła, iż żałuje, że nie ma z nią Jake'a. Tak chciałyby dzielić się z nim tym wszystkim. Ale którego Jake'a, zapytała w duchu. Ten, o którym myślała, był beztroskim chłopcem, który towarzyszył jej we Florencji, radosnym, swobodnym Jakiem, świetnym kumplem. Od tego czasu minął niecały rok. Czemu on znów nie mógł być taki? Po co im te napięcia, nastroje, znaczące westchnienia, powłóczyście spojrzenia? Czemu, jeśli już muszą się pojawić, nie możemy zostawić ich na później i po prostu znów bawić się jak kiedyś? Myśli o Jake'u sprawiły, iż przypomniała sobie, że śniła o nim zeszłej nocy, lecz mimo prób nie potrafiła sobie przypomnieć żadnych szczegółów.

Gdy uniosła wzrok, odkryła, iż pogrążona w myślach dotarła już do domu pana Palaeologu, eleganckiej białej willi na wybrzeżu. Drzwi i okiennice pomalowano na niezwykle odcień błękitu. Dom zbudowano wprost nad wodą. Nagle drzwi się otworzyły i ze środka wyszedł drobny mężczyzna. Był niezwykle elegancko ubrany, miał siwe włosy,

starannie przystrzyżoną brodę i bardzo ciemne oczy, długie wdzięczne palce i drobne stopy, obute w lśniące skórzane trzewiki. Obdarzył ją miłym, pytającym uśmiechem. Helen natychmiast skojarzył się z susłem.

- Zapewne przychodzisz do mojego siostrzeńca? Ja niestety jestem już w wieku, w którym nie odwiedzają mnie młode damy.

- Czy pan jest panem Palaeologu?

- Istotnie, ale on także.

- Przyjacielem Stephena Langtona?

- Lękam się, iż faktycznie nie o mnie ci chodzi. Znam to nazwisko, ale nie człowieka.

- Zatem obawiam się, że rzeczywiście chodzi mi o pana siostrzeńca. - Helen uśmiechnęła się..

- Niestety. Jego zysk, moja strata. Jakie nazwisko mam mu podać?

- De Havilland, Helen De Havilland.

Drobny mężczyzna ożywił się gwałtownie, jakby ktoś poraził go prądem.

- Niemożliwe! Niemożliwe! - wykrzyknął. - To być nie może! Nie jesteś chyba córką Gerry'ego? Z jego słów wynikało, że miałaś być małym dzieckiem. Niech ci się przyjrzę. Cóż za wspianiała młoda kobieta. Ależ witaj, witaj!

I ku zdumieniu Helen objął ją radośnie i ucałował siarczyście w oba policzki.

- Wejdz, wejdz - nalegał. - Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie.

Helen podążyła za nim do ciemnego wnętrza, zaskoczona gorącym przyjęciem. Wczoraj wieczór ojciec musiał zrobić na nim naprawdę duże wrażenie.

- Rozumiem, że przychodzisz sama, bez ojca. Wątpiłem, by wrócił tak szybko.

- Tak - przyznała Helen. - Jestem sama.

- Ale jakże dobrze cię widzieć. I jak mówiłem, co za niespodzianka. Niechaj ci się przyjrzę.

Ale oczywiście to ze zdobycia maszyny alchemika się cieszy, pomyślała. To dlatego tak ciepło mówi o De Havillandach. Doskonale wiedziała, że kolekcjonerzy traktują swe nabytki z większym uczuciem niż niektórzy ludzie własne dzieci.

- W tak wspianiały dzień z pewnością nie jest zbyt wcześnie na drinka.

Gospodarz zakrzętnął się przy kredensie, po czym wręczył Helen wysoką szklankę pełną przejrzystego płynu, w którym pływały kostki lodu. Pociągnęła ostrożny łyk. Ile według niego mam lat? - pomyślała.

- Wyjdźmy na taras.

Helen podążyła za nim poprzez wysokie, zasłoniętej drzwi na elegancką werandę

ciągnącą się przez całą długość domu. Widać z niej było wylot Bosforu, wielkie statki sprawiające wrażenie niematerialnych, w zwiewnej mgiele przepływały tam i z powrotem. W pobliżu kołysały się białe żagle jachtów.

- Cóż za piękny widok!

- Prawda? - Pan Palaeologlu westchnął z ukontentowaniem.

Przez jakiś czas stali bez ruchu oparci o poręcz i spoglądali na wodę. W końcu pan Palaeologlu odezwał się pierwszy.

- Twój ojciec, moja droga, jest na swój sposób wielkim człowiekiem. Nie przesadzę, mówiąc, że to artysta w swoim fachu.

No, to nieco zbyt mocno powiedziane, pomyślała Helen. Przypuszczam jednak, że ma prawo cieszyć się z nowego nabytku. Jeśli dzięki temu myśli lepiej o tacie, to super. Jednym okiem obserwowała jacht próbujący przeciąć wylot Bosforu niczym śmiały pieszy przebiegający przez ruchliwą ulicę. Odbijające się w wodzie światło słońca sprawiało, że zdawał się unosić na falach płynnego złota.

- Powtarzam mu, że powinien napisać książkę, historię wszystkich swych transakcji.

Tato najwyraźniej nieźle go zbajerował, pomyślała Helen.

Jacht wszedł na kurs kolizyjny z niewielkim statkiem wycieczkowym. Kto ustąpi pola? Żagle mają pierwszeństwo przed parą, tak chyba brzmiała zasada. Ale też samochody teoretycznie zawsze miały dawać pierwszeństwo pieszym.

- A teraz jest po temu najlepsza pora.

Jacht śmignął przed dziobem statku. Założę się, że tamtejsza załoga klnie jak najęta, pomyślała Helen. Nagle sobie uświadomiła, że pan Palaeologlu zadał jej pytanie.

- Ostatecznie nie dokona już chyba większego wyczynu niż ten ostatni, prawda?

Człowieczek uśmiechnął się promiennie i zatarł dłonie. Helen, która na moment oderwała wzrok od jachtu, próbowała ponownie go odnaleźć. O, jest! Po zwycięstwie nad statkiem jacht wydawał się teraz zmierzać wprost na olbrzymi tankowiec, płynąc tak lekko, iż zdawał się unosić na wodzie niczym dziecięcy rysunek statku.

- Co więcej, dotąd chodziło mu wyłącznie o pieniądze. Ale teraz ma znacznie szlachetniejszy cel, nie sądzisz?

Nie mam zielonego pojęcia, co on kombinuje, ale zupełnie mnie to nie obchodzi, pomyślała, jeśli tylko mogę tu stać i oglądać to wszystko. Czemu? Pewnie dlatego, że machina nie jest już naszym problemem. Trafiła do rąk pana Palaeologlu. To do jego drzwi zapuka teraz Draganu. Spojrzała na człowieczka i ogarnęły ją nagłe wyrzuty sumienia. Czy on wie, w co się wplątał? Jacht zmienił kurs i teraz zdawał się ścigać z tankowcem. Białe żagle

odcinały się ostro na tle rdzawej burty.

- Powiedziałem mu więc: Gerry, jeśli to ci się uda, powinieneś przejść na emeryturę.

Na morzu jacht powoli wyprzedzał swego olbrzymiego przeciwnika. Nie chce chyba przepłynąć mu tuż przed dziobem jak tamtemu statkowi? - pomyślała Helen. Z tak bliska w ogóle go nie zauważą.

- I mówiąc między nami, moja droga, powinnaś go do tego zachęcić. Nikt nie ma szczęścia przez całe życie. Twój ojciec i tak miał go więcej niż większość śmiertelników.

Coś w jego słowach uderzyło Helen. Zupełnie jakby uważnie przeanalizował całe życie ojca, pomyślała. A może źle zinterpretowała pozycję pana Palaeologu?

- Panie Palaeologu, jak długo zna pan mojego ojca? Ile lat?

- Ile? Trudno powiedzieć, to było tak dawno... Poznaliśmy się, gdy obaj byliśmy bardzo młodzi.

Uśmiechnął się na wspomnienie młodości. Helen poczuła nagle olśnienie.

- Zatem jest pan częścią „starej paczki”.

- Może najstarszej - odparł z dumą. A potem, dostrzegając malującą się na jej twarzy dezaprobatę, zacmokał, komicznie grożąc jej palcem. - No, no, panienko, tylko bez takich wyniosłych tonów. Kto inny mógł tak szybko skontaktować go z Draganu?

- Z Draganu!?

Teraz to ona zaskoczyła Palaeologu.

- Oczywiście, Draganu.

- Pan był pośrednikiem Draganu?

Gospodarz wyraźnie nie pojmował zgrozy widocznej na twarzy Helen.

- No, taki oczywiście był plan, choć biorąc pod uwagę wydarzenia wczorajszej nocy, twój ojciec wolał skontaktować się z nim osobiście i samemu oddać machinę.

- Oddał ją Draganu?

- Ależ oczywiście... jako okup za ciebie.

## Rozdział 28

### Podziemny pałac

W innych okolicznościach Helen zapewne uznałaby przejażdżkę ślizgaczem za niezwykle podniecające przeżycie, gdyż miała w sobie dokładnie taką dawkę niebezpieczeństwa, która przypominała Helen, że żyje. Młody pan Palaeologu - siostrzeniec - wydawał się całkowicie pozbawiony strachu. A może po prostu był szalony. Bez wątplenia jednak znajdował się w swoim żywiole, manewrując gwałtownie i wzlatając nad wodę w kolejnych wąskich kanałach, mijając niewiarygodnie blisko inne łodzie, do wtóru chóralnych ostrzeżeń zaskoczonych załóg. Wkrótce po obu stronach wyrosły budynki Stambułu, nieprawdopodobne nabrzeżne wille o ozdobnych, filigranowych balkonach na wszystkich piętrach i wielkich łukowatych pomieszczeniach na poziomie wody, przypominających zwykle naziemne garaże. Gdy zbliżyli się do brzegu, Helen przekonała się, że wszystkie ulice są zakorkowane. Niech tato utkwi w korku, błagała w myślach. Niech zepsuje mu się samochód. Próbowała wyobrazić sobie uwięzioną taksówkę, wypuszczającą kłęby dymu. Może jeśli ujrzy ją bardzo wyraźnie, tak właśnie się stanie. Obym tylko pierwsza przybyła na miejsce, błagam.

Przemknęli pod majestatycznym mostem nad Bosforem, łączącym dwa kontynenty, i skierowali się wprost w stronę Seraglio. Na mapie Helen odnalazła dwie ulice wiodące przez park Gulhane, prosto do Yerebatan Sarayi. Starła się teraz wypatrzeć je wśród zieleni; musiały biec po prawej stronie olbrzymiego kompleksu Topkapi Sarayi. Na szczycie wzgórza przycupnęła malownicza sylweta Hagia Sophia, olbrzymi ul w otoczeniu czterech wyniosłych włóczni.

- Dziękuję za podwiezienie - powiedziała Helen. - To bardzo uprzejmie z pana strony.

Siostrzeniec pana Palaeologu z uśmiechem machnął ręką, pokazując, że cała przyjemność jest po jego stronie, i imponująco sprawnie dobił do brzegu. Helen wyskoczyła z łodzi i ruszyła biegiem.

Popędziła po stopniach na ulicę, dalej chodnikiem i dotarła do jezdni, za którą ujrzała wejście do parku. Na szczęście ruch zwolnił, auta wlokły się w ślimaczym tempie, toteż pomknęła na drugą stronę, wymijając kolejne samochody. Już w parku zaczęła przedzierać się

przez tłumy turystów odwiedzających pałac Topkapi. Dziwnie było mijać miejsce, które jeszcze niedawno zamierzała koniecznie odwiedzić z Jakiem. Jakże łatwo byłoby zapomnieć o wszystkim, dołączyć do tłumy i stać się kolejną turystką. Zastanawiała się, jak wielu przechodniów dręczy poczucie owego dziwnego niepokoju, który nawiedza ludzi, gdy w miejscach słynących z romantycznych, niezwykle wydarzeń żałują nagle, że ich samych nie spotkało nic takiego. Ona natomiast biegła na spotkanie przygody, marząc, by móc się od niej odwrócić.

W końcu zdyszana dotarła na szczyt wzgórza i odszukała przejście wiodące na rozległy plac. Po lewej, nieco z przodu wznosiła się olbrzymia Hagia Sophia. Helen wiedziała, że wejście do Yerabatan Sarayi jest dokładnie naprzeciwko, na końcu Hipodromu. Pospieszyła zatłoczonym chodnikiem i ujrzała wynurzający się spośród drzew Błękitny Meczet, młodszego, piękniejszego brata Hagia Sophia. A potem po przeciwnej stronie ulicy dostrzegła coś, co sprawiło, że zamarła jak ktoś, kto nagle na jawie spotyka postać z najgorszych koszmarów. Czarny samochód, wielki i złowieszczy, parkował obok niskiego budynku. Sam budynek kojarzył się wyłącznie z nieciekawym urzędem, lecz gdy tylko Helen go ujrzała, odgadła, że to właśnie musi być wejście do Yerebatan Sarayi.

Pobiegła na drugą stronę i szczęśliwie zdołała dołączyć do grupki turystów wchodzących do środka. Podążyła za nimi stromymi schodami do komory w dole. Była olbrzymia. W półmroku Helen ujrzała szeregi kolumn; skamieniały las nikał w mroku. Niesamowite światło odbijające się od pokrywającej posadzki wody rzucało roztańczone błyski i cienie na wysokie sklepienie. Gdzieś w dali grała muzyka, jej dźwięki odbijające się echem od ścian potężnego pomieszczenia nabierały nieziemskiego wyrazu. Grupa turystów, oniemiała z podziwu, wędrowała powoli po drewnianym pomoście przecinającym labirynt filarów. Głos przewodnika opowiadającego o cudach tego miejsca powrócił do Helen zniekształconym echem. Wędrowali coraz głębiej i głębiej. W końcu dotarli do miejsca, w którym niegdyś być może mieściła się fontanna. Tutejsze kolumny wyrastały z głów Gorgon, pozieleniałych od wilgoci i jeszcze bardziej groteskowych poprzez fakt, iż ustawiono je do góry nogami.

Dalej dotarli do kolejnego pomostu, odchodzącego od pierwszego pod kątem prostym. Wejście nań zamknięto łańcuchem, na którym wisiała tabliczka zabraniająca wstępu w kilkunastu językach. Pomost zygzakiem wędrował między filarami, nikał w mroku. Światło w tej części było zgaszone. Helen odczepiła łańcuch i cichutko ruszyła naprzód. Głos przewodnika oddalał się z każdą chwilą. Usłyszała dobiegający z góry melancholijny dźwięk kapiącej wody. Pomost kończył się nagle pośrodku zbiornika. Gdy się jednak zbliżyła,

dostrzegła liny i krążki prowadzące w ciemność. Wyteżyła wzrok i wydało jej się, że widzi niewyraźny zarys łodzi, przycumowanej do ceglanego muru niepasującego do reszty budowli. Z nagłym dreszczem przypomniała sobie słowa Michała Szkota. „W dziewiętnastym wieku zamurowano jedną czwartą komory, tuż po ukazaniu się zakazanej książki *Tajemnica podziemnego pałacu*”. To musiało być to miejsce.

Szybko pociągnęła linę. Krążek zaskrzypiał i lina się napięła. Helen szarpnęła mocniej i coś z drugiego końca uwolniło się z głośnym pluskiem. Zobaczyła łódź wynurzającą się z ciemności. Czy po drugiej stronie obok muru coś się poruszyło? Nie potrafiła orzec, może to tylko cień łodzi. Z bliska łódź bardziej przypominała tratwę bądź pływającą platformę, przymocowaną do krążka linami z obu stron. Weszła na pokład i szybko zaczęła przeprawę. Bała się, że skrzywienie krążka zwróci czyjąś uwagę, lecz turyści oddalili się już poza zasięg słuchu. Tratwa osiadła na podwodnej półce i Helen zeskoczyła z niej szybko. Jej stopy zanurzyły się trochę w zimnej wodzie.

U stóp kamiennego muru dostrzegła prostokątną niszę, dość szeroką i głęboką, by mógł w niej stanąć rosły mężczyzna. Weszła do środka. Po prawej poczuła pod dłonią szorstkie cegły, po lewej była pustka. Skręciła w jej stronę, odetchnęła głęboko i ruszyła naprzód. Wyciągnięta ręka ponownie dotknęła cegieł. Ostrożnie obracając się na pięcie, Helen dostrzegła, że korytarz skręca pod kątem prostym. Postąpiła kilka kroków, macając przed sobą, i mur po prawej zniknął. Spoglądając w tamtą stronę, ujrzała jaśniejszą plamę w ciemności i niewyraźny zarys drzwi. Ostrożnie ruszyła w ich stronę. Na progu przekonała się, skąd ów półmrok. Przestrzeń za drzwiami stanowiła istny labirynt kolumn, światło przenikało z daleka. Po chwili namysłu, przyglądając się uważnie, Helen stwierdziła, że kolumny tworzą trzy rzędy rozchodzące się łukowato na boki. Efekt labiryntu powstał dzięki rzędom środkowemu, który nie pasował do pozostałych - można było przejść między nimi jedynie zygzakowatą trasą. Podeszła do kolumny wprost przed sobą, przekradła się wokół i przemknęła szybko do następnej. Znajdowała się teraz za rzędem wewnętrznym. W którą stronę powinna patrzeć?

Gdy tak się zastanawiała, usłyszała głos.

- Możesz już wyjść. Wiem, że tu jesteś.

Helen poczuła w brzuchu nagły dreszcz, tylko częściowo wywołany strachem. Był to ten sam głos, który słyszała poprzedniej nocy, połączone głosy Michała Szkota i Albanusa. Wyszła zza kolumny. Nie wiedziała, czy sprawiło to dziwne światło, czy może jej cień, czy też naprawdę kątem oka ujrzała inną cofającą się postać, jakby ona także chciała posłuchać wezwania głosu i w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

Przestrzeń, na której brzegu stała, była niemal dokładnie kolista. Kolumnada otaczała ją, podtrzymując wysklepioną kopułę. U jej stóp podłoga opadała stromo, tworząc szerokie zagłębienie. Na jego środku okrągły piedestał zbudowany z koncentrycznych warstw kamienia podtrzymywał smukłą kolumnę, na której przysiadł posąg. Helen rozpoznała go natychmiast: Bazyliszek z Brązu. Wokół podstawy piedestału na trzech trójnogach spoczywały płytkie pojemniki z płonącym olejem. Obok jednego z nich, między dwiema stojącymi postaciami, widniała potężna sylwetka w olbrzymim fotelu na kółkach. Helen zastanawiała się przelotnie, jakim cudem udało im się wprowadzić wózek między kolumny i po wklęsłym zboczu.

- Helen.

Głos podobnie jak przedtem przemówił z powietrza, gdzieś nad ziemią. Czy wyobraziła to sobie, czy też zabrzmiała w nim nuta zdumienia, jakby oczekiwał pojawienia się innej osoby?

- Zejdź tu.

Helen ostrożnie zsunęła się po zakrzywionej podłodze. Przez moment ślizgała się, ale w końcu jej stopy znalazły oparcie. Idąc ostrożnie w stronę kolumny, miała niezwykle wrażenie, że znajduje się w dwóch miejscach naraz. Nie tracąc z oczu otoczenia, jednocześnie znalazła się na skraju trawiastej dolinki. Nad jej głową po błękitnym niebie pędziły obłoki, gnane porywami niebiańskiego wiatru. Przed nią stał ciemnowłosy młody chłopak, niewiarygodnie chudy, którego twarz jaśniała fascynująco. Usłyszała własny głos, przemawiający z dziwnym, mocnym akcentem: *A zatem wyjeżdżasz, Michale. Do Paryża?* Wiedziała jednak, że słowa te wypowiedziano wyłącznie w dolinie, nie tu w komorze. Młody mężczyzna milczał, lecz spoglądając mu w twarz, w owe jasne, przejrzyste oczy, ujrzała odpowiedź. On nie wróci, straciłam go. Myśl ta wzbudziła w niej ogromny, przejmujący smutek.

Nagle upiorny wrzask rozdarł materię jej snu i ujrzała ze zgrozą, jak potężna postać w fotelu podnosi się i potykając, rusza ku niej, plując z wściekłością. Ręce wymachiwały gniewnie, zakrzywione palce przecinały powietrze. Helen zamarła. Postać zatrzymała się chwiejnie po kilku krokach, a potem nagle runęła niczym marionetka, której ktoś przeciął sznurki. Pomocnicy skoczyli naprzód, chwycili ją i usadzili na fotelu. Po chwili ciszy głos znów przemówił, lecz idylliczny obraz zielonej dolinki nie powrócił. W głosie natomiast odezwała się nowa nuta, sarkastyczny, złośliwy ton.

- Musisz wybaczyć panu Draganu ten wybuch. Nawet w zdrowiu był człowiekiem o bujnym temperamencie. Teraz zaś czuje zbliżającą się śmierć i bolesne ukłucie zdrady.



- Zdrady? - powtórzyła Helen.

Jej żołądek ścisnął się ze strachu.

- Zdrady córki.

Helen pobladła. Miała wrażenie, że weszła w pułapkę.

- Widzisz, on jej ufał jak ojciec ufa córce. Zamierzał dać jej wszystko, ona jednak nie chciała zostać jego dziedziczką.

Głos przemawiał zimno i nie tylko do Helen, lecz do całego świata, biorąc wszystkich obecnych na świadków. Helen stała sztywno, patrząc wprost przed siebie, szukając czegoś, co mogłoby pomóc zapomnieć o strachu. Dziwny układ światła i cieni pomiędzy filarami za i nad fotelem Draganu zwrócił jej uwagę, może dlatego, że przypominał nieco ludzką postać. Skupiła na nim swój wzrok, próbując dostrzec poszczególne elementy. Ten kawałek był niczym ręka, ale tylko dlatego, że jasna plama na końcu kojarzyła się z dłonią. Druga jaśniejsza plama przypominała bok twarzy rozciętej na pół smugą cienia - ale wyłącznie dlatego, iż znajdowała się na właściwej wysokości. Całą resztę kryła ciemność. A potem albo światło zmieniło się nieco, albo też oczy Helen przywykły do mroku, bo odkryła, że naprawdę kogoś widzi. Jej oczy się rozszerzyły, próbowała to powstrzymać w obawie, że zdradzą, co zobaczyła. To była Sophie. Skąd się tu wzięła? On wie, że tu jest, pomyślała, dlatego właśnie tak mówi. Słowa te przeznaczone są nie tylko dla moich, ale i dla jej uszu. Głos ciągnął dalej, bezlitośnie, złowieszczo lekkim tonem.

- Lecz nawet najbardziej kochający ojcowie nie mówią swym córkom wszystkiego. Myślę zresztą, że sama dobrze o tym wiesz. I istnieje więcej niż jedna droga do zdobycia tego, czego pragniemy.

Helen spojrzała na Sophie, spiętą i nieruchomą między kolumnami. W myślach błagała ją, by odeszła, by się ukryła.

- A jak mówią, każde doświadczenie czegoś nas uczy. Zeszłej nocy odkryłem, że uczucie ojców dla córek przydaje się czasem.

Słowom towarzyszył cichy dźwięk - może śmiech?

- Twój ojciec okazał wielką chęć - zapewne ucieszą cię te słowa - wymiany thaumatofanu za ciebie, choć wierzę, że wcześniej pragnął raczej zysków bardziej materialnej natury. Nie może jednak czuć się oszukany: oddaje w końcu to, co prawnie mu się należy, w zamian za coś, co należy do niego.

Helen ujrzała, że powietrze ponad postacią w fotelu poruszyło się, zaczęło falować i drzeć jak w upale. Coś tańczyło w nim i połyskiwało: gromada maleńkich, diamentowo jasnych iskierek światła, które rozbłyskały i gasły nieustannie. Cokolwiek to było, znalazło

się dokładnie między nią a Sophie, toteż Helen już jej nie widziała.

- Teraz twój ojciec przybywa raz jeszcze, by cię ocalić, i przynosi kryształowe serce Bazyliszka z Brązu. To bezcenny skarb, lecz najwyraźniej nie nazbyt wygórowana cena za kogoś takiego jak ty.

Głos zabrzmiał dziwnie przyjaźnie, żartobliwie. Mój Boże, pomyślała Helen, on ze mną flirtuje. Jednocześnie jednak nadal odnosiła wrażenie, że cała ta rozmowa przeznaczona jest dla kogoś innego.

- Pomyśl tylko, Kamień już raz został oddany w posagu. Czyż nie może stać się tak ponownie? Co powiesz? Przyjmiesz dziedzictwo, które ktoś inny odrzucił?

Helen poczuła, jak ściska jej się serce. Roztańczone migotanie w falującym powietrzu fascynowało ją. Jakież było piękne, jakież żywe! Całe otoczenie pociemniało, zniknęło za zasłoną, pozostała tylko ona i ów tańczący, zapraszający duch. Otworzyła usta, by przemówić.

- Helen, nic ci nie jest?

Nagle przywołana do rzeczywistości ujrzała ojca wyłaniającego się spomiędzy kolumn. Zbiegł szybko po zboczu i chwycił ją w ramiona, ściskając coś w dłoni.

- Ach, kryształ - rzekł głos w powietrzu. - Może jeśli zechcesz przekazać go córce, ona sama dopełni rytuału.

Ojciec Helen spojrzał na nią z napięciem. Skinęła głową, by dodać mu otuchy, i wyciągnęła rękę. Z wahaniem wsunął jej w dłoń kryształ.

Odwróciła się bez słowa i zaczęła wspinać po piedestale.

- Zaczekaj - rzucił głos.

## Rozdział 29

### Chwila prawdy

Dopiero po chwili Jake zorientował się, gdzie się znajduje. Pierwszą rzeczą, jaka do niego dotarła, było donośne tykanie zegara, który znów zachowywał się jak należy. Następnie zarejestrował fakt, że jest sam. Zoë nie stała już za nim. Obrócił się dookoła, próbując przeniknąć wzrokiem półmrok. Ani śladu Zoë. Obok stołu na podłodze wciąż leżał trup. Jego widok zmroził Jake'a do szpiku kości. Przypomnił sobie szybkie, bezlitosne ruchy Zoë, gdy zaatakowała mężczyznę nożem. Bezlitosne, sprawne zabójstwo. Kimkolwiek była i czegokolwiek chciała, on nie zamierzał się do tego mieszać. Pragnął tylko uciec od niej jak najdalej.

Przez chwilę stał tak, zastanawiając się szybko. Droga, którą tu dotarł, była długa i męcząca, wymagała mnóstwa czasu. Od możliwego schronienia dzieliło go zbyt wiele ciemnych schodów i tuneli. Wizja pościgu podobną trasą zupełnie go nie zachwyciła, podobnie jak zapamiętane wrażenie, że po drodze czaiło się wielu niewidocznych obserwatorów, którzy, czuł to wyraźnie, nie zaatakowali go tylko z powodu obecności Zoë. Z pewnością musi istnieć inne wyjście, pomyślał, stąpając powoli w mrok za zwierciadłem, gdzie wśród stosu przedmiotów zdawała się widnieć ścieżka.

Wiodła ona do zasłony. Odciągnąwszy ją, ujrzał drzwi. Ostrożnie sprawdził klamkę i drzwi otworzyły się w ciemność. Zawahał się przez sekundę, po czym przekroczył próg. Drzwi zatrzasnęły się za nim i Jake'a ogarnęła panika, W środku było zupełnie ciemno. A potem podłoga pod jego stopami poleciała w dół. Z najwyższym trudem powstrzymał się od krzyku. Na szczęście trwało to krótko - zaledwie zrozumiał, że znalazł się w windzie, gdy ta zatrzymała się łagodnie. Macając przed sobą, znalazł uchwyt. Drzwi otwarły się do środka, ukazując zasłonę, za którą płonęło światło. Jake odetchnął głęboko i odsunął ją.

Znajdował się w kamiennej komnacie, całkowicie pustej i niezbyt wielkiej. We wszystkich ścianach widniały przesłonięte kurtynami otwory. Obok jednego z nich stała Zoë. Przebrała się już i zamiast szarego kombinezону pilota miała na sobie prostą białą suknię przepasaną paskiem ze złotych pierścieni. Ciężkie bransolety na nagich ramionach sprawiały, że wyglądała jak pogańska bogini. Obok niej na podłodze leżało coś jeszcze, przykryte

ciemnoczerwonym materiałem. Jake przyglądał jej się chwilę, a potem odwrócił się z powrotem do drzwi, zamierzając przez nie przejść...

I odkrył, że balansuje na krawędzi mrocznego szybu. Jedną ręką trzymał się framugi, drugą rozpaczliwie próbował zatrzymać otwierające się drzwi.

- Przeciwwagi - oznajmiła lekko Zoë. - Winda wraca na górę, gdy tylko z niej wysiądziesz.

Jake z trudem cofnął się do pomieszczenia. Stał bez ruchu, dysząc.

- Musimy już iść - powiedziała Zoë. - Czas odgrywa kluczową rolę.

Pociągnęła coś za zasłoną. Po chwili cała komnata zaczęła powoli zagłębiać się w ziemię. Jake gapił się bez słowa.

- Przeciwwagi? - wychrypiął w końcu.

Zoë uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Wszystko to zbudowano piętnaście wieków temu i wciąż doskonale działa. Niewiarygodne osiągnięcie.

Mówiła spokojnie, lecz otaczała ją aura podniecenia iskrzącego niczym pole elektryczne. Jake słuchał oszołomiony. Jej obecność odebrała mu mowę, nie miał pojęcia, co robić, jak się ratować. Z głośnym szczękiem pomieszczenie znieruchomiało. Zoë zebrała z ziemi zawiniątko i podeszła do jednej z zasłon. Odciągnęła ją na bok i pociągnęła za sobą Jake'a. Znaleźli się w krótkim, wysklepionym korytarzu prowadzącym do większego otworu między wysokimi kolumnami. Maszerowała u jego boku, trzymając rękę na jego karku. Czuł się całkowicie bezradny.

- Zaczekaj!

Helen, stojąca u stóp piedestału z kryształem w dłoni, odwróciła się i w przerwie między kolumnami ujrzała wysoką postać w bieli. W prawej ręce postać trzymała coś owiniętego w czerwoną tkaninę. U jej boku stał Jake.

Zoë ruszyła w dół stopni, popychając przed sobą Jake'a. Oczy wszystkich spoczęły na niej. Migotanie w powietrzu nad głową Draganu zniknęło, potężne cielsko w fotelu na kółkach poruszyło się i zaczęło wstawać. Zoë zatrzymała się w pół drogi, Jake także - o stopień niżej. Czekala, aż Draganu stanie prosto, chwiejąc się lekko. Wpatrywał się w nią, wyciągając prawą rękę w oskarżycielskim geście.

Dopiero wówczas przemówiła:

- Przybywam, ojcze, by wypełnić twoją wolę.

Dramatycznym gestem odrzuciła czerwoną tkaninę. W prawej dłoni dzierżyła srebrne naczynie, w lewej długie zakrzywione ostrze.

- Spójrz, przynoszę narzędzia ofiary! Przybywam po swe dziedzictwo!

Helen ujrzała, jak z twarzy Jake'a odpływa krew. Zerknęła na Draganu i przekonała się, że jego usta zaczęły się poruszać, próbując sformułować słowa. Chwiał się niczym pijak.

- Ty powinieneś włożyć kryształ - dodała Zoë. - Zasłużyłeś na to.

Draganu jakby rozważał jej słowa. Potem obrócił się ciężko ku Helen, stąpając niepewnie na sztywnych nogach i wyciągając przed siebie rękę.

- Daj mi go - rzeki ochryple.

Z bliska był prawdziwym olbrzymem; choć Helen stała na pierwszym stopniu piedestału, wciąż nad nią górował. Upuściła kryształ na wyciągniętą dłoń. Jego palce zacisnęły się na nim chciwie. Cofnęła się, nie dość jednak szybko, by uniknąć ręki Draganu, która wsparła się o jej ramię, miażdżąc ją niemal potężnym ciężarem cielska dźwiganego na pierwszy stopień. Gdy tylko zabrał dłoń, Helen odskoczyła. Czuła niemal fizyczny ból, patrząc, jak Draganu powoli, z trudem wspina się po kolejnych stopniach. Gdy się zbliżył, wyciągnął długą rękę, złapał się smukłej kolumny, na której stał posąg, i podciągnął. W końcu stanął chwiejnie nad posągiem, unosząc dłoń nad otwartą klapę w jego grzbiecie. Twarz Draganu zajaśniała złowieszczym triumfem, gdy wolno, niemal delikatnie, umieścił na miejscu kryształ i zatrzasnął drzwiczki. Po raz ostatni powiódł wokół wzrokiem i nacisnął dźwigienkę.

Rozległ się głuchy szcęk, wyraźnie słyszalny w pełnej napięcia ciszy.

Nic się nie stało.

Śmiertelnie blady Jake ujrzał, jak Zoë odwraca się ku niemu z uśmiechem i mruga porozumiewawczo. Jego palce, grzebiące nerwowo w kieszeni, wyczuły coś i wyciągnęły. To był kolczyk Helen. W nagłym przebłysku zrozumienia spojrzął na Zoë - teraz wpatrywała się w Draganu z wyrazem złośliwej radości. Odstawiła na bok naczynie i sięgała po coś ukrytego w fałdach sukni.

Wstrząśnięty Draganu stał bez ruchu, z niedowierzaniem gapiąc się na bezsilnego bazyliuszka. Potem, wyrzucając z siebie stek gardłowych przekleństw, chwycił posąg obiema rękami, próbując zrzucić go z kolumny, lecz wysiłek pozbawił go równowagi. Sięgnął za siebie, desperacko usiłując powstrzymać upadek, przez moment jakby zawisł w powietrzu, trzymając się wyłącznie figury, a potem potężny ciężar ciała sprawił, że palce rozwarły się i Draganu runął naprzód z rozpaczliwym okrzykiem, zsuwając się ciężko i turlając po stopniach, by wylądować w końcu u stóp piedestału. Dwaj asystenci skoczyli naprzód, natychmiast jednak zamarli, bo Zoë władczy gestem uniosła rękę. Jej dłoń połyskiwała czerwienią ukrytego wewnątrz światła. Jednocześnie całą salę zalała fala dźwięku tak

niskiego, że bardziej poczuli go, niż usłyszeli.

Powoli wyprostowała palce, ukazując pulsujące światło: kryształ thaumatofaniczny.

Z drwiącą miną pokazała go powalonemu Draganu, który zwijał się na podłodze, bezradnie wymachując rękami. Fale dźwięku coraz mocniej pulsowały w komnacie.

Wszystko to wyglądało niczym *tableau*: Zoë, pulsujący kryształ w górze, Draganu leżący u jej stóp, pozostali - a potem Sophie Petrescu zbiegła po schodach i skoczyła na plecy swej siostry przyrodniej niczym dzikie drapieżne zwierzę.

Zoë, straciwszy równowagę, wpadła na Jake'a. Kryształ wyleciał jej z dłoni, przez moment jakby zawisł w powietrzu, a potem runął ku Draganu, lecz Jake, potykając się, śmignął naprzód i chwycił go zgrabnie niczym piłkę od krykieta. Jaki zimny, pomyślał. Myślałem, że będzie parzył. Przez moment wpatrywał się w swoją dłoń, pulsującą czerwienią, potem rozprostował ją powoli. Kryształ migotał i wibrował niczym żywa istota. Jake zapatrzył się w niego zafascynowany.

- Jake! Uważaj! - krzyknęła Helen.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, i w tej samej sekundzie coś ciężkiego uderzyło go w nogę. Draganu dźwignął się w ostatniej desperackiej próbie przejścia Kamienia. Jake obrócił się i upadł, a Draganu go szarpał.

- Do mnie! - zawołała Helen.

Padając, Jake obrócił się. Nie mógł się uwolnić od Draganu, zdołał jednak machnąć ręką i posłał kryształ wysoko w rozedrgane powietrze. Celował do Helen, lecz na jego oczach Kamień jakby skręcił w locie i skierował się w stronę bazyliuszka. Nie spuszczać z niego wzroku, Helen pobiegła w górę, przytrzymała się posągu, czując, jak drży pod jej palcami - a potem wyciągnęła rękę i Kamień pofrunął do niej niczym gołąb.

Gdy tylko go chwyciła, poczuła potężną falę energii przepływającą wzdłuż ręki i dalej, przez całe ciało, do posągu; kłapa na jego grzbiecie otworzyła się sama, fałszywy kryształ wystrzelił niczym kamień z procy, rozbijając się na drobne kawałki na kamiennych stopniach. Świat, który widziała, uległ nagłej przemianie, otaczający ją budynek stał się płataniną linii światła. Przenikała go wzrokiem, patrząc nie tylko w przestrzeń, ale i w czas, zupełnie jakby jej umysł rozrósł się nagle, obejmując cały wszechświat, jakby postrzegła jednocześnie całe boże dzieło od samego jego początku. Wewnątrz komnaty widziała nie ludzi, lecz postacie z żywego światła, jej oczy przenikały przedmioty materialne i spoglądały poprzez nie ku samej istocie życia: to musi być jej ojciec, to Jake, dwie splecione postaci to Sophie i kobieta. Przebywały tam, gdzie ich ciała, i rzeczywiście dostrzegła także same ciała przejrzyste i zwiewne niczym powłoka. Wyjątek stanowił Draganu: czarna martwa bryła, a

nad nią najjaśniejszy duch ze wszystkich, migocząca konstelacja iskierk diamentowego światła, tańczących w powietrzu.

Wszystko zdawało się czekać na nią.

Unosiła kamień niczym trofeum, czując energię pulsującą w ręce, przepływającą przez nią i smukłą metalową kolumnę, na której stał posąg. Przypominający odgłos dzwonu dźwięk przerodził się w natarczywe świdrujące pulsowanie, napełniające całą salę. W umyśle Helen wyraźnie pojawiła się myśl: *Umieść go w posągu*. Patrząc w dół, ujrzała Bazyliuszka z Brązu i jego wewnętrzny mechanizm, naszkicowany liniami szafirowego światła, niewiarygodnie szczegółowo, jakby przez szkło powiększające. Wydawał się superrzeczywisty. Dostrzegła każdą łuskę na jego ciele, każdy delikatny element wewnętrznego mechanizmu. Poniżej ujrzała pętlę łańcucha i zdumiewająco cienki bolec mocujący posąg do szczytu kolumny. *Zrób to teraz*, zabrzmiało jej w głowie, tym razem bardziej natarczywie. Diamenty w powietrzu zapłonęły oślepiająco, Kamień stał się niewiarygodnie ciężki, posąg zdawał się go przyciągać.

Helen czuła się jak kapłan udzielający sakramentu. Opuściła rękę i wsunęła Kamień do czekającego nań zagłębienia. Dźwięczny pomruk ucichł, w powietrzu wokół niej zabrzmiał odgłos przypominający westchnienie. Pulsowanie zniknęło i kryształ jarzył się teraz równomiernym blaskiem. Helen odzyskała dawny wzrok, poczuła, jak z jej umysłu znika wszystko oprócz wizji niewiarygodnie prostego zadania. Jestem kapłanką, pomyślała. Palce musnęły lekko zewnętrzną powierzchnię klap z brązu, wyczuwając delikatne łuski. To ostatni moment, gdy mogę się wycofać. To mój rajski ogród, mam przed sobą zakazany owoc. Co powinnam zrobić?

Delikatnie, niemal czule, zamknęła klapkę.

Zamek zaskoczył z cichym szczękiem.

Helen pchnęła naprzód dźwigienkę. W tym samym momencie salą zakołysał gwałtowny wstrząs niczym trzęsienie ziemi, któremu towarzyszył ogłuszający grzmot. Z wnętrza posągu dobiegł metaliczny pomruk, jakby coś zaczęło się tam obracać, coraz szybciej. Z otwartego dzioba bazyliuszka wystrzeliła wąska klinga oślepiająco jasnego światła, uderzając w przeciwległą ścianę. W miarę jak promień światła się rozszerzał, stawał się coraz grubszy, ściana zdawała się rozpływać. Pomruk stawał się coraz wyższy i głośniejszy. Helen, która nadal opierała dłonie na posągu, poczuła, jak ten wibruje ledwo powstrzymaną energią. Zapatrzona w rosnącą plamę światła pomyślała z nabożnym podziwem: co ja zrobiłam? Miała wrażenie, że lada moment nadejdzie objawienie. Coś się stanie, pomyślała, coś cudownego i strasznego.

*Teraz.*

Poczuła, jak pod jej rękami posąg porusza się i przekręca, zupełnie jakby chciał podążyć za wirowaniem wewnątrz. Potem coś ustąpiło z trzaskiem, główka bolca wystrzeliła w powietrze wraz z łańcuszkiem. Bazyliszek obrócił się na swej kolumnie. Helen, podążając za szarpnięciem, ujrzała, jak promień przecina komorę szerokim łukiem, dezintegrując wszystko przed sobą. A potem poleciała w migoczące powietrze i świat eksplodował w gigantycznym rozbłysku światła.